

PRZE KROJ

nr 3 (3522), 21 stycznia 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl

Niekryty Krytyk odkrywa twarz

Wywiad z Maciejem Frączykiem → 6

INDEKS
371424

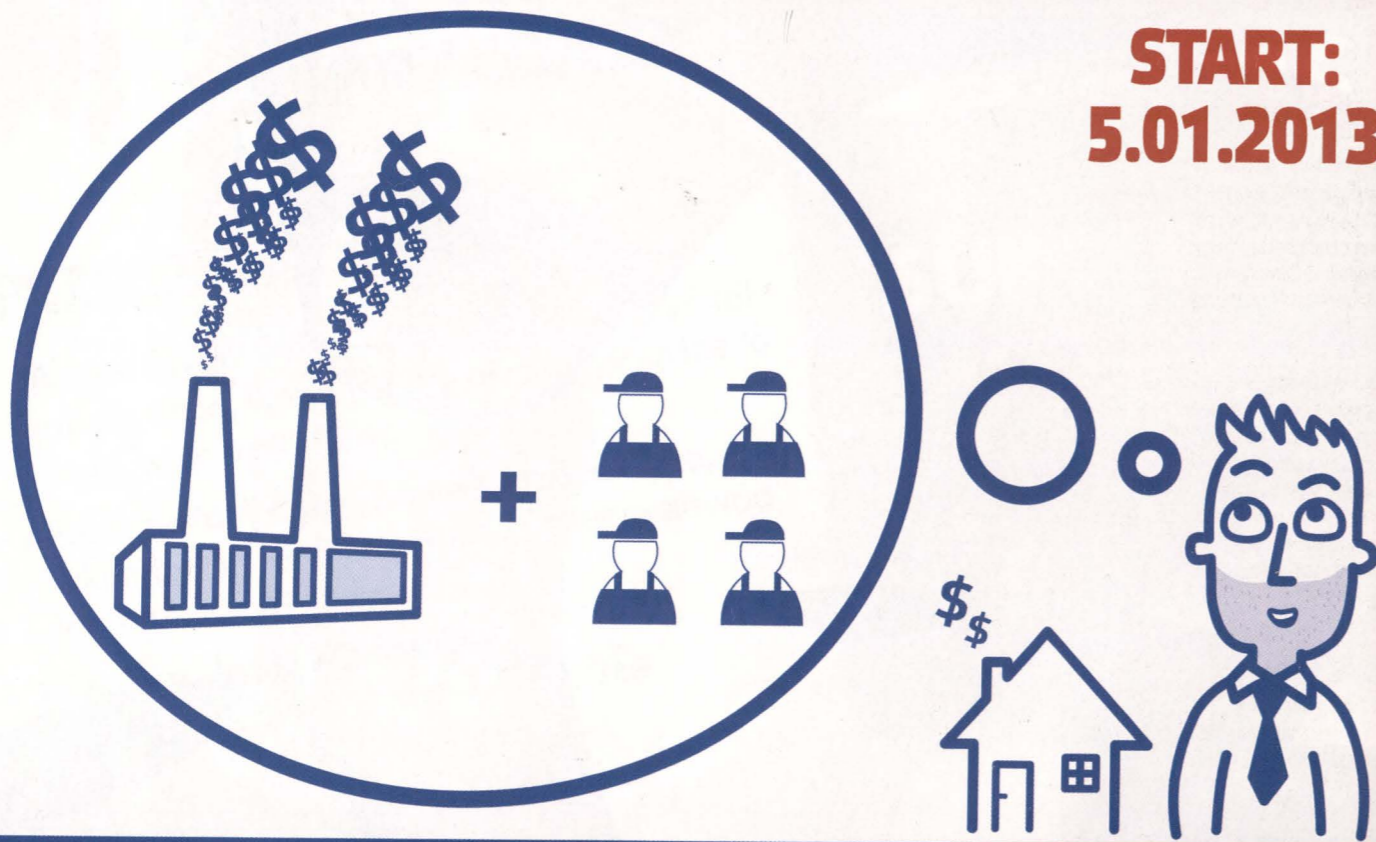
ISSN 0033-2488

03 >

Konkurs na najlepszy Biznes Plan

Mieszkaś w miejscowości do 50 tys. mieszkańców, jesteś przedsiębiorczy i masz 20-35 lat?
Potrzebujesz funduszy na rozwinięcie swoich pomysłów, chcesz być własnym szefem?

Stwórz własny biznes i wygraj **50 000 zł**



**START:
5.01.2013**

www.rp.pl/malybiznes


Bank Pocztowy

 **RZECZPOSPOLITA**

ATKearney

IBS
Instytut Badań Strukturalnych

LEWIATAN

NZS

Studenckie Forum
Business Centre **Club**

PARKIET

**PRZE
KROJ**

PRZE KROJ

W tym tygodniu
nie piszemy...

...o kalendarzu Media Markt pełnym zdjęć przedstawiających sprzęty AGD oraz pokojówki w erotycznych pozach. Sesję wykonano w Łądku-Zdroju. Prawie jak Pirelli.

...o równie zmysłowym programie, który rusza w TV. W nocnym paśmie stacji, zwanym „Hot TV”, pojawi się „Niegreczna pani domu”. Zamiast Małgorzaty Rozenek – Magdalena Godlewska. Czy będzie test białej rękawiczki?

...o bunga bunga po polsku, czyli paniach, które wyjeżdżały za granicę, by dotrzymać twarzystwa arabskim szejkom oraz rosyjskim biznesmenom. Podobno w stręczeniu pomagali bliscy polskiej gwiazdy rocka. Kazik miał ację, kiedy śpiewał, że artyści lubią pójść na łatwiznę.

...o fotoradarach. Czekamy za to bardzo na „Drogówkę” Wojtki Smarzowskiego.

...o szosie wiodącej ze wsi Warnik do Ladenthin. Zdjęcie polsko-niemieckiej granicy zrobiło furorę w sieci. U nich asfalt, u nas śnieg, normalna sprawa. A teraz wszyscy się dziwią i kłócą, kto powinien złapać za łopate.

...o Piwnicy u Fritza. Tak miał się nazywać lokal w centrum Warszawy. Nazwa idiotyczna, pomysł na szczęście zarzucono. Ale czy prokurator faktycznie musi wracać do akcji?



ZUZANNA ZIOMECKA

Fani zaginionej ikony muzycznej, Sixto Rodrigueza, nie powinni się dziwić, że został on odnaleziony właśnie w Detroit („Sugarman” i jego historia na str. 58). Nawet gdybym nie

mieszkała na przedmieściach tego upadłego miasta w latach 80., czciłabym ten tajemniczy muzyczny czakram, który jest źródłem weny żyjących w nim wykonawców. Muzyczny rachunek sumienia Detroit opiewa nie tylko na poszczególnych artystów, ale i całe gatunki muzyczne. Motown, hip hop, techno i kultura rave. Jaz-zowi mistrzowie ujawniali tam swój talent, punkowcy wybijali się z okolic, Madonna studiowała nieopodal. Jest coś w powietrzu, tam w Michigan. Może bryza z wielkich jezior wymieszana z napięciem rasowym i ekonomiczną rozsypką dawnej stolicy amerykańskiej motoryzacji tworzy mikroklimat przyjazny dla muzyki? Może rozpaczliwa odległość od wybrzeży, gdzie zawsze najwięcej się dzieje, i równie dołująca bliskość nudnej Kanady są tą akupunkturą, która naciska na ośrodek dźwiękowy mieszkańców Detroit? Nie wiem, ale czuję, że Detroit jeszcze nie powiedziało ostatniego słowa. Tak jak „Przekrój” na temat tego miasta.



MARCIN PROKOP

Jestem fanem disco polo. Serio. Nie tyle samej muzyki, co fenomenowi socjologicznego (str. 22). Bo disco polo jest jak pornografia. Jak polowania. Jak dłubanie w nosie. Ogniskową ludzkich

atawizmów, realizacją pierwotnych instynktów, skrzętnie skrywanych pod elegancką, odprasowaną narzutą norm cywilizacyjnych. Pod nią jesteśmy nadzy, animalistyczni i prawdziwi.

Oglądając film z kategorii xxx, przewijamy do przodu nieliczne fragmenty kadłubowej fabuły, żeby skupić się na istotniejszych momentach. Podobnie słuchając disco polo, obcujemy z doświadczeniem muzycznym obranym z kulturowego wyrafinowania do gołego korzenia, do syntetycznego „la la la” i „ło ło ło”. Do klaszkania „na dwa”. „Muzyka dla wieśniaków” – prychnie ktoś pogardliwie. Tak? To zapraszam na warszawską, inteligentną domówkę, gdzie o 3 nad ranem zazwyczaj kończy się hipsterka i rozmowy o Zachęcie, a zaczyna pierwotny, ekstazyjny trans. Gombrowiczowski bratanie się z ludem. „Jesteś szalona”. „Ona tańczy dla mnie”. „Moja mała blondyneczko”. „Cztery osiemnastki”. Ecce homo.

RACZKOWSKI



AKTUALNOŚCI

- 6 → **OSOBOWOŚĆ** Niekryty Krytyk krytyki się nie boi
Z Maciejem Frączykiem rozmawia Zuzanna Ziomecka
- 12 → **MEDIA** Katar na Manhattanie Anna Gwozdowska
- 14 → **EKONOMIA** Rozmowy o biedzie za wielkie pieniądze
Forum w Davos od kulis opisuje Danuta Walewska
- 18 → **TECHNOLOGIE** Z głową w chmurach Debiut Spotify zapowiada
Jacek Cieślak
- 20 → **EWOLUCJE** Łowcy ptaków na celowniku Wojciech Mikołuszko

GRUBE SPRAWY

- 22 → **ZJAWISKO** Polska muzyka wesoła Polacy znów chcą disco polo
- przekonuje Jerzy Ziemacki
- 28 → **POSTAĆ** Nowy Jork ma krótką pamięć Z Anną Perzanowską
o promowaniu polskiej muzyki w USA rozmawia Justyna Wróbel
- 32 → **KLIMAT** Wojny klimatyczne Andrzej Holdys demaskuje
hałaśliwych denialistów
- 36 → **MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE** Kosztowny przyływ szczerości
Twitterowe wpadki sportowców opisuje Michał Kołodziejczyk



- 40 → **CIAŁO** Życie wewnętrzne piersi Florence Williams opowiada
Annie Przybył o różnych sposobach postrzegania biustu
- 44 → **MODA** Okulary Doktor Strange Love Młoda polska marka
oczami Moniki Brzywczy
- 46 → **PIENIĄDZE** Co do grosza O kosztownych drobnizkach
pisze Anna Kowalczyk
- 48 → **PIERWSZA PRACA** Goły i wesoły Z Arkadiuszem Jakubikiem
rozmawiają Bartosiak & Klinke

RACZKOWSKI



KULTURA

- 50 → **KOMIKS** Bohater ostatniej akcji Dominika Węclawek:
Kapitan Żbik powraca



ARCHIWUM ARTYSTY

- 54 → **SZTUKA** Żywcem zmitologizowany Oskar Dawicki wciela
się w Oskara Dawickiego - obserwuje Stach Szabłowski
- 58 → **MUZYKA** Idol odnaleziony Sixto „Sugarmana” Rodrigueza
przypomina Karolina Sulej
- 62 → **FANTY I FETYSZE** Wybiera Robert Konieczny
Monika Brzywczy
- 66 → **KINO** Jesteśmy braćmi, współnikami, przyjaciółmi
Bracia Taviani w rozmowie z Barbarą Hollender
- 69 → **FILMY** Niemożliwe Dorota Chrobak
- 70 → **MUZYKA** Justin Bieber folku? Angelika Kucińska
- 71 → **LITERATURA** Dzieci i Paryż Jacek Tomczuk
- 72 → **GRY** To nie jest gra Marceli Szpak
- 73 → **POP-ATRZ** Brakujące ogniwo Kuba Dąbrowski
o francuskim mistrzu fotografii Guyu Bourdinie

ROZMAITOŚCI

- 74 → **APLIKACJE** Internet do ogarnięcia Marianna Saska
- 76 → **RETRO/FUTURO** Tkaniny poskromione
Marta Mach i Agata Napiórska
- 78 → **KUCHNIA** Trzecia fala kawy Aga Kozak

FELIETONY

- 19 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Warszawa już nie jest zakałą
- 64 → **MACIEJ NOWAK**: Wszystkie bilety wyprzedane

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
22 463 03 00, www.przekroj.pl,
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop
Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)

Redaktor działu Grube Sprawy:
Anna Gwozdowska

Redaktorzy:
Grażyna Raszewska
Grzegorz Sobaszek

Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnańska

Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Kuba
Dąbrowski, Mateusz Farenholt,
Angelika Kucińska, Marta Mach,
Wojciech Mikołuszko, Katarzyna
Nowakowska, Agata Napiórska,
Cezary Polak, Marek Raczkowski,
Marianna Saska, Karolina Sulej,
Stach Szabłowski, Mike Urbaniak

Projekt graficzny: Magdalena Piwoń

Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski
Fotoedycja: foto@przekroj.pl,
Katarzyna Serek

Korekta: Ling Brett

Strona internetowa: KRCSMedia.pl

Wydawca: Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing: Cezary
Piernikowski - p.o. Dyrektora
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska
(p.berska@rp.pl)

Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
Presspublica sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl;

Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej Witold Trzcinski
tel. 22 463 05 53

Dyrektor Działu Agencyjnego
i Magazynów Filip Weichert
tel. 22 463 01 88



PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”

Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł
Zamówienie na prenumeratę należy
składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl
Dodatkowe informacje
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

Prenumerata kolporterska
Oddziały Ruch S.A., tel. 801 800 803
lub 22 717 59 59 - telefoniczne Biuro
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18,
www.prenumerata.ruch.com.pl,
urzędy pocztowe

Prenumerata na e-Wydania:
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl,
www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl

Dostęp na stronie www i wersji na iPada
Prenumerata na iPad przez App Store:
tydzień - 0,79 €, miesiąc - 1,59 €,
rok - 19,99 €

Prenumerata na Android
przez Google Play: tydzień - 3,49 zł,
miesiąc - 6,89 zł, rok - 78,99 zł
Dostęp do serwisu oraz e-wydania
przez przekroj.pl: tydzień - 2,89 zł,
miesiąc - 8,89 zł, rok - 89,00 zł
Informacje: serwisypłatne@rp.pl,
tel. 22 46 30 066

Zdjęcie na okładce:
Krzysztof Dynel



Do wyboru do koloru!

Prenumerata w **egazety.pl** to:

- najbogatsza oferta na rynku
- **ponad 370 tytułów**
- atrakcyjne ceny
- wygoda korzystania

Zarejestruj się na **www.egazety.pl** i **testuj za darmo**.
Przy większej liczbie prenumerat skontaktuj się
z ✉ egazety@egazety.pl, ☎ +48 22 379 16 90

PRENUMERATA
2013



ROZMAWIA ZUZANNA ZIOMECKA, ZDJĘCIA KRZYSZTOF DYNEL

Niekryty Krytyk krytyki się nie boi

Polski YouTube ma króla. Jest nim 29-letni **Maciej Frączyk** – twórca programu rozrywkowego „Niekryty Krytyk” uwielbianego przez ponad 400 tys. polskich nastolatków, którzy wyświetlili jego filmy ponad 118 mln razy. Kim jest rządca cyfrowych dusz młodego pokolenia?

Świat nowych mediów łatwo przeoczyć, jeśli jest się zbyt zabieganym, zapatrzonym w prasę i telewizję lub po prostu za starym, by zrozumieć, co się w nim dzieje. Tymczasem wyrastają tu postacie wywierające spory wpływ na młodzież. Większość rodziców nastolatków zna Niekrytego Krytyka, którego zabawne komentarze do filmów znalezionych w sieci budzą ich niepokój z powodu przekleństw i szyderczego nastawienia do wszystkiego, co u nas święte.

Maciej Frączyk powoli przestaje się mieścić w Internecie. Jego książka „Zeznania Niekrytego Krytyka” jest nominowana do tytułu Bestseller Empiku 2012. Kroi się też audycja w Radiu Zet. Ewidentnie nadeszła pora przyjrzeć się Maćkowi z bliska.

Wyposażona w mapkę z internetowego serwisu Targeo, 12-letni samochód z letnimi oponami i dyktafon ruszyłam w Polskę w poszukiwaniu Niekrytego Krytyka w dzień pierwszej dużej śnieżycy sezonu. Dzięki uprzejmości obsługi licznych stacji benzynowych malutkich podłódzkich wiosek i telefonicznej nawigacji naszego bohatera ponad dwie godziny później dotarłam. Wjechałam na zasypane śniegiem podwórko domku jednorodzinnego

w okolicach przypominających Fargo z kultowego filmu braci Coenów. Niekryty Krytyk mieszka mniej więcej nigdzie.

Uśmiechnięty facet przed trzydziestką prezentuje się jak zdrowszy klon Kuby Wojewódzkiego. Na nosie ma okulary Kuby, na głowie zimową czapkę uszatkę jak ta, w której Kuba wystąpił w reklamie telefonii komórkowej. W swoich programach Maciek nosi marynarkę na T-shirtach. Tak jak Kuba. Skojarzenie wizualne jest oczywiste. W obcowaniu z nim czuć jednak, że geograficzna izolacja od polskiego światka rozrywkowego uchroniła Maćka przed zmanierowaniem. Jest urzekająco speszony. Często słyszę mnie sushi, przeprasza za dres, w którym mnie przyjmuje, i proponuje, że pożyczę GPS na drogę powrotną do Warszawy.

Już po wymianie kilku pierwszych zdań można się zorientować, że Frączyk jest ewidentnie zdeterminowany, by realizować się w mediach. Może być to trudne, bo Maciek ma bezkompromisową potrzebę kontrolowania własnej kariery i przekazu. Ma być na jego warunkach albo wcale. Najwyżej zostanie „jedynie” królem Internetu. Jeszcze przed rozmową uprzedzał,

że wywiad będzie dokładnie autoryzowany. Zażądał też okładki. Gdy potwierdziłam, że tak właśnie planujemy, potwornie się zmieszał. Zapewnił, że przecież tylko żartował i oświadczył: – Pan z „Wyborczej” powiedział, że w moich filmach są tylko żarty o wciąganiu kokainy z brzucha martwego transwestyty, więc będę się teraz kreował na mądrego.

Widziałam ten materiał. Porównywano cię z Szymonem Majewskim, który właśnie odpalił program „SuperSam” na YouTube. Jak oceniasz jego szanse?

Każdemu życzę jak najlepiej na YouTube. To wbrew pozorom dość wrogie miejsce, trochę jak impreza firmowa z szefem, za którym się nie przepada. Na chwilę każdy wpadnie, ale na dłużej zostają najtwardsi.

Szymon dopiero zaczyna, ale widać, że przynosi do netu konwencję telewizyjną, którą zna i która jest sprawdzona. Myślisz, że takie bezpośrednie przełożenie ma sens?

Wydaje mi się, że telewizja jest archaiczna i obowiązują w niej zupełnie inne zasady, których nie da się przełożyć na inne medium bez fundamentalnych zmian w formacie

i założeniach. Teatr jest inny w realu niż w telewizji i radiu. Robi się go inaczej. Program komediowy też musi być robiony inaczej, jeśli ma chwycić na YouTube. To strasznie głupie, że telewizja traktuje Internet jak biednego kuzyna ze wsi, który na zawołanie „Obiad!” nie idzie do stołu, tylko dłubie w nosie. To, że w jednym i drugim ruszają się obrazki, nie znaczy, że to jest to samo! W TV najważniejsze jest, żeby program przynosił zyski. W Internecie trzeba zacząć od czegoś swojego i szczerego. Pieniądze dopiero od niedawna mają coś wspólnego z produkcją filmów na YT. Kiedy zaczynałem trzy lata temu, nie było programu partnerskiego, który dzielił zyski z reklam między YouTube i twórcę. Była tylko zajawka i platforma do dystrybucji filmów. I może właśnie dzięki temu mi się udało, bo filmy powstały dzięki moim zainteresowaniom i pasji, a nie z kalkulacji: „Za dwa lata chcę mieć pół miliona widzów, na których zarobię”.

Miałeś propozycje od stacji telewizyjnych. Dlaczego ich nie przyjąłeś?

Były to propozycje od mniejszych, prywatnych stacji. To nie dla mnie. Kiedy ma się nad sobą producenta, który wpływa na program i kieruje się potrzebą rozkręcenia się przed reklamodawcami i przymilania się do widzów, to nic dobrego z tego nie wyjdzie. Kluczem do sukcesu, przynajmniej mojego, jest robienie po swojemu, według własnego rozeznania.

Może więc w przypadku Szymona to tylko kwestia czasu? Bo zanim osiągnął imponujący zasięg, trochę wody w Wiśle upłynęło.

Mam nadzieję, że tak. Ale głównie dlatego, że polski YouTube jest bardzo biedny i słaby. Przydałoby się więcej twórców z pomysłem, jajami i konsekwencją. Muszę przyznać, że trochę współczuję Szymonowi, bo jest w trudnej sytuacji. Szymon jest przy-



Można się śmiać z religii w sposób chamski i głupi. Ale można też śmiać się, żeby pokazać inny punkt widzenia.

zwyczajony do TV. Miał tam pokaźny zespół ludzi, a sam był odpowiedzialny tylko za część swojego programu. Nie montował, nie stał za kamerą, nie pisał wszystkich grepsów. Nie uplądował, nie promował. Za to jak zrobił dobrze, to pewnie jakiś pan w czarnym gajercie częstował go cygarem i klepał po plecach, mówiąc, że fajnie wyszło. Że oglądalność skoczy. W necie jest dokładnie odwrotnie. Robisz wszystko sam. Do tego zamiast cygara sekundę po opublikowaniu filmu masz już recenzje od widza. Zwykle jest ona druzgocąco zła. Albo jest osobistą wycieczką. A jesteś, wiadomo, najgorszy.

Dlaczego tak mało jest ciekawych treści na polskim YouTube?

To wynika z tego, że często ludzie jeszcze nie potrafią robić filmów na poziomie wyższym niż półamatorski, a poza tym boją się pokazać twarz, nie mówiąc już o własnych pomysłach. Poza tym Polak lubi to, co polskie, i inspirowane jest głównie tym, co się u nas dzieje. Czyli spirala główna się kręci i mało rzeczy wartościowych z niej wypływa. Ja kocham Stany – amerykańskie kino, twórców, komików i stand-uperów. Gdybyśmy częściej szukali inspiracji wśród najlepszych, pewnie na naszym YouTube szybciej by się zagęściło. Konwencja oparta na kabarecie politycznym, którą wybrał Szymon, nie jest specjalnie świeża. Wyglupów w necie jest sporo. Gdyby z tego, co robi Majewski, odjął jego twarz i nazwisko, to niewiele ciekawego by zostało, przynajmniej dla mnie, ale moje oczekiwania komediowe trudno zaspokoić. Wiesz, niełatwo jest zrobić zabawny film, potem go obejrzyć i stwierdzić: „Tak, fajnie

mi wyszło”. Nie wiem, czy Szymon tak o sobie mówi. Ja rzadko.

Szymon porusza tematy publicystyczne. Może w tym tkwi problem? Dlaczego mówimy o nim, a nie o mnie?!

Cierpliwości! Twoje poglądy na temat kolegi po fachu nas rozgrzeją. Moim zdaniem Szymon cały czas celuje do widzów telewizyjnych, a nie do internautów, i to jest ta różnica między wami. Ty wyczuwasz gust i potrzeby polskiego internauty, on nie. Widzisz – to jest o tobie. Zgodziłbyś się z taką tezą?

Szczerze mówiąc, nigdy się nie zastanawiałem nad tym, czy wyczuje czyjekolwiek potrzeby. Może własne, bo zawsze miałem ochotę na taką trochę lumpeksową ekspresję, czasem podobno zabawną, ale w każdym razie moją. Nie pytaj, proszę, o przepis na sukces, bo go nie znam. Znam przepis na film, którego proces powstawania będzie można nazwać najlepszą pracą na świecie. Cieszę się, że żarty, nie tylko o wciąganiu kokainy z brzucha martwego transwestyty, przypadły do gustu tak wielu ludziom.

Ten przepis się sprawdza. Czy dlatego twoje filmy od trzech lat mają podobną formułę?

Internauta, tak jak widz telewizyjny, ogląda jakiś program i chce wiedzieć, czego się po nim spodziewać. Bardzo wiele osób popełnia ten błąd, że zakładają kanały, które są zbiorem różności. Początkowo też go popełniałem. Ktoś, kto wchodzi na mój kanał, oczekuje tego, co widział wcześniej. Jeśli dostanie coś innego, to z góry mu się to nie spodoba, nawet jeśli będzie fajne.

Aż trudno uwierzyć, że w żywiole internetowym, z natury zmiennym, króluje taki constans!

Internet to miejsce dla ludzi, a ludzie lubią wiedzieć, gdzie czego szukać. No wyobraź sobie, że otwierasz szufladę ze skarpetkami i znajdujesz tam iguanę. Albo martwego transwestytę. I to bez kokainy. Lubiałabyś to? No właśnie. Konsekwencja jest atutem, nie wadą. Dlatego od trzech lat moje filmy

mają podobną formę, chociaż próbuję eksperymentować i dodać czasem coś nowego.

To kto według ciebie jest królem amerykańskiego YouTube, który tak wielbisz?

Zazwyczaj są to kanały robione za pieniądze, których mógłby pozazdrościć producent dużego polskiego serialu. Skala zarobków, jak się domyślasz, też jest inna. Uwielbiam „Epic Meal Time”. Właśnie siedzę nad montażem parodii tego programu. Żeby to zrobić, musiałem kupić profesjonalny aparat i obiektyw za ciężkie pieniądze, bo, wbrew pozorom, żeby odnieść sukces w Internecie, trzeba zaoferować pierwszorzędną jakość produkcyjną. Ja mam o tyle dobrze, że robieniem filmów fascynuję się od dawna. Mam przećwiczony proces robienia zdjęć i montażu. Nabierałem wprawy przy konkursach reklamowych oraz przy tworzeniu krótkich form filmowych. Może w USA ludzie mają więcej pieniędzy, by zatrudniać specjalistów od produkcji, i dlatego poziom tamtejszych filmów jest wyższy. U nas trzeba to robić samemu i dlatego polska scena jest po prostu blada.

Kunst kunszt, ale jeśli nie wyczujesz, czego chce widz, polegiesz.

Pracowałem w agencji reklamowej i wiem, na czym polega definiowanie klienta ostatecznego, który ma konkretne oczekiwania. Ale przy filmach nie pracuję w ten sposób. Ten przekrój osób, które oglądają moje rzeczy, jest o wiele szerszy niż samo gimnazjum. Dostaję e-maile od ludzi w moim wieku lub starszych. Jednak nie ucieknę się od faktu, że gros polskich internautów to jednak ludzie młodzi.

Niekryty Krytyk nastolatkami stoi i nie wyperswadujesz mi, że jest inaczej.

Dobra, nie będę nawet próbował, bo ta sytuacja mi bardzo odpowiada. Na starszych odbiorców mogę mieć tak naprawdę mały wpływ. Zresztą sam czuję, jakbym bardziej miał 15 lat niż tyle, ile ma stary koń.

Po lekturze twojej książki widać, że wybrałeś sobie nastolatków. Jest to poradnik z gatunku „Jak żyć?” z odniesieniem do problemów w szkole, z rodzicami i ze startem w życiu.

Takie było założenie wydawcy. Do stałem właściwie jedną wskazówkę, bo też nie wiedziałem, o czym ta książka mogłaby być, co wartościowego mógłbym przekazać. Pani z wydawnictwa powiedziała, że ta książka ma kopnąć młodych ludzi w dupę. Wziąłem to sobie do serca i efekt spodobał się wydawcy. Wygląda na to, że czytelnikom też. Fajnie.

A dlaczego młodych ludzi trzeba kopnąć w dupę?

Ponieważ żyjemy w wygodnickich czasach, które sprzyjają lenistwu. W tym kraju młodzi ludzie, z którymi wielokrotnie pracowałem jako wychowawca tudzież nauczyciel, mają potencjał, ale cholernie brakuje im motywacji. Niestety, nie potrafią im jej dostarczyć nauczyciele ani rodzice, więc skoro mnie oglądają, to wykorzystuję szansę, żeby ich trochę rozruszać. To nie jest moja misja, to się dzieje przy okazji.

nie dziwi mnie, że dorośli nie rozumieją młodzi. Nigdy nie rozumieli, a teraz, kiedy starsi większość życia spędzili w innym systemie, a młodzi są podłączeni do netu i komórek od urodzenia, jest to tym bardziej trudne.

Wszecchobecny, niekontrolowany Internet rodzi kłopoty, jakich dorośli oderwani od tego świata nawet nie rozumieją. To cholernie krzywdzące, że każdy bez względu na gotowość ma dostęp do wszystkich treści.

Na przykład do porno.

Na przykład. Ale nie wyłącznie. Chodzi też o formę, nie tylko o tematykę. To jest świat szybkich, płytkich form.

Taka natura bestii. I twoich filmów też poniekąd.

Nigdy nie próbowałem budować wrażenia, że moje filmy to coś więcej niż tylko wyglupy. Dla mnie to przede wszystkim świetna zabawa i możliwość

wykrzyczenia swoich racji w taki sposób, w jaki sobie zażyczę. Nikt nade mną nie stoi i nie mówi: „Maciek, nie pokazuj tego wibratora w filmie”. Jak będę chciał, to pokażę, a ty, jeśli chcesz, oglądaj. Jeżeli ktoś znajduje w tych materiałach coś więcej, nie wiem, sposób myślenia, to super. Wracając do telewizji – tu dłuższe formy się sprawdzają, bo muszą przejść weryfikację dziesiątek osób, z których każda może powiedzieć „nie”, a potem sztab ludzi pilnuje jakości. W Internecie możemy usiąść przed kamerą i nagrać coś, co zobaczy milion osób. Nawet jeśli to będzie zupełnie kretyńskie albo, co gorsza, nieodpowiedzialne. Jeżeli to trwa krótko, to się sprawdza, nawet jeśli jest na najgorszym poziomie.

No i zazwyczaj jest. To mnie dziwi i trochę martwi. Bo właśnie te często kretyńskie treści interesują młodych odbiorców najbardziej. Bo telewizji mimo lepszej jakości młodzież ogląda coraz mniej.

Bo nie mają szczególnego wyboru. Telewizyjne formaty nie traktują o sprawach młodzi, bo reklamodawcy nie im jeszcze nie chcą sprzedać. Te dopieszczone formy są wysublimowanymi maszynkami oglądalności i tak trącą pozą, są tak potwornie wydumane i sztuczne, że nastolatek to z zasady odrzuca. Zgadzam się z ich oceną i też nie oglądam TV.

Nawet Kuby Wojewódzkiego?

Kuba to wyjątek. On robi jedyny program, który jest do zniesienia. Ja go śledzę od dawna.

Widać, że lubisz Kubę. Macie podobnie szydercze podejście – gracie tym, że naszym narodowym sportem jest hejt, marudzenie i krytykanctwo. Z równie dobrym skutkiem...

Bo właśnie Kuba działa według zasady, którą i ja przyjąłem. Po mojemu albo wcale! Myślę, że taka zasada dla ludzi, którzy lubią mówić, co myślą, często nie przebiegając w środkach, jest absolutną podstawą. Ostatecznie młodzi ludzie nie są idiotami, tylko

bardzo wymagającymi widzami. Przemawia do nich przekaz niewymuszony. Coś robione na siłę od razu się kompromituje. Młodzież wyczuwa takie barachło z daleka.

Kunst filmowy, młody odbiorca i autentyczność. To wystarczy, by mieć 5 mln odsłon? Ludzie, co wy z tymi odsłonami? Ja w ogóle nie rozumiem tej fascynacji! Właśnie dzięki tej fikcji trafiłem na okładkę „Gazety Wyborczej”.

To co się liczy w Internecie, jeśli nie liczba odsłon? Powiedz dziewczynie z papieru. Dla mnie jednak to się mało liczy. Gdybym nie miał tylu widzów, to i tak bym robił filmy. Przez pierwsze dwa lata kręciłem je nie po to, żeby zara-



biać i mieć odsłony, tylko dlatego, że chciałem to robić. Mój pierwszy film miał 300 odsłon. Miał być również ostatnim. Ale tak mnie to wkręciło, że zrobiłem kolejne. Niestety, nazwa, którą wymyśliłem spontanicznie, by mieć coś do wpisania na planszę tytułową, została! Gdybym wiedział, jak to się potoczy, to wymyśliłbym coś bardziej błyskotliwego. Jestem w końcu copywriterem z zawodu i myślę, że stać mnie na coś lepszego. Ważny jest przekaz, jak w każdym medium. Tyle że sprawdza się ten najbardziej auten-

tyczny, najmniej pozowany. Przerysowany, ale nie pozowany.

Czyli twoją misją jest komedia?

Tak mi się wydaje. Nie ma wiele fajnych, naprawdę fajnych programów rozrywkowych w telewizji dlatego, że są one najtrudniejsze do zrobienia. O wiele łatwiej jest nakręcić smutny dramat, niż napisać zabawną komedię. Dramaty stanowią 99 proc. naszych produkcji.

Taki kraj. Może po prostu jesteście smutasami.

Jesteśmy i nie za bardzo lubimy, kiedy coś się komuś udaje. Nawet nie chodzi nam o to, by było nam lepiej, tylko żeby innym było nieco gorzej. Dlatego lubimy hejtować i oskarżać. To wymaga powagi, a żeby ją mieć, trzeba uważać, żeby się nie zbłąźnić. Dlatego, jak mówiłem, ludzie boją się pokazać twarz i własne przemyślenia. Nie chcą się ośmieszyć i wystawić na szyderstwa.

Jak ci się udało uodpornić na ten jad?

Wrzucam film, wyłączam Internet i idę pograć na perkusji. Wiem, że to jest ważna kwestia, ale szkoda czasu na takie rzeczy. Efekt masowych odsłon generuje wiele komentarzy, w tym głównie złych. Musiałem więc zrationalizować czas, który spędzam na niczym. Robię to codziennie przez mniej więcej dwie godziny, skupiając się wyłącznie na pozytywnych komentarzach. W ten sposób docieram tylko do 10 proc. postów. Zmierzenie się z całością jest niemożliwe.

Gdzie przebiega granica między hejtem a szyderstwem, które sam w filmach uprawiasz?

Granicą jest realna krzywda wyrządzona komuś. Po odcinku o Panu Tik-Taku dostałem od niego list. Napisał, że program mu się nie spodobał i postraszył mnie sądem. To trochę tak, jakby ciągać kabarety po sądach, bo śmieją się z polityków. Uświadomiłem sobie wtedy, że nie chcę, by to, co robię, dotyczyło kogoś osobiście. Chciałem rozwiązać to po ludzku. Od-

pisałem mu i wyjaśniłem, że próbuję wyśmiać konwencję z lat 80. i 90., która dziś wydaje się śmieszna, a nie jego osobiście. Jednak ważna w takich przypadkach jest kwestia dystansu. Na szczęście mam go sporo.

A zdarza ci się być obiektem takiego rodzaju humoru?

Tak. Ktoś się za mnie przebrał, przywdział strój księdza, do którego przyzryta była lalka na wysokości przyrodzenia, jakby dziecko robiło temu księdzu loda. Ten człowiek po prostu się pode mnie podszył – miał moją fryzurę, moje okulary i zatytułował ten film „Niekryty krytyk w Krakowie”. Wiele osób uwierzyło, że to ja, chociaż twarz była pokazana z bliska. Mogłem próbować wyciągnąć konsekwencje, bo to bolesne, ale przecież wiem, że kiedy się wchodzi do Internetu, trzeba się z tym liczyć.

Wracając do granic – religia jest drażliwym tematem. Unikasz go?

Można się śmiać z religii w sposób chamski i głupi, a można się śmiać po to, żeby pokazać inny punkt widzenia. Staram się robić to drugie. Nie drę Biblii na koncertach. Wiem, że też nie zawsze mi ta delikatność wychodzi, ale na swoją obronę mam to, że jestem amatorem! To jest moja tarcza. Ale tak na poważnie – staram się brać odpowiedzialność za to, co robię. Liczę się z konsekwencjami.

Ale są dwa rodzaje konsekwencji.

Jedne wynikają z prawa, a drugie wiążą się ze zwykłą ludzką wrażliwością.

W Polsce każdy temat kogoś obraża. Jeśli sobie zażartuję z psa, to jestem pewien, że znajdę przynajmniej jedną osobę, która poczuje się urażona. Jakbym miał to brać pod uwagę, tobym nie robił filmów, bo o czym? I jak?

Czyli macz podejście amerykańskich komików, którzy na swoją obronę mają to, że sprawiedliwie obśmiewają wszystkich.

Tak, staram się nikomu nie odpuszczać. Biorę na warsztat wszystkie tabu. Religię, orientację seksualną, pieniądze.

Bardzo świadomie umieściłem wątek religijny na końcu mojej książki, choć byłem przed tym przestrzegany. Chciałem pogmerać kijem w mrowisku. Zastanawia mnie, że ktoś wierzący, czego nie mam zamiaru negować ani krytykować, ani też mu odmawiać do tego prawa, reaguje tak impulsywnie na najmniejszą nieprzychylność wobec jego wiary. Gdybym w coś tak mocno wierzył, to nie wyobrażam sobie, by cokolwiek mogło wytrącić mnie z równowagi i tej wierze realnie zagrozić. Dla mnie to świadczy o płytkości wiary.

Gdyby ktoś śmiał się z twojego Boga, nie obraziłbyś się?

Jeśli byłbym wierzący i ktoś opowiedziałby chamski dowcip o Jezusie, to opowiedziałbym jeszcze bardziej chamski. Bo jeżeli wychodzimy z założenia, że Bóg nas stworzył na swoje podobieństwo, a ja mam takie poczucie humoru, a nie inne, to może też je mam od niego? Może to, co robię, jest w porządku?

A gdybyś był wierzącym rodzicem nastolatka?

Mam nadzieję, że nie jestem!

Ale czy rozumiesz rodziców, którzy mają problem z tym, że ich dzieci oglądają twoje produkcje?

Oczywiście, że tak. Jeżeli matka w kuchni usłyszy fragmenty filmu oglądanego przez jej dziecko, w którym jakiś facet przeklina, może się zdenerwować. Bo słuchając jednym uchem, tylko to z tego filmu wyłapie. Ale na szczęście nie wszyscy rodzice od razu się oburzają. Dostałem ostatnio świetnego e-maila od mamy nastolatków, którzy oglądają mój program. Napisała, że na początku była bardzo na „nie”, ale po książce i obejrzeniu kilku filmów zrozumiała, że nie uczyć przeklinać i nie szerzyć straszliwych treści. W porównaniu z tym, co dzieciaki mogą znaleźć w Internecie bez najmniejszego problemu, to, co robię, w ogóle nie jest szkodliwe.

Ale jednak przeklinasz. Myślisz, że to cię uwiarygodnia?

To jest środek ekspresji. Jestem fanem stand-uperów amerykańskich, Eddiego Lizzarda, George’a Carlina, i nie wyobrażam sobie ich występów bez fuckowania! Eddie Murphy, jak może pamiętać, pod tym względem leciał po bandzie. Od drugiego czy trzeciego odcinka Niekrytego Krytyka zacząłem cenzurować wszystkie przekleństwa. Nie ma w moich odcinkach przeklinania oprócz tego wybijowanego. Staram się tego unikać, bo to jest jednak tani zabieg. Jeśli już się na to decyduje, to dla konkretnego, zamierzonego efektu. Na pewno nie porównałbym tego z licznymi polskimi blogerami, którzy w wieku 16 lat siadają przed kamerą i lecą wiązanką. Dla mnie język jest bardzo ważny i cenię sobie kulturę języka. W końcu skończyłem studia filologiczne i od 14. roku życia coś zawsze pisałem. Ale gdybym czasem nie przeklinał, gdybym z tego zrezygnował tylko dlatego, że ktoś może mieć do mnie zarzut, byłoby to nieszczerze. Tak zresztą było z książką. Spytałem, czy mogą w niej być przekleństwa. Odpowiedź była, że nie. Jednak napisałem po swoim. Cały pierwszy rozdział jest o wulgaryzmach. Po przeczytaniu wydawca zmienił stanowisko, bo robię to w sposób, który się jednak broni.

Tak, zauważyłam. A jak wybierasz tematy, które bierzesz na warsztat w kolejnych odcinkach?

Ze wspomnień z dzieciństwa na przykład. Kiedy byłem mały, oglądałem programy w telewizji regularnie i teraz można je znaleźć w Internecie, więc łatwo do nich wracać. Teraz na przykład mam bardzo ciekawy materiał o wstrzemięźliwości seksualnej wśród młodych ludzi, który był puszczaany w gimnazjach. To jest taka 20-minutowa bajka, film się nazywa „Jeśli mnie kochasz, udowodnij to!”. Chodzi o to, że seks przed ślubem to coś straszego, a zabezpieczanie się nie zabezpieczy.

To właściwie niewiele się zmieniło.

Tak, i dlatego lubię takie materiały. Dostałem taki odzew: „Oglądamy teraz

W Polsce każdy temat kogoś obraża. Jeśli sobie zażartuję z psa, jestem pewien, że znajdzie się osoba, która się z tego powodu obrazi.

ten sam film w gimnazjum! Pokazywali nam go wczoraj na godzinie wychowawczej”. A to są materiały prehistoryczne. Są śmieszne, ale i żałosne. No i całkowicie mijają się z oczekiwaniami młodych ludzi, bo w kontekście naszych czasów i wiedzy niczego właściwie nie uczą.

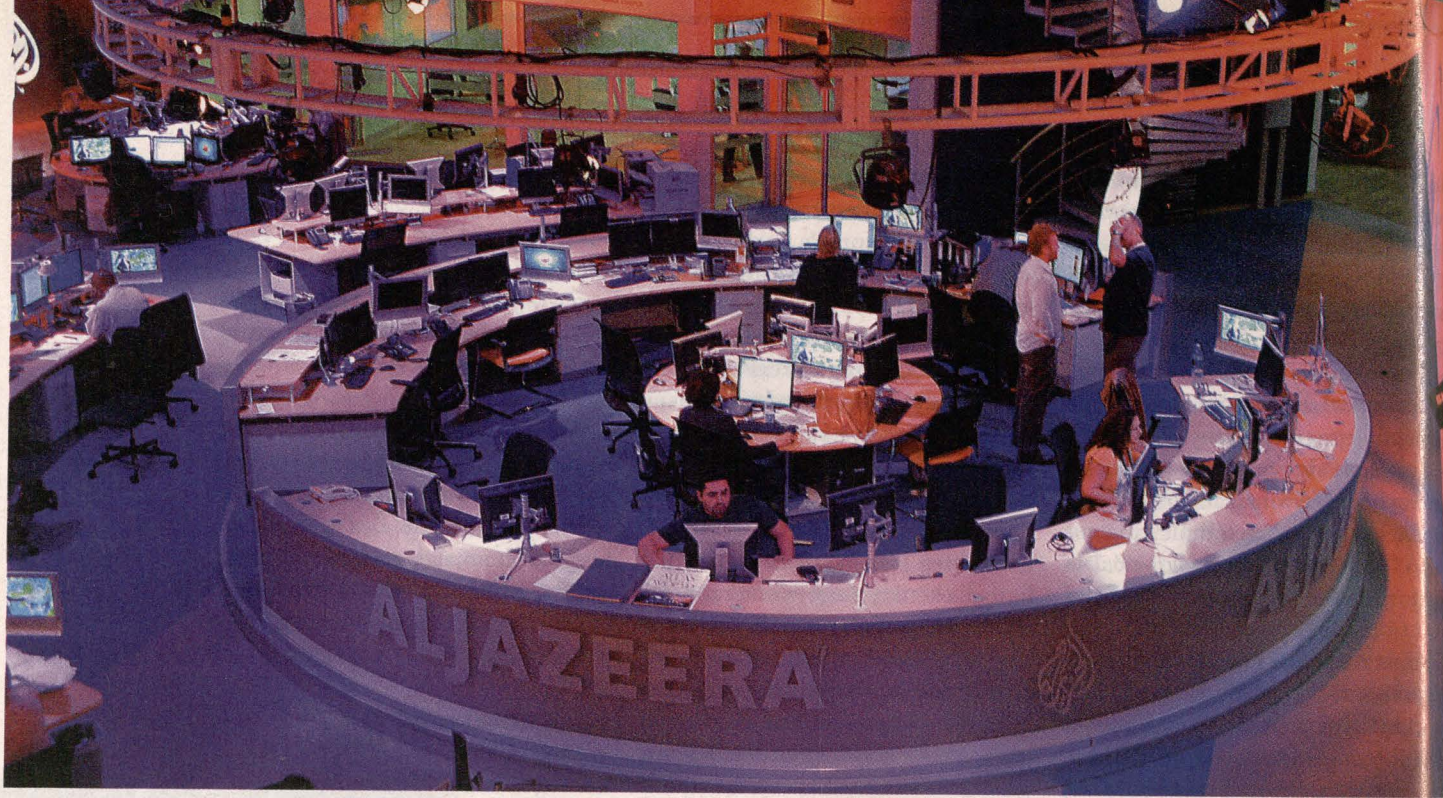
A czego trzeba nauczyć gimnazjalistów?

Wydaje mi się, że edukacja nie jest od tego, żeby nauczyć dzieciaki, co mają myśleć, tylko żeby nauczyć samego procesu myślenia. Uważam, że system edukacji powinien znacznie szybciej dzielić, w dobrym znaczeniu, ludzi pod kątem ich predyspozycji. Ile się uczy matematyki? Osiem lat w podstawówce, cztery w liceum. 12 lat nauki matematyki, ileś tam lat nauki fizyki i chemii, podczas gdy tak naprawdę mogłem przerobić najważniejsze teorie i osiąść wiedzę ogólną bez wglębiania się w materię, która mi w niczym nie pomoże. Ja nie muszę liczyć permutacji. Powinien to robić ktoś, kto czuje pasję i ma zdolności w tym kierunku. Ja zawsze na matmie czułem, że chce mi się rzygać. Tak chyba powinien wyglądać studencki poranek, a nie licealne naukobranie.

Dużo piszesz o tym w książce. Namawiasz dzieciaki do znalezienia tego, w czym są naprawdę dobre. Sporo miejsca poświęciłeś również filmowi. Masz kontrakt na kolejne książki. O czym będziesz teraz pisał?

Wiesz, jest wiele tematów, o których chciałbym coś napisać, nie tylko o szkole czy Internecie, dlatego może potraktujemy tę rozmowę jako... kwalifikacyjną? Jeśli kiedyś mi pozwolisz coś dla was napisać, to powiem ci, jak się pozbyć martwego transwestyty. No i kokainy.





ANNA GWOZDOWSKA

Katar na Manhattanie

Informacyjna telewizja **Al-Dżazira**, z siedzibą w maleńkim, ale za to bajecznie bogatym Katarze, która za czasów Busha uchodziła za wrogą Ameryce, kupiła właśnie dostęp do ponad 40 milionów amerykańskich domostw.

O sensacyjnym dealu – Al-Dżazira nabyła założoną przez Alę Gore’a, byłego wiceprezydenta USA, lewicową telewizję Current TV – zrobiło się głośno już pod koniec ubiegłego r., ale ostatecznie doszedł on do skutku na początku stycznia. Al-Dżazira nie ujawnia wartości transakcji, ale mówi się o 500 milionach dolarów, z czego Al Gore, właściciel 20 proc. udziałów Current TV, miał zainkasować 100 milionów. To suma gigantyczna, biorąc pod uwagę słabą pozycję tej stacji na medialnym rynku. W rankingach Nielsena

na 96 kanałów kablowych w USA aż 93 plasuje się wyżej niż Current TV. Nic dziwnego – w prime timie stacja przyciągała zaledwie 42 tysiące widzów. Katarczykom nie chodziło więc o zawartość programową telewizji. Al-Dżazira zyskała po prostu dostęp do lokalnej sieci kablowej i do 41 milionów amerykańskich domostw. A mogło być ich nawet o 12 milionów więcej, jednak potentat kablowy Time Warner Cable zapowiedział, że nie dołączy Al-Dżaziry do swojego systemu. Kilka dni temu spuścił jednak z tonu i dziś już nie wyklucza zmiany decyzji.

Nowicjusze na kablowym rynku w USA zawsze mają pod górkę. Przekonał się o tym nawet Rupert Murdoch, którego Fox News trafił do amerykańskich sieci kablowych po uiszczeniu gigantycznych ponoć opłat. Al-Dżazira America, bo tak będzie się nazywać nowy kanał dedykowany amerykańskim widzom, nie będzie więc miała łatwego życia, tym bardziej że nie cieszy się w USA najlepszą opinią. Po zamachach z 2001 r. długo uchodziła za stację jawnie antyamerykańską. Republikanie uważają zresztą, że nadal tak jest. – Al-Dżazira jest też antyizraelska i służy terrorystom za tubę propagandową – mówi „Przekrojowi” Dan Gainor, wiceprezes konserwatywnego Media Research Center.

Nie brakuje jednak głosów, i to nie tylko tych sprzyjających Demokratom, że wejście Katarczyków na rynek USA spowoduje rewolucję podobną do tej, jaką wywołało pojawienie się CNN w latach 80., i że Al-Dżazira America odniesie sukces.

Wyspa na amerykańskim oceanie
Al-Dżazira, po arabsku „wyspa”, należy do katarskiego państwa. Rozpoczęła nadawanie 1 listopada 1996 r. Ten 24-godzinny kanał informacyjny z centralą w Doha i studiami telewizyjnymi

w Londynie i w Waszyngtonie, ma dziś ponad 60 biur rozsianskich po całym świecie. Anglojęzyczny program stacji dociera obecnie do 260 milionów domostw w 130 krajach. Co ciekawe, w 1996 r. amerykański rząd jawnie ją popierał, licząc, że jej powstanie przyczyni się do rozpowszechnienia wolności słowa na Bliskim Wschodzie. Amerykańskie nastawienie do Al-Dżaziry zmieniło się po zamachach z września 2001 r., kiedy stacja wyemitowała słynne taśmy z bin Ladenem. Administracja Busha uznała wówczas, że Al-Dżazira uprawia antyamerykańską propagandę. W czasie działań wojennych Amerykanie zniszczyli, być może nieprzypadkowo, biura stacji w Bagdadzie i Kabulu, aresztowano również operatora Al-Dżaziry i osadzono na sześć lat w Guantanamo. Atmosfera wokół Al-Dżaziry zaczęła się ocieplać dopiero po wycofaniu wojsk USA z Iraku. Wizerunek stacji najbardziej jednak poprawił się w 2011 r., kiedy Al-Dżazira relacjonowała wydarzenia arabskiej wiosny. Amerykańskie gazety pisały wówczas, że jakości dziennikarstwa, które pokazała wtedy stacja, zazdrościły jej zachodnie telewizje. Zasłużyła nawet na pochwałę sekretarz stanu Hillary Clinton, która miała powiedzieć szefowi stacji, że Al-Dżazira nie jest już dla amerykańskiego rządu „problemem”, ale raczej częścią „strategii rozwiązywania problemów” na Bliskim Wschodzie.

Na podbój świata
Mohamed Zayani, arabski pisarz i publicysta zapraszany często do programów Al-Dżaziry, uważa, że istnieje podświadoma niechęć zachodnich widzów do newsów i programów produkowanych na, jak mówi, Południu, czyli na Bliskim Wschodzie. Ale i to się zmienia. Katarska telewizja w pełni wykorzystwała szansę, jaką dało jej nadawanie na cały świat relacji z arabskiej wiosny. Za programy z tego okresu zgarnęła mnóstwo międzynarodowych nagród. Jej 31-letni korespondent w Kairze, Ayman Mohyeldin, został jedną ze 100 najbardziej wpływowych

osób na świecie w 2011 r. według „Time’a”. To zresztą jedna z zasad stosowanych przez Al-Dżazirę: oprócz telewizyjnych weteranów rekrutuje młode talenty. Poza tym jest tam, gdzie inne zachodnie media pojawiają się niechętnie. – Al-Dżazira była jedyną globalną stacją telewizyjną, która zainstalowała biuro na Haiti, aby relacjonować skutki tragicznego trzęsienia ziemi – mówi Catherine Rasenberger, szefowa Rasenberger Media, firmy reprezentującej kilka lat temu Al-Dżazirę w USA. Warto przypomnieć, że Katarczycy zainteresowali się, choć tylko na chwilę, także Polską. W czasie rozgrywek Euro 2012 katarska stacja zainstalowała się na kilkanaście dni w warszawskim hotelu Marriott, w specjalnie w tym celu zbudowanym studiu. W Ameryce chce zostać jednak na znacznie dłużej i nie wszystkim się to podoba.

Jedyna taka szansa
Amerykańscy konserwatyści nie mogą darować Alowi Gore’owi, że odrzucił ofertę kupna Current TV złożoną mu przez radiowca i telewizyjną osobowość o tradycyjnych poglądach Glenna Becka i sprzedał dostęp do amerykańskich domów arabskiej telewizji. – To ważne, do kogo trafi nasza telewizja, z mediami, które nie dzielą naszych poglądów, nie jest nam po dro-



KARIM JAAFAR/AP

Al-Dżazira, po arabsku „wyspa”, jest telewizją państwową – należy do Kataru. Rozpoczęła nadawanie w 1996 roku.

dze – tłumaczył się Gore, zaostrażając tylko spór z krytykami transakcji. Wytknięto mu też hipokryzję – starał się podobno dopiąć kontrakt jeszcze przed końcem roku, żeby uniknąć płacenia wyższych podatków. Niechęć Republikanów wzbudził także lobbying Gore’a wśród właścicieli sieci kablowych. Miał się spotykać z potentatami tego biznesu, sugerując, że pozbycie się z ich platform Current TV pod katarską już egidą byłoby równoznaczne z uleganiem antyislamskim stereotypom.

Konserwatyści zalecają większą ostrożność wobec Al-Dżaziry i przypominają, że stacja nie jest tak niezależna, za jaką chce uchodzić. Fakty? Kilku korespondentów Al-Dżaziry, m.in. z Bejrutu, Kairu i Berlina, rozstało się ze stacją, zarzucając swoim szefom pobłażliwość dla terrorystów. Dan Gainor z Media Research Center przypomina z kolei fetowanie na antenie Al-Dżaziry libańskiego terrorysty Samira Kuntara, którego skazano za zabicie izraelskiego cywila na oczach jego czteroletniej córki. W 2008 r. Al-Dżazira urządziła mu na antenie z okazji wypuszczenia z więzienia huczne urodziny. Według Gainora katarska telewizja jest kolejnym państwowym kanałem dostępnym w USA (po chińskim i rosyjskim), któremu chodzi o dotarcie z propagandowym przekazem wprost do amerykańskich domów. – Al-Dżazira nie musi wykazać zysków. Jej zadaniem jest wywieranie wpływu na wybrany target, a w tym przypadku jest nim amerykańska elita polityczna – komentuje dla „Przekroju” Dan Gainor.

Nawet życzliwy stacji były szef anglojęzycznej Al-Dżazira, Tony Burman, przyznaje na łamach „Daily Telegraph”, że aby odnieść sukces, stacja będzie musiała zrezygnować z choćby śladów antyamerykańskiej retoryki. – Dziennikarstwo, które zaakceptują Amerykanie, musi powstawać na miejscu, w USA, i musi rozumieć ten kraj – mówi Burman. – Al-Dżazira ma tylko tę jedną szansę, amerykańska widowia z reguły nie daje już kolejnej.

DANUTA WALEWSKA

Rozmowy o biedzie za wielkie pieniądze

Za uczestnictwo w Światowym Forum Ekonomicznym w Davos trzeba słono zapłacić. Tak słono, że coraz częściej biznesmeni i politycy zarzekają się, że już się tam nie pojawią.

Inaturalnie nie dotrzymują słowa, wydają po raz kolejny dziesiątki tysięcy dolarów (według CNN średnio 40 tys. dolarów na osobę), aby otrzeć się o kilku prezesów światowych koncernów, spotkać Bono, podziwiać Angelinę Jolie i posłuchać Michaela Douglasa. I móc potem opowiedzieć o tym biznesowym partnerom. Wprawdzie np. Mohamed A. El-Erian, autor bestsellera „Kiedy rynki się zderzają” i prezes PIMCO, jednej z największych spółek powierniczych na świecie, ogłosił właśnie, że nigdy tam nie był i nigdy nie pojedzie, bo Davos nie ma żadnego wpływu na gospodarczą rzeczywistość świata, ale inni biznesmeni wiedzą swoje. Przyznają otwarcie, że nie mogą się co roku doczekać Bożego Narodzenia i momentu, kiedy rozbiorą choinkę. Dlaczego? Bo zaraz potem jest Davos.

Wielki świat

23 stycznia przyjedzie tu elita światowej polityki i biznesu. Bankierzy, prezydenci, biznesmeni i premierzy. W tym roku pojawią się m.in. Dmitrij Miedwiediew, Angela Merkel, David Cameron, Bill Gates i Christine Lagarde. Z kolei przyjazd gwiazd kina i muzyki to w 40-letniej historii forum całkiem nowy zwyczaj. Często w Davos pojawia się też ktoś z europejskich dworów panujących – książę Albert z Monaco, brytyjski książę Andrzej, który zajmuje się promocją brytyjskiego biznesu,

jordańska piękność – królowa Rania. Księcia Karola tym razem nie będzie, chociaż ekologia, która stanowi zawsze mocny punkt programu, jest mu bliska. W tym roku jedzie tylko na narty do pobliskiego, ekskluzywnego Klosters.

„Tak naprawdę w forum fascynuje mnie spojrzenie najważniejszych ludzi na świecie na to, jak widzą rzeczywistość, w której żyjemy. I bardzo lubię, kiedy gwiazdy rocka nagle wypowiadają się na bardzo poważne tematy” – mówił w jednej z audycji poprzedzających tegoroczną konferencję Richard Quest, gwiazda stacji CNN, który moderuje podczas forum najważniejsze debaty. I przyznał, że od publicznych wystąpień znacznie ciekawsze są nieoficjalne dyskusje w barach i restauracjach podających tradycyjne szwajcarskie fondue. Niektóre okazują się niezwykle owocne. Jak wspominał były premier Turcji Turgut Ozal, wizyta w Davos zapobiegła wojnie Turcji z Grecją w 1987 r., bo rok wcześniej poznał tam osobiście premiera Grecji Papandreou i wiedział, że może mu ufać.

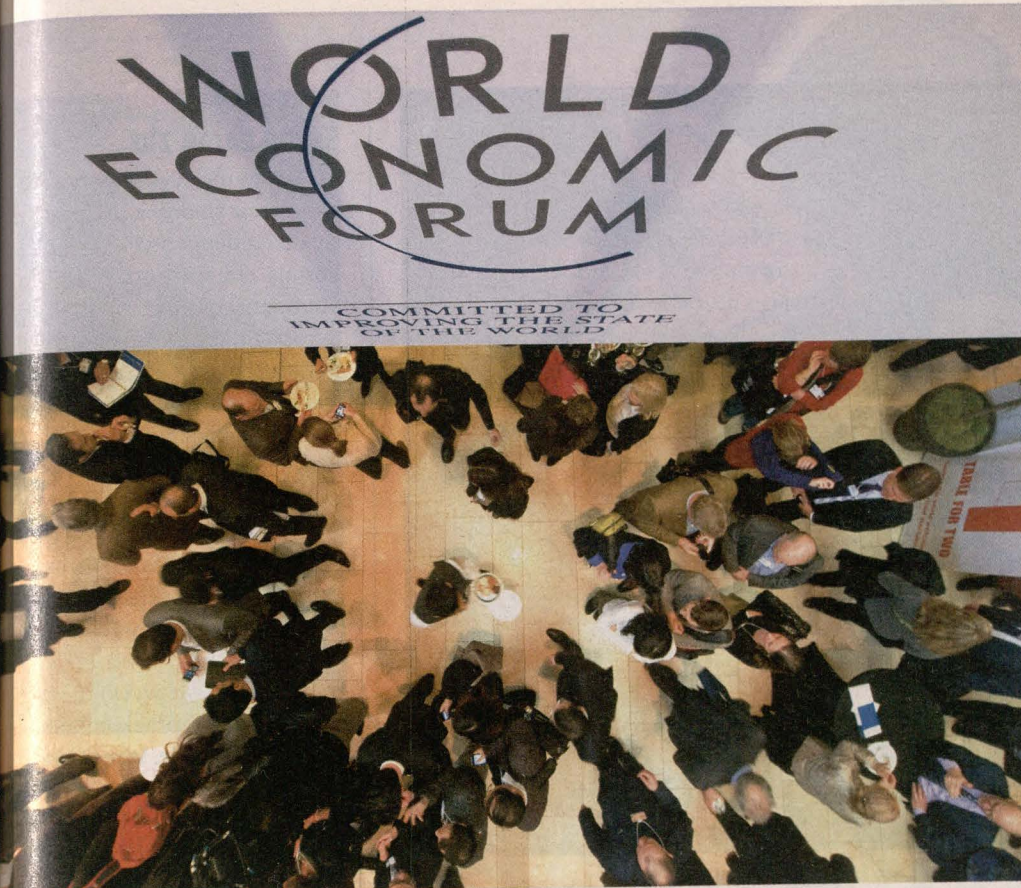
Topless na mrozie

Z zeszłorocznego forum najbardziej zapamiętano topless protest Ukrainek z organizacji Femen, którym niestraszny był mróz. Inna Szewczenko, przywódczyni Femenu, tłumaczyła, że przyjechała z koleżankami zaprotestować przeciwko biedzie na świecie, a w budynkach za policyjnymi zasieka-

mi siedzą bogacze, którzy są temu winni. „Davos to party gangsterów” – napisała sobie na piersiach inna uczestniczka protestu. W luksusowych hotelach szwajcarskiego kurortu rzeczywiście spotykają się bogacze, którzy choćby na czarter helikoptera z lotniska z Zurichu (odległość 150 km) wydają 10 tys. dolarów. W czasie forum pokój w hotelu Belvedere nie ma ceny, bo o rezerwacji nawet nie ma co marzyć. Poza sezonem dwuosobowy pokój w tym samym hotelu kosztuje ok. 500 franków.

Żeby móc pojawić się w Davos na dorocznej imprezie, trzeba zapłacić składki. To wydatek 52 tys. dolarów rocznie. Zwykłe członkostwo umożliwia pobyt i służy jako przepustka, ale to drożyzna i daje niewiele. Jeśli chce się więcej, jest coraz drożej. Za 137 tys. dolarów uczestnik dostaje możliwość wejścia na niektóre prywatne imprezy. Kiedy jakaś firma decyduje się na partnerstwo w forum, musi się liczyć z wydatkiem kwoty niemal dwukrotnie wyższej (260 tys. dol.). Za trochę ponad pół miliona dolarów jest już prawdziwa hulanka. Nie dosyć, że można przywieźć na forum kilku pracowników firmy, to jeszcze da się wywalczyć miejsce uczestnika w którymś z paneli.

Ale i tak to tylko podstawowe koszty. Do Davos trzeba jeszcze dojechać – samolotem do Zurychu i dalej pociągiem do Davos. Lot z Nowego Jorku do Szwajcarii kosztuje w tygodniu, w którym zaczyna się forum, nawet



FABRICE COFFRINI/AFP

5300 dol., a z Tokio 10,5 tys. Trzeba też jakoś się poruszać po samym kurorcie. Może to być np. wynajęta limuzyna – audi albo bmw (tysiąc dol.), choć w tym roku organizatorzy zachęcają do ekologicznego zachowania i korzystania z darmowego shuttle bus. Wygodny transport jest sprawą kluczową, bo ceny hoteli w samym Davos są niebotyczne. W każdym razie trzeba zakwaterować się tak, aby było jak najłatwiej dotrzeć do Davos Platz, bo to jest właśnie miejsce, gdzie wszystko się dzieje.

Liczba siedmiocyfrowa

Koszty mieszkania też są astronomiczne. Nie można przecież wydawać w najlepszym razie ot tak 100 tys. dol. i mieszkać gdziekolwiek, bo przecież nie jest najważniejsze to, co się dzieje podczas paneli, ale to, co się dzieje po ich zakończeniu. Przyjęcia, koktajle, kolacje, a nawet śniadania, często łączone z seminariami. Jak policzyli dziennikarze weterani Davos, na talerzach najczęściej pojawia się tam sznyceł cielęcy, a z trunków wina szwajcarskie. Najwię-

cej można skorzystać, jeśli samemu wyda się przyjęcie. No i znów tania nie będzie. Zależnie od rodzaju imprezy, tego jak jest wystawna, ceny zaczynają się od ok. 15 tys. dol. za dwugodzinny koktajl do 250 tys. dol. za party dla kilkuset osób. Jeśli więc zliczyć wszystkie wydatki, okaże się, że robi się z tego kwota siedmiocyfrowa. W dolarach.

Jest jeszcze opcja tańsza. Pojawić się w hotelu Belvedere w Davos po godzinie 18 i zobaczyć, w której sali zbierają się goście. Podobno czasami udaje się w ten sposób wmieszać w tłum i oszczędzić.

Wielu polityków i biznesmenów przyjeżdża do Davos z osobami towarzyszącymi. To naturalnie dodatkowy wydatek. Ale dla żon, mężów i innych osób towarzyszących jest organizowany specjalny program. Mogą nawet posłuchać mniej obłożonych paneli. Jedną z żon uczestnika zeszłorocznego forum w anonimowym wywiadzie dla Reutera mówiła, że bardzo łatwo jest poznać, kto do Davos przyjeżdża po raz pierwszy: to widać po butach. Panie w szpilkach, mężczyźni w lakier-

Do Davos przyjedzie 2600 gości ze 100 krajów. Koszt przylotu i pobytu to według CNN średnio 40 tys. dol. na osobę.

kach. Masakra. Tutaj trzeba elegancję schować do kieszeni i założyć moon walkery, które zagwarantują, że nie wybijemy sobie zębów na chodniku.

Śniegu jest zawsze mnóstwo. Bo rzeczywiście władze Davos położonego 1540 m n.p.m. akurat w tym przypadku są bardzo ekologiczne. Nie ma mowy, żeby chodniki posypano solą.

Media podzielone

Za uczestnictwo w forum płacą wszyscy poza mediami. Ale i tutaj panuje sztywny podział. Są media „lepsze” zapraszane nawet na zamknięte panele i bardziej prestiżowe przyjęcia. Ich dziennikarze mają na konferencyjnej wywieszce napis „gość”. Medialny plebs z wywieszkami „prasa” jest jednak szczęśliwy, że dostał akredytację, o którą wcale nie jest łatwo. Przy tym paneli może mniej interesujących, ale otwartych jest tyle, że trzeba się zdecydować, czy bardziej interesujące będą najnowsze technologie w telekomunikacji, walka z głodem w Afryce, najnowsze trendy inwestycyjne czy też metody leczenia raka. Uczestników zagania się na panele dzwonkiem. Takim, jaki noszą owce wypasające się na alpejskich halach.

Tegoroczne forum w Davos zacznie się po południu w środę 23 stycznia i zakończy cztery dni później. Wiadomo, że choć o kryzysie europejskim nie da się zapomnieć, to jednak nie będzie on już dominował jak w poprzednich latach. Tak samo jak przejadły się już debaty o tym, kiedy Chiny staną się pierwszą gospodarką świata. Temat przewodni to ochrona zdrowia. I jak zwykle – biznes i finanse. Stan gospodarki amerykańskiej i debaty nad tym, czy Stany Zjednoczone ostatecznie „spadną” z fiskalnego urwiska. Poza tym gigantyczny wachlarz innych tematów – od architektury poprzez neurochirurgię i muzykę do fizyki, astronomii i literatury. Ale to nie za udział w debatach uczestnicy szczytu gotowi są wyłożyć fortunę. Każdych pieniędzy warte są przecież nieoficjalne rozmowy z wielkimi tego świata.



DOMINIK SADOWSKI/AG

POLSKA

Podróżuj w towarzystwie

Do Polski wkracza właśnie serwis społecznościowy BlaBlaCar. To jeden z największych międzynarodowych portali łączących kierowców samochodów z ich potencjalnymi pasażerami. Za pośrednictwem strony użytkownicy umawiają się na wspólne przejazdy. Korzyści finansowe to tylko jedna z zalet takiego układu. Wspólne podróżowanie to także działanie proekologiczne, które przy okazji sprzyja zawieraniu nowych znajomości. Sam pomysł nie jest nowy. Do dzielenia miejsc w samochodach zachęcała już w czasie II wojny światowej amerykańska propaganda. Plakat ze znanym hasłem „jeżdżąc samotnie, wozisz Hitlera” przedstawiał samochód, w którym wolne miejsce pasażera zajmował duch przywódcy nazistowskich Niemiec. Carpooling czy car sharing to model podróżowania, który upowszechnił się w USA w czasie kryzysu paliwowego lat 70. W tym samym czasie w Polsce tysiące ludzi podróżowało autostopem, ale dziś, po latach czarnego PR-u, autostop przestał być tak popularny. Carpooling zaczyna być dla niego miłą alternatywą. → Basia Zaborowska-Czajka

SPROSTOWANIE

W świątecznym numerze „Przekroju” (nr 51/52) w przedruku fragmentu powieści „Intryga małżeńska” Jeffreya Eugenidesa nie umieściliśmy nazwiska tłumacza książki – Jerzego Kozłowskiego. Przepraszamy.



AFP

STANY ZJEDNOCZONE

Jazda bez trzymanki

Samochody, które mogą obyć się bez kierowcy, zaprezentowały podczas wystawy elektroniki CES w Las Vegas firmy Audi i Lexus. Japończycy postawili na bezpieczeństwo – ich „autopilot” zabiera się do pracy dopiero wtedy, gdy kierowca popełni grubszy błąd. Po wyprowadzeniu (nomen omen) auta z kłopotów automat może oddać kierownicę człowiekowi. Rozwiązanie Audi ma natomiast służyć wygodzie. Naciśnięcie przycisku na kierownicy uruchamia autopilota – można wtedy zdjąć ręce z kierownicy i nogi z pedałów. Samochód poradzi sobie sam: zahamuje przed skrzyżowaniem i ominie przeszkodę, ale tylko do prędkości ok. 55 km/h. Podobny system testuje Google, tyle że informatyczny gigant nie produkuje samochodów. A Niemcy i Japończycy zapowiadają, że w ich autach autopiloty pojawią się w ciągu dziesięciu lat. → peka



NATI HARAWAKI/PEAST NEWS

ŚWIAT

Syrop samo zło

Powszechnie wykorzystywana substancja słodząca przyczynia się do epidemii otyłości – przekonują naukowcy z Wydziału Medycznego Uniwersytetu Yale. Syrop glukozowo-fruktozowy jest wszędzie – w napojach gazowanych, słodyczach, dżemach, płatkach śniadaniowych, nawet w ketchupie. Co gorsza, dodawany jest także do produktów „zdrowych” – serków, soków, jogurtów czy batonów musli. Ze względu na skład (zawiera zwykle od 42 do 55 proc. fruktozy, reszta to glukoza i inne cukry) po zjedzeniu nie wywołuje poczucia sytości – przekonuje Kathleen Page z Yale. Wręcz przeciwnie, aktywuje region podwzgórza w mózgu, który mówi naszemu ciału: „jestem głodny”. Fruktaza nie hamuje też wydzielania greliny („hormonu głodu”) i słabiej niż glukoza wpływa na poziom insuliny – przekonują naukowcy na łamach „Journal of the American Medical Association”. Dlaczego zatem przemysł spożywczy wciąż korzysta z syropu? Bo produkowana ze skrobi kukurydzianej substancja jest tańsza niż „prawdziwy” cukier i łatwiejsza w transporcie. → peka



MARK RANDAL/PEAST NEWS

STANY ZJEDNOCZONE

Konkurs na najdłuższego węża

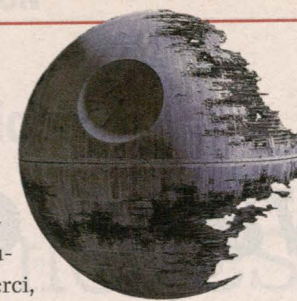
Na Florydzie ogłoszono pierwsze oficjalne polowanie na pytony. Rywalizacja, która ściągnęła ponad tysiąc uczestników z 30 różnych stanów, potrwa miesiąc. Nagrody fundowane przez stanowy Wydział Rybołówstwa i Dzikiej Przyrody wynoszą: 1000 dol. dla myśliwego, który upoluje największy okaz, i 1500 dol. dla osoby, która upoluje ich najwięcej. To część polityki mającej na celu unormowanie populacji tych gadów. Chociaż od 2010 r. kupno, sprzedaż i hodowla pytonów na Florydzie są nielegalne, ocenia się, że na wolności żyje ponad 150 tys. sztuk. Pytony na tych terenach nie mają żadnych naturalnych wrogów, dlatego zdarzają się osobniki osiągnące 8 m długości. Naukowcy alarmują, że z powodu rosnącej liczby węży z ekosystemu zniknęły lisy i króliki, a szopom, oposom i ryśiom grozi wyginięcie. Władze stanowe liczą, że polowanie rozwiąże ten problem. → bcz

STANY ZJEDNOCZONE

Stacja kosmiczna zamiast Gwiazdy Śmierci

Administracja Białego Domu odrzuciła wniesiony przez internautów projekt budowy Gwiazdy Śmierci, fikcyjnej planety z „Gwiezdnych wojen”.

Petycja w tej sprawie została złożona za pośrednictwem rządowego portalu We the People służącego do przedstawiania projektów obywatelskich. Twórcy pomysłu przekonują, że wzorowana na filmowej wersji Gwiazda Śmierci nie tylko byłaby świetnym obiektem obronnym, ale też jej budowa stworzyłaby wiele miejsc pracy. W świetle amerykańskiego prawa każdy pomysł, który zbierze co najmniej 25 tys. podpisów, wymaga rozpatrzenia. W oficjalnej odpowiedzi rząd docenia troskę o bezpieczeństwo kraju, jednak nie popiera wysadzania planet (głównym zadaniem Gwiazdy Śmierci było niszczenie kryjówek rebeliantów) oraz zaznacza, że to droga, niemożliwa do realizacji inwestycja. Na pocieszenie dowiadujemy się jednak, że od lat USA wspiera budowę stacji kosmicznej. → bcz



RAGO PAULLA/AFP

ESTONIA

Autobusem po Tallinie

Od początku nowego roku mieszkańcy Tallina korzystają z komunikacji miejskiej za darmo. Przyjezdni, jak dawniej, będą kupować bilety. To największe do tej pory miasto, które zdecydowało się na taki ruch. W Sydney czy w Montrealu komunikacja miejska jest darmowa jedynie na pewnych obszarach. Władze 450-tys. Tallina zdecydowały zaś o finansowaniu całego transportu miejskiego wyłącznie z budżetu miasta. Burmistrz przekonał mieszkańców i lokalnych polityków, że lepiej dla miasta jest wyłożyć pieniądze na komunikację publiczną, niż w nieskończoność inwestować w rozbudowę infrastruktury dla samochodów. Przy słabo rozbudowanej sieci tramwajów i niewielkiej powierzchni miasta koszt utrzymania komunikacji miejskiej to ok. 100 mln zł rocznie. Burmistrz liczy też, że tallińczycy, rezygnując z samochodów, przyczynią się do poprawy jakości powietrza w mieście. Już po pierwszych dwóch tygodniach działania systemu wiadomo, że Tallin będzie musiał dokupić autobusy, bo liczba chętnych przerasta wydolność sieci. → Szymon Mucha



HONKAWA ELEMENTARY SCHOOL/AFP

JAPONIA

Odnalezione zdjęcie

W budynku byłej szkoły podstawowej w Japonii znaleziono zaginione zdjęcie przedstawiające wybuch bomby atomowej w Hiroszynie. Reprodukcja tej fotografii pojawiała się w powojennych podręcznikach do historii, jednak do dziś nieznane były losy oryginału. To jedno z niewielu zdjęć wykonanych z poziomu ziemi. Cała pozostała znana dokumentacja zrobiona została przez amerykańskich żołnierzy podczas nalotów. To rzadkie zdjęcie ukazujące grzyb atomowy tuż po zrzuconiu bomby, w momencie, w którym chmura dzieli się na dwie części podobnej wielkości. Analiza kształtu chmury pozwala sądzić, że zostało zrobione od 6 do 30 minut po wybuchu, z punktu znajdującego się 10 kilometrów od miejsca eksplozji. Prawdopodobnie tym miejscem była dzisiejsza Kaita. Autor w ciągu kilku minut podjął decyzję, żeby wykonać fotografię. Możemy tylko podejrzewać, co nastąpiło potem. → bcz

JACEK CIEŚLAK

Z głową w chmurach

Nad naszym krajem pojawiły się chmury, ale witane są z entuzjazmem, bo oferują muzykę z powietrza. Tak mówi się potocznie o portalach prezentujących muzykę w formie streamingu: nie trzeba nagrań ściągać, wystarczy internetowe połączenie z bazą serwisu. W Polsce działa ich już kilka. W lutym do gry wejdzie **globalny gracz – Spotify**.

Odwyzczailiśmy się od noszenia płyt i kaset, ale przetrzuciliśmy ciężar płytoteki na nasze smartfony i komputery. Spotify to jeden z tych lekkich i mobilnych systemów, który sprawia, że nie musimy obciążać pamięci elektronicznych gadżetów, żeby mieć ciągły dostęp do ulubionych przebojów. Po prostu wchodzimy do kafejki, piszemy, mailujemy, a jednocześnie słuchamy muzyki z katalogu szacowanego na ponad dwadzieścia milionów nagrań. Zyskując, co tydzień, dostęp do wielu nowości.

– Przed startem, do którego się mocno szykujemy, nie mogę za wiele powiedzieć, bo nie byłoby niespodzianki – mówi Przemysław Pluta, szef polskiego Spotify, który powstał w Szwecji w 2008 r.

Niewykluczone, że w Polsce zaproponuje dodatkowe atrakcje, jednak jego działalność na świecie opiera się na kilku żelaznych zasadach. Jeśli chcesz korzystać z muzyki za darmo, jest to możliwe za pośrednictwem komputera stacjonarnego lub laptopa, ale godzisz się wtedy na słuchanie reklam. Nielimitowany dostęp do muzyki poprzez smartfony i tablety jest płatny. Zalogować da się również poprzez Facebooka czy Twittera. Można na próbę. W grudniu 2012 r. na 20 milionów globalnych użytkowników serwisu, pięć zdecydowało się na miesięczne opłaty. Od 2010 r. liczba użytkowników zwiększyła się dwukrotnie.

Wśród artystów pojawiają się obawy, czy streaming nie zabije sprzedaży płyt, która w Polsce – na tle bardziej rozwiniętych rynków w Europie Zachodniej – trzyma się mocno pomimo piractwa. – Dlatego na miejscu Spotify



PONTUS LUNDAHL/SCANPIX/FORUM

Chcesz wiedzieć, jakiej muzyki słucha Barack Obama, przygotowując się do wystąpienia? Zajrzyj na Spotify.

i innych streamingowych firm poświęciłbym dużo dobrej energii na akcję edukacyjną – mówi Piotr Kabaj, dyrektor generalny EMI Polska. – Moim zdaniem streaming to szansa na dodatkowe wpływy, jest bowiem kierowany do tych odbiorców, którzy płyt nie kupują, tylko ściągają pirackie pliki z sieci. Katalogi firm streamingowych są oferowane przez operatorów GSM i dobrze pomyślane darmowe promocje mogą sprawić, że młody klient zdecyduje się na abonament. A to dodatkowe pieniądze dla artystów.

Spotify ujawnił, że od 2008 r. odprowadził do organizacji zarządzających prawami autorskimi pół miliarda dolarów. W Szwecji jego udział w rynku fonograficznym wynosi 35 procent, na iTunes przypada 10 proc., na płyty CD zaś – 55 procent. Spadek sprzedaży odczuli tylko starsi wykonawcy, ponieważ serwisy streamingowe skierowane są do odbiorców w wieku do 35 lat.

Sceptycy mówią, że korzystanie ze streamingu w Polsce może uprzy-

krzać słaba sieć GSM, która daje znać o sobie poza miastami, w tunelach, metrze. Jest na to jednak sposób – kupno abonamentu, który umożliwi korzystanie z systemu nawet bez dostępu do sieci.

Spotify będzie w Polsce czwartym streamingowym serwisem po Deezerze, muzo.pl i WiMP. Konkurencja nie śpi. Kilka dni temu Deezer ogłosił uruchomienie w Polsce usługi Freemium, czyli darmowego streamingu utworów muzycznych dla wszystkich użytkowników z dostępem do ponad 20 milionów utworów – przez sześć miesięcy dla użytkowników laptopów i urządzeń stacjonarnych, a jednocześnie przez dwa tygodnie dla posiadaczy smartfonów oraz tabletów.

Z kolei Spotify jeszcze w grudniu zaproponował ekskluzywny wgląd w muzyczne tajemnice polityków, gwiazd i celebrytów. Chcesz wiedzieć, jakiej muzyki słucha Barack Obama, przygotowując się do publicznych wystąpień? Spotify pozwala poznać playlistę. Można się też dowiedzieć, jakiego repertuaru słucha obecnie David Guetta, Justin Bieber, Bruno Mars, Wiz Khalifa, Slash albo Metallica.

Wejście Metalliki do Spotify to prawdziwa sensacja. Kalifornijski kwartet długo się bronił przed dystrybucją nagrań w sieci. – Metallica zawsze chciała mieć kontrolę nad muzyką, którą prezentujemy naszym fanom, dlatego przyglądaliśmy się, jak działają nowe serwisy – powiedział Lars Ulrich, perkusista. – Teraz się przekonaliśmy, że Spotify jest najlepszym serwisem streamingowym. Niebawem to my się przekonamy, czy Ulrich ma rację.

Warszawa już nie jest zakałą

Mariusz Ziomecki



FRANCISZEK MAZUR

Dziwnie. Stoje, naprawdę pod wrażeniem, na wysokim tarasie centrum sterowania oczyszczalni ścieków na warszawskiej Białoleśce. Gapię się na hektary lśniących w zimowym słońcu, geometrycznie rozmieszczonych, hermetycznych instalacji. Oddycham wolnym od smrodu powietrzem, śledzę wzrokiem długi kanał, którym każdego dnia odpływa do Wisły prawie 400 tysięcy metrów sześciennych wody czystszej, niż wymagają tego srogie normy unijne. Patrząc nie mogę się nadziwić.

Cniatam wzrokiem spalarnię osadów, której komin wypuszcza do atmosfery praktycznie tylko parę wodną, i czegoś nie kumam. Słucham technicznych informacji szefa placówki na temat wszystkich wyobraźalnych aspektów jej działalności, ale po głowie chodzi mi tylko jedno pytanie – skąd ta cisza wokół Czajki?

Dlaczego prezydent miasta Hanna Gronkiewicz-Waltz nie robi fety z okazji uruchomienia gigantycznej i gigantycznie potrzebnej instalacji środowiskowej? To zawodowa polityczka, której do tej pory nie zdarzało się przegapić okazji do medialnego otwierania czegokolwiek, nawet, excusez-moi le mot, obiektów duperelnych. Tymczasem w Warszawie w drugiej połowie zeszłego roku ruszyła najnowocześniejsza na kontynencie oczyszczalnia ścieków ze spalarnią. Stolica Polski przestała być ekologiczną zakałą Europy, wspięliśmy się na wyższy poziom rozwoju cywilizacyjnego. Tymczasem pani prezydent, która potrafi szczerzyć zęby do fotoreporterów nie gorzej niż wszyscy inni, siedzi cicho. Naprawdę zastanawiające.

Fakt, że krajowe media nie wykazują podniecenia tematem, dziwi mnie mniej. Polakom znów wychodzi skakanie na narciach, matkę Madzi obciąża koleżanka spod celi, prawica narodowa ryczy na sędziego... Fakt, że Warszawa wreszcie przestała masakrować ekologicznie Wisłę, wywołał za to zainteresowanie poza granicami Polski, szczególnie u naszych sąsiadów znad Bałtyku. Z wizytą w Białoleśce byli już np. ambasador Finlandii i minister ochrony środowiska tego kraju. Podobno cieszyli się jak dzieci.

Według rzeczników miasta uroczyste otwarcie Czajki jest planowane na wiosnę, bo 22 marca przypada Światowy Dzień Wody. Jeszcze przez kilka miesięcy będą trwały procedury

odbioru inwestycji przez różne służby nadzoru (to zawsze trwa). Mimo obaw dziennikarzy – również moich – niezagrażona ma być też dotacja z unijnego Funduszu Spójności dla Czajki (prawie 700 mln złotych z nieco ponad 2,2 mld, jakie pochłonęła cała rozbudowa). Efekt ekologiczny został osiągnięty w pełni przed końcem 2012 r., czyli zgodnie z zobowiązaniem strony polskiej, a na kwity Bruksela zgadza się poczekać nawet pół roku.

Nie kwestionuję żadnej z tych informacji, jednak nie tłumaczę one do końca wstrzeźliwości pani prezydent. A może to obawa przed atakiem kontrpropagandowym? Pretekst by się znalazł: cała instalacja mogłaby ruszyć wcześniej, gdyby nie HGW, która w kampanii wyborczej w 2006 r. obiecywała mieszkańcom gminy, że przeniesie spalarnię poza Białoleśkę i nie pozwoli pompować do Czajki ścieków z lewobrzeżnej Warszawy. Prawie rok został stracony na bezskuteczne poszukiwania przez nową administrację innych lokalizacji. Wyborcza demagogia opóźniła projekt. Ale wydarzenia losowe (jak zalanie maszyny drążącej tunel pod Wisłą) i biurokratyczne zapętlenia z zezwoleniami też pochłonęły mnóstwo czasu.

Dziś liczy się tylko to, że ostateczny termin wynegocjowany przez panią prezydent w Brukseli został dotrzymany. Powstało najważniejsze ogniwo systemu czterech oczyszczalni – jest jeszcze Południowa o przepustowości 65 tys. m sześć. na dobę, Pruszków (45 tys.) i niewielka (5 tys.), ale arcyważna Dęba, która chroni północne ujęcie wody pitnej – które razem zapewniają stołecznej aglomeracji prawidłową gospodarkę ściekami na pokolenia. System jest diabelnie wydajny – sama Czajka przez rok oczyszcza więcej wody, niż mieści się w Zalewie Zegrzyńskim. Zakład wytwarza też dużą część energii elektrycznej, jaką zużywa (utyliczując metan).

Nie musimy czekać na Hannę Gronkiewicz-Waltz i jej oficjalne uroczystości w marcu. Możemy już przestać wstydić się za naszą stolicę. Jeśli jeszcze jakieś szkielety nie wypadną z szafy przy ostatecznym rozliczeniu finansowym tej inwestycji, będziemy mogli być wręcz dumni.

Nie wiem jak Wy, ale ja jako warszawiak sympatycznie czuję się z taką myślą.

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o ekonomii.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Łowcy ptaków na celowniku

Rozpoczęła się kampania „Niech Żyją!”, która ma na celu usunięcie ptaków z listy zwierząt łownych w Polsce. Zwolennicy myślistwa twierdzą, że częściowo oparto ją na fałszywych przesłankach.

Nie ma żadnego powodu, by strzelać do ptaków. To fanaberia, bardzo zła tradycja” – prof. Ewa Symonides z Uniwersytetu Warszawskiego nie przebierała w słowach podczas konferencji prasowej, którą 11 stycznia zainaugurowano kampanię „Niech Żyją!”. Organizatorzy chcą doprowadzić do tego, by w Polsce zaprzestano polować na dzikie ptaki. Obecnie na liście zwierząt łownych w naszym kraju znajduje się 13 gatunków, w tym cztery – kaczek, trzy – gęsi, oraz gołąb grzywacz, bażant, jarząbek, kuropatwa, łyska i słonka.

– Polska to jedyny kraj w Europie, w którym wolno strzelać do tak małej liczby gatunków kaczek i gęsi – broni myśliwych prof. Michał Wasilewski, kierownik Zakładu Zoologii Leśnej i Łowiectwa SGGW, poproszony przez „Przekrój” o komentarz. – A jeśli gatunek nie jest zagrożony wymarciem, to odstrzał stanowi kroplę w morzu naturalnych przyczyn śmiertelności.

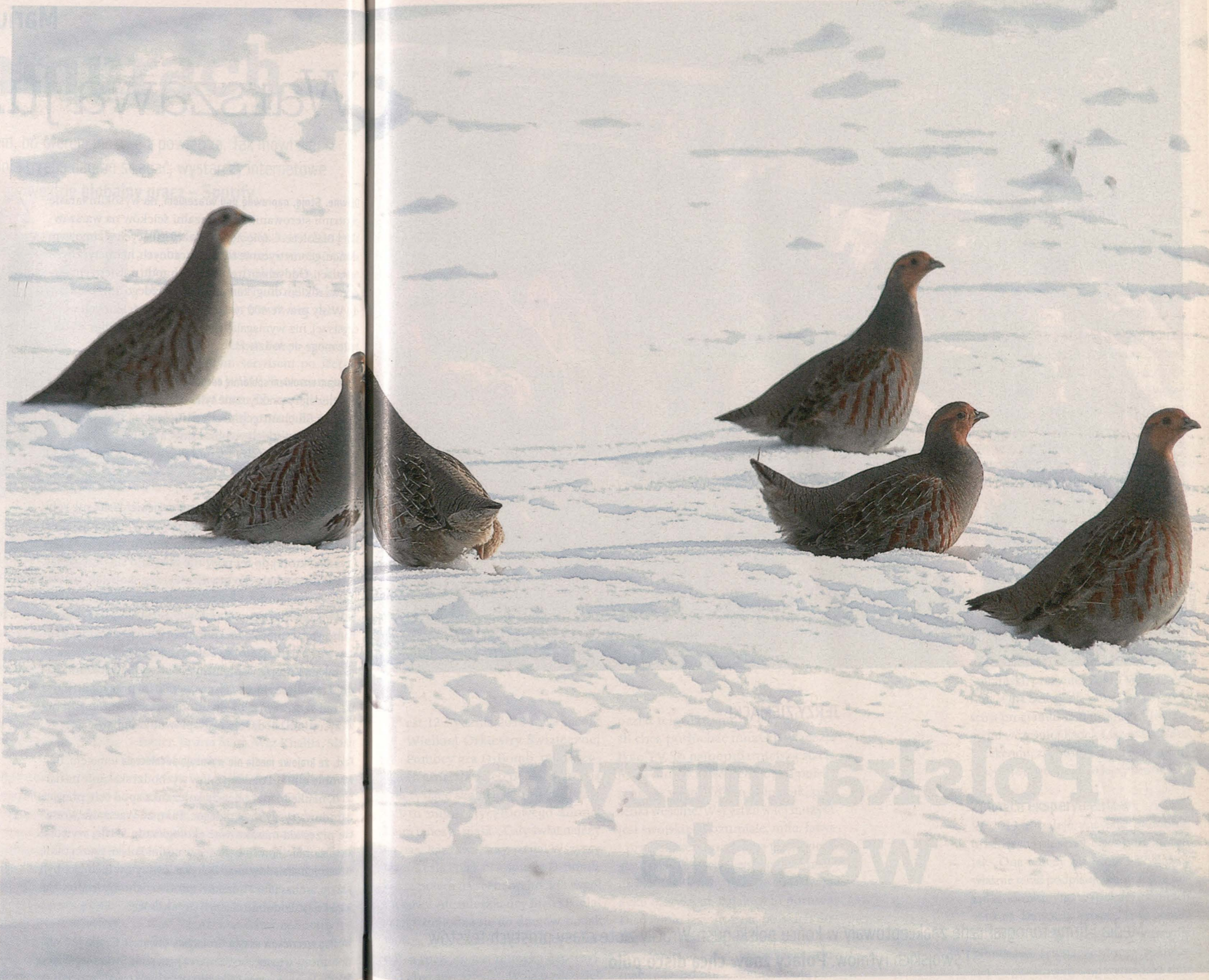
Koordinator akcji Arkadiusz Glaas powiedział na konferencji, że według oficjalnych statystyk w wyniku polowań w naszym kraju każdego roku ginie 140 tys. ptaków. Rzeczywista śmiertelność ma jednak sięgać 700 tys., gdyż wiele osobników umiera po postrzałach, w wyniku ran oraz zatrucia łożem ze śruciny. – Żeby polować na ptaki, myśliwi muszą mieć psy myśliwskie. Ich rolą jest właśnie wyszukiwanie postrzelonych ptaków – broni braci łowieckiej prof. Wasilewski.

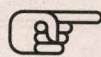
Glaas podał też wyliczenia ilości łożu, która trafia do środowiska w wyniku polowań. Jego zdaniem może ona przekraczać 600 t rocznie. To więcej niż emituje cały polski przemysł i transport. – To jest problem – przyznaje prof. Wasilewski. – Dlatego trwają próby zastąpienia łożu ołowianego stałym. Jest on jednak lżejszy i wymaga innej broni.

Ekolodzy na konferencji przekonywali także, że myśliwi często nie rozpoznają gatunków kaczek czy gęsi. W dodatku nierzadko polują wieczorem lub w nocy. O takich porach nawet zawodowy ornitolog miałby kłopot z odróżnieniem podobnych do siebie gatunków. Myśliwi zabijają więc również ptaki chronione, często bardzo rzadkie. Prof. Wasilewski zgadza się z tym argumentem, ale postuluje, by raczej zmieniać zasady polowań, niż je likwidować. – Najlepiej by było, gdyby myśliwy polował według zasady „Nie wiem, nie strzelam” – mówi uczony. – Można by też się ograniczyć do polowania w ciągu dnia.

Jak widać, przynajmniej niektóre argumenty kampanii „Niech Żyją!” zyskały zrozumienie obrońców łowiectwa. Może więc los dzikich ptaków polskich tak czy owak ulegnie poprawie. 📧

PIOTR KAMIONKA/ANGORA/REPORTER





JERZY ZIEMACKI

Polska muzyka wesoła

Media i firmy fonograficzne zaakceptowały w końcu polski gust. Wróciły złote czasy prostych tekstów i swojskich rytmów. **Polacy znów chcą disco polo.**



Radek Liszewski, lider zespołu Weekend, duma rodzinnych Sejn, doskonale wie, jak rozgrzać publikę. Ona zawsze tańczy (dla niego).

Jest 12 stycznia 2013 r. Na scenie Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy gra D-Bomb, pierwszoligowa gwiazda disco polo. Pod sceną dwa tysiące szalejących ludzi. Przyszli tu mimo styczniowego zimna. Tłum tańczy i płąsa. „Cały świat należy do nas! Raz, dwa, trzy, jazda! Wszyscy razem, cała Polska!” – śpiewa D-Bomb. Zaraz potem na scenę wchodzi zespół rockowy. Ale mieszkańcy Białej Podlaskiej rozchodzą się do domów, bo jak mówią, „jest zimno i zaczyna być nudno”, a rock „to jest muzyka depresyjna i zbyt agresywna”. Wolą posiedzieć

przed telewizorem, w ciepłku. Jeśli chcą posłuchać muzyki, włączają Polo TV. To najpopularniejsza stacja muzyczna w Polsce, emitująca polską muzykę wesołą: disco polo, folk, piosenki weselne. Wszystko w tej muzyce jest swojskie, zrozumiałe, miłe, łatwe i przyjemne. A przy tym tajemniczo słowiańskie: słychać wschodnie melodie, ludowe rytmy i proste słowa w języku ojczystym. Polaków to porusza. Disco polo jest muzyką polskich duszyczek. – Ludzie wiedzą, że jak gra disco polo, to jest dobra zabawa – tłumaczy D-Bomb. – Mamy swoją sło-

wiańską tradycję. I to jest fajne – dodaje discopolowiec Jorrgas.

Wielki powrót

Moda na disco polo wróciła wraz z sukcesem zespołu Weekend. Teledysk do piosenki „Ona tańczy dla mnie” obejrzało 40 mln internautów. Radek Liszewski z Sejn, lider zespołu, trafił na okładki kolorowych pism. W najbliższym czasie będziemy słuchać jego piosenek w radiu i w telewizji. Zespół Weekend otworzył drzwi do kariery innym zespołom disco polo. Bo takich zespołów jak Weekend jest w Polsce co najmniej kilkanaście.

Hit zespołu Masters, „Żono moja”, obejrzało ponad 20 mln razy. „Żono moja, serce moje/Nie ma takich jak my dwoje/Bo ja kocham oczy Twoje/Do szaleństwa, do wieczora” – śpiewa Paweł Jasionowski, lider zespołu z Zambrowa. Aż 12 mln obejrzało teledysk Tomasza Niecika „Cztery osiemnastki w moim samochodzie”, w którym muzyk z Grajewa przekonuje, że „To jest teraz trendy, to jest teraz w modzie/Cztery osiemnastki, tylko w mojej furze/Lubią być na dole, kiedy ja na górze”. Pierwszoligowi discopolowcy nie schodzą ze swoimi teledyskami poniżej kilku milionów wyświetleń.

– Internet pokazał, kogo tak naprawdę Polacy chcą słuchać i oglądać. Chcą disco polo – mówi „Przekrojowi” Maciej Smoliński, prezenter Polo TV. Premiera hitu „Ona tańczy dla mnie” miała miejsce w programie Smolińskiego. Kilka tygodni wcześniej Radek Liszewski, lider Weekendu, zadzwonił do niego z informacją, że nagrał bardzo fajny utwór.

Żadnych eksperymentów

W 2013 r. zaleje nas fala podobnie brzmiących piosenek disco polo. Takich jak „Ona tańczy dla mnie”. Wydawcy właśnie teraz podpisują kontrakty z dotąd ignorowanymi zespołami. Sami ich szukają. Dzwonią. Proszą. Trwa gorący nabór do studiów nagrań. Wytwórnie pilnują, aby artysta nie zbacział ze słusznej drogi: żadnych eksperymentów mu-



Tomasz Niecik, autor przeboju „Cztery osiemnastki w moim samochodzie”. Muzyk z Grajewa wie, co jest „teraz trendy, co jest teraz w modzie”.



Weekend uruchomił medialną lawinę. Nastąpił lepsze czasy dla „polsz disco”. Firmy fonograficzne i rozgłośnie radiowe zaczynają to dostrzegać.

„Jak my gramy, to pod sceną stoją jakieś upiory w glanach. A wy, discopolowcy, macie zawsze fajne dupeczki na swoich występach” – opowiada, pijąc kawę na podwójnym espresso.

I tłumaczy, że robi muzykę dla zabawy. Nie wciska fanom własnej wizji życia. – Nie widzę specjalnej różnicy między swoją muzyką a muzyką takich komercyjnych zespołów jak Kombii czy Feel. Uważam, że w gruncie rzeczy wszystko to jest disco polo – dodaje pewny siebie. Tłumaczy, że dla muzyka z filharmonii Lady Gaga, Lady Pank i D-Bomb brzmią tak samo. Dlatego nie może zrozumieć, dlaczego od kilkunastu lat discopolowcy mieli pod górkę. Zarówno w polskich rozgłośniach, telewizji, nie mówiąc już o prasie, która ich obśmiewała. – W latach 90. media wmówiły nam, że to, co polskie jest złe. Wstyd jeździć polskim samochodem, wstyd chodzić w ciuchach polskich projektantów, wstyd słuchać disco polo. Ale teraz Polacy przestają wstydzic się swojego. I bardzo dobrze! – wyr. je D-Bomb. Dwie osiemnastolatki kursujące wahadłowo po Złotych Tarasach wracają, posyłając kolejne uśmiechy gwiazdorowi.

Po latach partyzanckiej walki o przebicie do show-biznesu, disco polo wreszcie wygrało. Media i firmy fonograficzne zaakceptowały polski gust. Weekend święci triumfy. Boys jest grane w wielkomiejskich klubach. Bayer Full podbija Chiny. Etna udziela się w mainstreamowych mediach. D-Bomb pokazuje mi podpisany kontrakt z Universal Music Polska. Wszystkim discopolowcom żyje się lepiej.

Teraz disco polo

Od kilku lat na koncertach grup disco polo zawsze jest komplet. Menedżerowie klubów płacą pierwszoligowym discopolowcom od 5 do 15 tys. złotych za występ. Zespół Weekend bierze dziś nawet 25 tys. Stawki dla discopolowców bardzo podskoczyły: są już właściwie na poziomie mainstreamowych zespołów. To dlatego, że zatrudniając discopolowców, organizator ma pewność, że sprzeda wszystkie bilety (po 10–30 zł). A ludzie będą się dobrze bawić. I za-

pragną wrócić. Największe discopolowe dyskoteki gromadzą w sobotę nawet 2 tys. ludzi.

Najlepsze znajdują się poza dużymi miastami: Discoplex A4 w Pietnej, Klub Seven w Legnicy, Club Panorama w Przesławicach – to absolutna czołówka. Dobre nagłośnienie, nowoczesne oświetlenie, solidna ochrona i dużo wesołej muzyki. Dojazd do dyskotek jest łatwy, kursują tu specjalne busy. Jeszcze kilka lat temu pod sceną królowała moda turecka. Dziewczyny nosiły białe kozaki i koszulki z ogromnymi napisami Armani, Gucci, Versace. Panowie preferowali koszule z kołnierzem i brązowe buty z nubuku. Obecnie to się zmieniło. Dominują markowe garnitury i białe trampki. Dziewczyny w pastelowych bluzeczkach i seksownych spódnickach. Wszyscy wyperfumowani.

Disco polo zaczyna grać również wielkomiejskie kluby. „W każdy wtorek,

począwszy od 15.01.2013, robimy Wam imprezki, o które tak długo zabiegaliście: disco polo i polski dance” – pisze na swoich stronach klub Tygmont, który mieści się przy prestiżowej ulicy Mazowieckiej w Warszawie. Od kilku lat zespoły disco polo grają również na studenckich juwenaliach w Krakowie, we Wrocławiu, w Gdańsku i Poznaniu. Profesorowie są rozczarowani: uważają, że zabawa przy disco polo nie przystoi przyszej elicie intelektualnej. Ale studenci najlepszych uczelni bawią się przy polskim disco wyjątkowo dobrze.

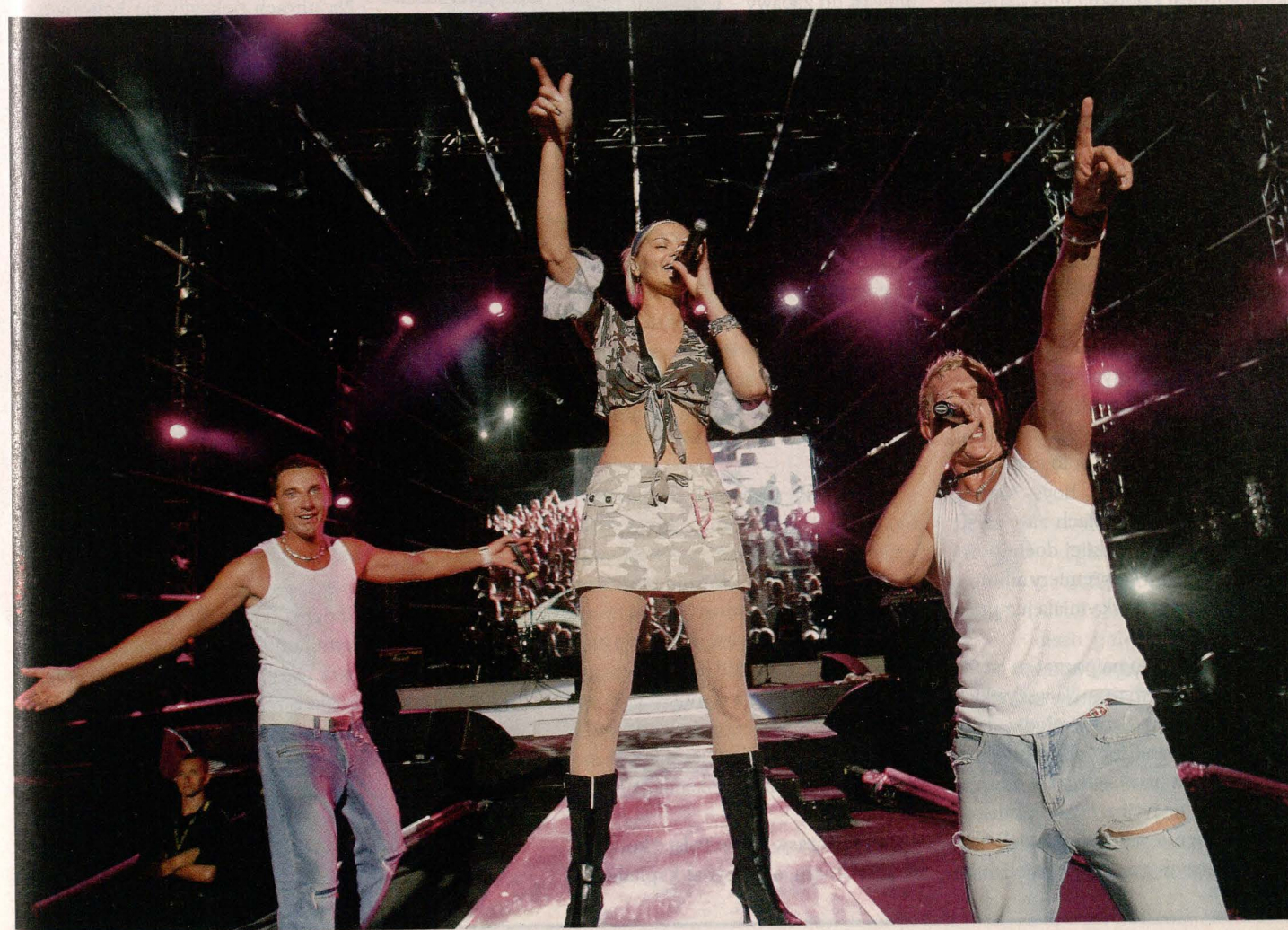
Leczenie z kompleksów

Telewizja Polo TV jest przez Polaków oglądana chętniej niż MTV i Viva Polska. W 2012 r. była najpopularniejszym kanałem muzycznym w kraju. Prezentarami stacji Polo TV są m.in. Shazza i Marek Sierocki, dziennikarz Teleexpressu. – Marek Sierocki prowadzi

u nas program Video Mix. Kiedy do nas przychodzi, zawsze udziela nam dobrych rad. Jest bardzo doświadczonym dziennikarzem. O disco polo zawsze wyraża się z sympatią – opowiada Maciej Smoliński.

W Polo TV przez dwadzieścia cztery godziny na dobę można oglądać teledyski, wywiady, talk shows z discopolowcami. Na antenę po latach powrócił program „Disco Relax”. Sukces zespołu Weekend przysporzył stacji setki tysięcy nowych widzów. – Mamy olbrzymią oglądalność. Czuję wielką odpowiedzialność. Chcę, aby disco polo miało w Polsce dobry wizerunek. Staram się nie dopuszczać na antenę piosenek kiepskich, nieprofesjonalnych, wulgarnych – mówi Maciej Smoliński. Dlatego w Polo TV nigdy nie puszczono hiciora zespołu Sebiei zatytułowanego „Cipuleńka” (na YouTube ma ponad milion wyświetleń).

D-Bomb, pierwszoligowa gwiazda: „Ludzie wiedzą, że jak gra disco polo, to jest dobra zabawa”. Bo jest swojsko, łatwo, przyjemnie.



PIOTR FOTEK/REPORTER

„W radiu wciąż pierwsze miejsca obcy song/To co nasze jest rzucane gdzieś na dno. Szacun tym, co głośno mówią o tym, że/To nie wstyd na półce takie płyty mieć” – śpiewa w Polo TV discopolowiec Jorrgus. Pomysł na utwór „Nasza muzyka” był prosty: nagrać muzyczny manifest, który weźmie w obronę słuchaczy disco polo. Do swojego kawałka Jorrgus zaprosił Marcina Millera, frontmana legendarnej formacji Boys. Razem nagrali teledysk. W refrenie reklamują disco polo: „Nasza muzyka/emocji dotyka/jej czas nie przemija/chociaż wciąż spychana w ką/zawsze wygrywa”.

– Polacy najlepiej bawią się przy disco polo. Ale niepotrzebnie się tego wstydzą. Cieszą się, że wreszcie się to zmienia. Leczymy się z niepotrzebnych kompleksów! – mówi Jorrgus. Marcin Miller z zespołu Boys śpiewa w swojej zwrotce, że „Mało kto bez wahania przyzna że/Fanem jest i polskiej muzy słuchać chce/Jednak gdy na imprezie buja się/Polski bit wymiata, rządzi, królem jest”. Tak było zawsze: Polacy bawili się przy disco polo, a jednocześnie czuli wstyd. Dlaczego?

Historia polskiego wstydu

W pierwszych latach III RP rozeszło się ponad 100 mln kaset disco polo. Ale większość z nich nigdy nie stała na sklepowych półkach. Były sprzedawane na bazarowych straganach lub z łóżek polowych rozkładanych przy skrzyżowaniach. To był drugi obieg. Bazarowy undergorund. Każdy handlarz wiedział, że sprzedawanie disco polo to gwarantowany zysk. Top One, Boys, Akcent, Classic: na tych zespołach zawsze się zarabiało. Ale najbardziej dochodowe były pierwsze dni od premiery albumu. Po tygodniu cała Polska miała już przegrywane kopie.

Disco polo było na początku lat 90. zjawiskiem masowym. – Na wszystkich koncertach las rąk. Starzy, młodzi, dzieci, dorośli! Jeździliśmy od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, od miasta do miasta. Najbardziej lubiliśmy grać w plenerze, jak ludzie mogli tańczyć na świeżym powietrzu i mieli dużo



KRYSTIAN BIELATOWICZ/WISAVA.PL/FORUM

miejsca do zabawy – wspomina Paweł Kucharski, lider zespołu Top One, jednego z pierwszych zespołów disco polo w Polsce. Po koncertach ludzie stali w kolejce po autograf. W rękach trzymali kasety. – Większość kaset, na których się podpisywaliśmy, to były pirackie kopie. Wiedzieliśmy o tym. Ale nikomu nie odmówiłem. Wtedy nie liczyły się pieniądze, tylko duch słowiańskiej zabawy i to poczucie, że wszyscy jesteśmy jedną polską rodziną – wspomina Kucharski.

Szacuje się, że w Polsce rozeszło się wówczas 8 mln nośników audio z muzyką Top One. Tego nieoficjalnego rekordu zespołu Top One nikt do tej pory nie pobił.

Całe polskie disco polo wydawał jeden człowiek: Sławomir Skręta, właściciel hurtowni kaset z Żyrardowa. W 1990 r. założył wytwórnię Blue Star, która jako jedyna fonograficzna firma w kraju zaczęła wydawać disco polo (nazwę gatunku wymyślił sam). W ciągu sześciu lat wytwórnia wypuściła ponad 400 kaset i płyt disco polo i wylansowała kilkudziesięciu najbardziej znanych discopolowców: Milano, Akcent, Atlantis i Shazze.

To były czasy, gdy w Polsce kończył się komunizm, a zaczynał kapitalizm.

Marcin Miller, frontman zespołu Boys, to legenda na polskiej scenie. Od lat przekonuje, że miłośnicy do „polskiego bitu” nie powinniśmy się wstydzic.

Na ulicach pojawiły się kolorowe reklamy, w telewizji melodramatyczne seriale, a w sklepach nawet banany i pomarańcze. Sławomir Skręta z dnia na dzień stał się milionerem. Wybudował dom z basenem i zaczął jeździć lexusem, w czasach gdy wszyscy jeździli małymi fiatami. Mówiło się o jego powiązaniach z mafią pruszkowską. Podobno sukces zawdzięczał pieniądзом „Masy”, „Kielbasy” i „Pershinga”. Ale Polaków spragnionych disco polo niezbyt to wtedy interesowało.

Najważniejsza była „wolność i swoboda” (Boys) i poczucie wspólnoty, o czym przekonywał Bayer Full, śpiewając „wszyscy Polacy to jedna rodzina”. Rodzina, która w wydaniu discopolowym lubiła sobie poświntuszyć: „Barabara, riki-tiki-tak. Jeśli masz ochotę, daj mi jakiś znak” (Milano). Zespół Polskie Orły operował konkretnymi instrukcjami: „Cztery razy po dwa razy i nad ranem jeszcze raz”. Ale potem przychodził czas na refleksję, bo w radosnym repertuarze disco polo, jak w każdej polskiej duszyczce, czaiła się również słowiańska

chandra: „Piękny świat, gdy się ma dwadzieścia lat” (Boys), smutny, gdy „Zostają już tylko wspomnienia” (Shazza). Akcent konstatował, że „Życie to tylko chwile, tak ulotne jak motyle”, a Top One przekonywał, że „Życie jak czarno-biały film/klatka za klatką zmienia się”.

Ale pomimo zachwyty mas media tuż po 1989 r. uparcie udawały, że disco polo nie istnieje. Doszło do paradoksalnej sytuacji: najbardziej popularna krajowa



Etna zaczynała od disco polo. Potem próbowała przestawić się na dance. Dzisiaj wraca do swoich korzeni.

EAST NEWS

muzyka była bojkotowana przez właściwie wszystkie znaczące media. Obciach – to słowo zrobiło zawrotną karierę w latach 90. Obciachem była wieś, wieśniactwo, mieszkanie na wsi i disco polo, czyli „wiejska muzyka”. Wszyscy słuchali disco polo, ale każdy próbował to ukryć. Zamiast obciachu wielkie rozgłoszenie radiowe promowały anglojęzyczny pop.

Złote czasy

W 1992 r. zorganizowano w Sali Kongresowej, najbardziej prestiżowej sali koncertowej w Warszawie, Galę Piosenki Popularnej i Chodnikowej, na której wystąpiły takie zespoły jak: Top One, Fanatic, Atlantis,

Akcent. Zainteresowanie było tak olbrzymie, że koncert prowadzony przez Janusza Weissa trzeba było powtórzyć. Galę emitowała telewizja publiczna. Cała Polska usłyszała w telewizji swoje ulubione piosenki: „Czarownica”, „Ciao Italia”, „Śpiąca Królowna”, „Czerwona jarzębina”. To było 20 lat temu. Polskie disco polo z lat 90. potrafi wzruszyć do dziś. W tych prostych słowach i banalnych melodiach kryje się kawałek historii polskiej duszy.

W 1994 r. telewizja Polsat zdecydowała się na awangardowy krok: powstał legendarny program „Disco Relax”. A rok później, w 1995 r., Aleksander Kwaśniewski, ówczesny kandydat na prezydenta RP, tańczył disco polo przy piosence „Olek, Olek”, skomponowanej specjalnie na tę okazję przez Top One. Niewykluczone, że ten discopolowy gest, ukłon w stronę ludyczności, zaważył na jego minimalnym zwycięstwie nad Lechem Wałęsą.

Pod koniec XX wieku disco polo zaczęło tracić na popularności. Polacy poczuli chwilowy przesyt. Popularność zyskały polskie wersje zachodniej muzyki: rap, hip-hop, rock. Zaczęła się era, którą zobrazował niedawno film „Jesteś Bogiem”. Era buntu, krytyki społecznej, muzyki alternatywnej. „Już nie ma disco polo/taśmy na stadionach płoną” – rapował O.S.T.R. w 2003 r.

Po uśpionej dekadzie disco polo wraca. Najpierw opanowało Internet, teraz przebojem wchodzi do telewizji i radia.

– Lata 90. to były złote czasy polskiego disco. Ale widzę, że historia zatacza koło. Znow słuchają nas tłumy. Na koncertach widzę rówieśników, ale i młodzież. Żałuję tylko, że ja już się trochę zestarzałem – oznajmia lider Top One.

ROZMAWIA JUSTYNA WRÓBEL

Nowy Jork ma krótką pamięć

O tym, jak z powodzeniem promować polską muzykę za amerykańskie pieniądze, opowiada **Anna Perzanowska**, kuratorka Instytutu Kultury Polskiej w Nowym Jorku.

Jaki jest twój sposób na prezentację polskich muzyków w Ameryce?

Mam ich kilka. Docieram bezpośrednio do najważniejszych amerykańskich instytucji kulturalnych. Analizuję ich programy i wychodzę z konkretną propozycją. Muszę się dobrze wstrzelić w ich zainteresowania. Po sześciu latach pracy w Instytucie mam już wyrobione kontakty. Ułatwia mi to dotarcie do osób decyzyjnych. Współpracuję z amerykańskimi wytwórniami i agencjami menedżerskimi, np. z Columbia Artists Management czy ECM Records. Wysłałyśmy też organizatorów wydarzeń muzycznych oraz liczących się w branży dziennikarzy na wizyty studyjne do Polski. Byli wśród nich m.in. kuratorzy z Lincoln Center (siedziba m.in. Metropolitan Opera, nowojorskiej filharmonii i baletu – red.) i producenci koncertów muzyki elektronicznej. Bywali na przykład na festiwalu Warszawska Jesień i Unsound w Krakowie, a w zeszłym roku na festiwalach muzyki dawnej w Nardolu i w Jarosławiu.

I nie są to wyrzucone pieniądze?

Wszystkie te wizyty prędzej czy później przynoszą efekty. Najlepszym przykładem była nasza współpraca z Lincoln Center i Julliard School of Music przy festiwalu Focus w 2011 roku poświęconym polskiej muzyce współczesnej. Wcześniej dyrektor festiwalu

Joel Sachs gościł na zaproszenie Instytutu w Polsce. W Stanach zorganizowaliśmy wspólnie siedem koncertów, w czasie których zaprezentowaliśmy twórczość 34 kompozytorów. Było to największe w historii wydarzenie promujące naszą muzykę współczesną w Ameryce, na dodatek bardzo udane. Sale koncertowe były wypełnione po brzegi. Zaprezentowaliśmy nie tylko takich tytanów jak Krzysztof Penderecki i Henryk Mikołaj Górecki, lecz także młodsze pokolenie kompozytorów. Joel Sachs w grudniu ubiegłego roku wrócił do Polski, aby odebrać przyznany mu medal Gloria Artis.

Kogo jeszcze wprowadziłaś do amerykańskich programów koncertowych?

Muzykę Pawła Szymańskiego, Pawła Mykiety, Agaty Zubeł i Dobromiły Jaskot. Kwartet Del Sol z San Francisco wykonywał muzykę kameralną Mykiety i Szymańskiego. Pianistka Eva-Marie Zimmermann, nominowana w ubiegłym roku do Grammy, ma w repertuarze „Epiforę na fortepian i taśmę” Mykiety. Współpracowaliśmy także z JACK Quartet, American Symphony Orchestra, Ensemble Signal, American Contemporary Music Ensemble (ACME) i wieloma innymi. Polska ma niebywały potencjał w muzyce współczesnej, należy tu wymienić kompozycje Elżbiety Sikory czy niezyczącej już Grażyny Bacewicz. Obecnie pracujemy też nad

projektami z muzyką Krzysztofa Pendereckiego. W 2014 r. przedstawimy jego „Credo”.

Gdzie szukasz pomysłów?

Mało śpię (śmiech). Dużo słucham muzyki i śledzę nowości na rynku. Czytam recenzje i blogi uznanych w Ameryce krytyków muzycznych, aby wyczuć ich aktualne zainteresowania. Z muzyką klasyczną mam kontakt od piątego roku życia. Później zafascynowała mnie etnomuzykologia. Ta wiedza muzyczna bardzo się przydaje w pracy w Instytucie. W naszym programie chcę zachować równowagę między muzyką klasyczną, folkową, jazzem, muzyką elektroniczną i eksperymentalną. Współpracuję też z muzycznymi instytucjami w Polsce. Wiele osób przyczynia się do sukcesów naszych artystów i kompozytorów w USA, m.in. Andrzej Kosowski, dyrektor Instytutu Muzyki i Tańca, czy Monika Strugała z Instytutu Fryderyka Chopina.

Kto poza muzykami klasycznymi najlepiej sprzedaje się w Ameryce?

Ostatnio największe sukcesy odnoszą artyści z warszawskiej wytwórni Lado ABC. Wywodzą się z niej tacy muzycy jak na przykład Macio Moretti, Raphael Rogiński, Marcin Masecki czy SzaZa z Pawłem Szamburskim i Patrykiem Zakrockim.

ANNA PERZANOWSKA

Kurator w Instytucie Kultury Polskiej w Nowym Jorku, odpowiedzialna za promocję polskiej muzyki w USA. Jest z wykształcenia etnomuzykologiem po City University of New York. Ukończyła też studia na wydziale międzynarodowego biznesu w Baruch College i gra na wiolonczeli. Współorganizowała Focus, największy festiwal współczesnej muzyki polskiej w Ameryce, i trzy nowojorskie edycje krakowskiego festiwalu Unsound. Do jej ulubionych kompozytorów należy Paweł Mykiety.

PRZEKRÓJ numer 3



JOHNATAN WIENK

Dlaczego właśnie oni?

Lado ABC ma niezwykle potencjał muzyczny. Artyści odnosili już sukcesy w Stanach. Macio Moretti i Piotr Zabrodzki wystąpili w naszej nowojorskiej edycji krakowskiego festiwalu Unsound w 2012 r. w Atrium Lincoln Center, czołowym centrum sztuki na Manhattanie. Są zapraszani na kolejne występy. W latach 2010–2012 zorganizowaliśmy trzy edycje tego festiwalu wspólnie z organizatorami z Krakowa, Matem Schulzem i Gosią Płysą. Festiwal Unsound to już nasza sprawdzona marka na rynku amerykańskim. SzaZa z kolei odniosła wielki sukces podczas trasy w 2010 r. z muzyką do krótkometrażowych filmów Romana Polańskiego. Wystąpili m.in. w Galerii Narodowej w Waszyngtonie, gdzie dostali owacje na stojąco! To był projekt, nad którym pracowałam wspólnie z naszą byłą rewelacyjną kuratorką filmową Natalią

Babinski. W lutym jazzman Mikołaj Trzaska z Kilogram Records wraz z Maciu i Raphaelem przedstawia w Ameryce projekt Shofar. Swoją trasę rozpoczyna koncertem w Lincoln Center w Nowym Jorku.

Muzycy wezmą udział w festiwalach z muzyką żydowską, które współtworzyli. Czy amerykańscy organizatorzy tych wydarzeń też byli wcześniej w Polsce?

Po wielu latach namawiania udało się nam przekonać do tego Eleanor Shapiro, dyrektor Jewish Music Festival w Berkeley w Kalifornii. Pochodzi z rodziny żydowskiej z polskimi korzeniami, ale jak sama mówi, nie była wychowywana w miłości do naszego kraju. Bardzo broniła się przed wyjazdem, który – jak się okazało – odmienił jej życie. Spędza teraz w Polsce bardzo dużo czasu. Przyjeżdża na Festiwal Singera w Warszawie i Kultury Żydowskiej

Instytut Kultury Polskiej w Nowym Jorku (IKP) działa od 2000 r. i jest placówką dyplomatyczną podległą Ministerstwu Spraw Zagranicznych, wspiera polskich artystów i naukowców w nawiązywaniu kontaktów z amerykańskimi instytucjami kultury i nauki, promuje polską kulturę.

w Krakowie. Pracuje obecnie nad doktoratem na temat renesansu muzyki żydowskiej w Polsce.

Jakie projekty przedstawicie na tych festiwalach?

Jako pierwszy przyszedł mi do głowy wspomniany wcześniej Shofar. Projekt ten łączy free jazz z muzyką chasydzką. Możemy mówić o wielkim powrocie muzyki żydowskiej w Polsce. Wszędzie na świecie muzyka klezmerska czerpała z jazzu, a u nas jest odwrotnie, muzyka klezmerska jest siłą napędową jazzu. Kolejny projekt to pieśni żydowskiego Polesia, koncert Olgi Mieleczuk. Wystąpią z nią muzycy ze Stanów Zjednoczonych i Izraela.

Czy da się popularyzować w Ameryce polską muzykę bez potężnego finansowego wsparcia państwa?

Chcemy promować polską muzykę za amerykańskie pieniądze. Instytut nie ma siedziby otwartej dla publiczności. Współpracujemy z lokalnymi amerykańskimi instytucjami, począwszy od koncepcji przez znalezienie sponsorów, aplikowanie o wymagane wizy artystyczne po organizację i promocję. Instytucje partnerskie najczęściej płacą naszym artystom honoraria. Trzeba jednak pamiętać, że funkcjonujemy na jednym z najbardziej wymagających rynków kultury na świecie. Nowojorskie Lincoln Center czy Carnegie Hall szukają tylko najciekawszych zjawisk. Ich sale może oczywiście wynająć każdy, tylko że najczęściej nie ma to przełożenia na dalszy sukces artysty w Stanach. Te działania często służą bardziej temu, aby wypromować się we własnym kraju. Jeśli zabraknie zespołu ludzi pracujących nad promocją koncertu i artysty, muzyk nadal pozostaje praktycznie nieznamy amerykańskiej prasie i publiczności. Ważna jest też kontynuacja. Nowy Jork ma krótką pamięć.

To chyba nie dotyczy pianisty Piotra Anderszewskiego, który kilka tygodni temu po raz kolejny występował w Carnegie Hall?

Anderszewski należy do tej grupy artystów, o których amerykańskie sale koncertowe się biją. O Rafała Blechacza też. Anderszewski co roku koncertuje w Carnegie Hall. A trzy lata temu Lincoln Center poświęciło mu specjalny projekt. Oprócz koncertu zaprezentowało dokument o nim „Niespokojny podróżnik” („Voyageur Intranquille”) reżysera Brunona Monsaingeona. Bilety zostały wyprzedane. Do niedawna takim samym wzięciem cieszył się też Krystian Zimerman, ale niestety zrezygnował z koncertowania w Stanach.

Muzyka przegrała z polityką?

Kilka lat temu w czasie koncertu w Los Angeles Zimerman zapowiedział ze sceny, że jest to jego ostatni koncert, ponieważ sprzeciwia się polityce zagranicznej Stanów. Pianista miał też nie dobre doświadczenia z amerykańskimi urzędnikami. Na nowojorskim lotnisku JFK celnicy skonfiskowali i zniszczyli jego fortepian. Ich podejrzania budził podobno zapach kleju.

Czy w promocji polskiej muzyki pomagają Polacy, którzy mieszkają tu na stałe?

Jest wielu utalentowanych muzyków i kompozytorów z Polski, którzy w USA skończyli studia i tutaj zostali. Na przykład skrzypaczka Kinga Augustyn, kontrabasista Paweł Knapik czy pianistka Magdalena Baczewska. Muszę też wspomnieć o 30-letnim Krzysztofie Urbańskim, który już drugi sezon jest dyrektorem muzycznym Indianapolis Symphony Orchestra. Z kolei moja muzyczna guru, skrzypaczka Hanna Lachert, która w ubiegłym roku przeszła na emeryturę po 40 latach grania w New York Philharmonic, wprowadziła do repertuaru tej orkiestry wiele polskich utworów, m.in. kompozycje Krzysztofa Pendereckiego.

A czy polska muzyka jest w ogóle znana w Ameryce?

Oprócz Chopina, Pendereckiego, Lutosławskiego i III symfonii Góreckiego



CLIVE BARDA/ARENA/PAL

o polskich kompozytorach wiadomo niewiele. Jednak z roku na rok sytuacja bardzo się zmienia. Organizatorzy koncertów i krytycy coraz częściej pytają, gdzie można dostać nagrania i nuty innych kompozytorów. Chcą też wiedzieć, jacy artyści specjalizują się w wykonawstwie ich muzyki.

Dlaczego w takim razie skupialiśmy się dotąd głównie na Chopinie?

W porównaniu z Europą podejście do muzyki klasycznej w Ameryce jest bardzo konserwatywne. Tutejsze instytucje utrzymują się głównie z fundacji i darów od osób prywatnych. Ma to zauważalny wpływ na dobór programu.

Czy gust Amerykanów się zmienia?

Są coraz bardziej zainteresowani bogatym repertuarem polskiej muzyki renesansu i baroku, której do tej pory nie znali. Wacław z Szamotuł, Mikołaj Zieliński czy Bartłomiej Pękiel nie ustępują włoskim kompozytorom. Ich utwory nie były jednak w Ameryce wykonywane aż do ubiegłego roku, kiedy przedstawiliśmy pierwszy, bardzo udany projekt „La Lombardesca. Złoty Wiek

U góry po lewej: Piotr Anderszewski należący do grupy polskich artystów, o których amerykańskie sale koncertowe się biją. U góry po prawej: Macio Morettiego z wytwórni Lado ABC. w lutym znów będzie koncertował w Nowym Jorku.

Instytut pracuje obecnie nad projektami z muzyką Krzysztofa Pendereckiego (po prawej). W 2014 r. przedstawi w Nowym Jorku jego „Credo”.



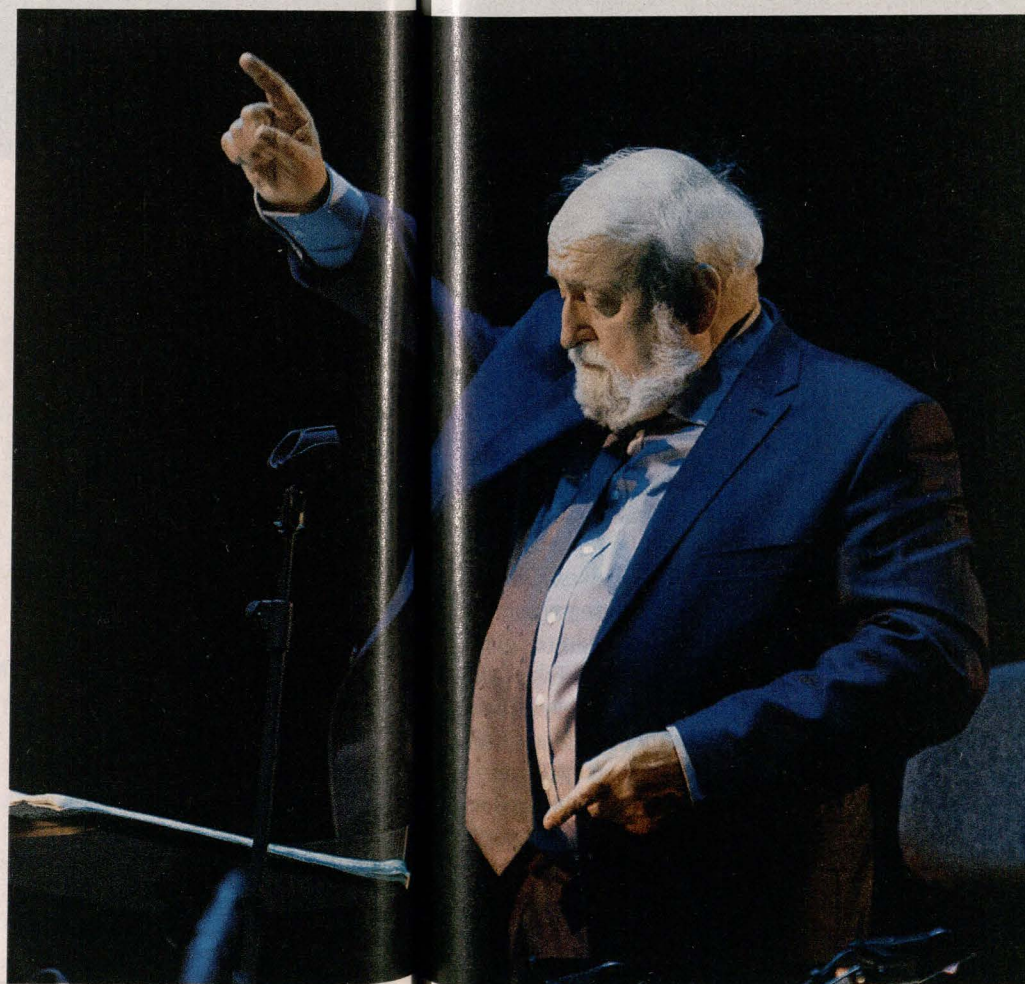
TOMASZ DUBIEL

Szymanowski już został zauważony – opera „Król Roger” odniosła niedawno sukces w Santa Fe.

Tak, przedstawienie miało świetne recenzje. Ale nie zawsze tak było. W 2008 r. pokazaliśmy tę operę razem z Bard College w reżyserii Lecha Majewskiego, który mógłby z pewnością bardziej rozwinąć skrzydła, gdyby miał wtedy do dyspozycji więcej funduszy. Produkcja została ostro skrytykowana, ale na szczęście złe recenzje pomogły zaistnieć samej operze. W dodatku przed przedstawieniem Anthony Tommasini, główny krytyk muzyczny „New York Timesa”, napisał entuzjastyczny artykuł o barytonie Mariuszu Kwietniu, w którym nasz śpiewak powiedział, że jedyną polską operą, która ma szansę odnieść sukces na świecie, jest właśnie „Król Roger”. Zaraz potem polecił do Paryża śpiewać tytułową rolę w tym utworze. W ubiegłym roku zaprezentował ją również w Santa Fe. Kolejne wystawienie tej opery odbędzie się w 2014 r. w Filadelfii.

Mariusza Kwietnia znasz z Met, gdzie także pracujesz. Jak ważne w promowaniu muzyki polskiej są doświadczenia tam zdobyte?

W Met pracuję już od ponad 15 lat. Poznałam w niej przede wszystkim krytyków muzycznych. Zajmuję się też



JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

naszymi gośćmi specjalnymi – fundatorami i sponsorami. Poza tym gdzie indziej na świecie można zobaczyć codziennie inną operę? W sezonie 2012/2013 Met prezentuje 28 produkcji, z czego siedem premier. Najbardziej jednak fascynuje mnie to, co się dzieje za kulisami. Zasoby talentów Met są nieprzebrane. Doświadczyłam tam rzeczy wyjątkowych: widziałam np. Luciana Pavarottiego w „Tosce”, w ostatnim przedstawieniu wieńczącym jego karierę sceniczną. Niezapomniane dla mnie były też najnowsze kreacje Piotra Beczały jako Leńskiego w „Eugeniuszu Onieginie” oraz w „Lucji z Lammermooru”, w której świetne role stworzyli też Kwiecień i Rosjanka Anna Netrebko.

Jaka atmosfera panuje w Met?

Bardzo dobra. Znam w operze praktycznie każdy kąt. To dla mnie taki drugi dom. Nieopodal znajdowała się moja szkoła muzyczna. Zawsze chciałam pracować w Met. Na rozmowę o pracę przyszedłam na kilka dni przed moją osiemnastką.

Jak widzisz swoją dalszą karierę?

Zawsze myślałam, że zostanę na uniwersytecie i będę pracować jako etnomuzykolog. Świat promocji muzyki jest jednak zaskakująco interesujący.

Pamiętasz pierwszy projekt w IKP?

Było ich już ponad 100, ale pierwszy pamiętam doskonale. Miałam się zająć promocją koncertu pianistki Anny Kijanowskiej w Merkin Concert Hall i wypromować jej płytę z mazurkami Szymanowskiego wydaną przez DUX. Anna mieszka tu na stałe. Przejmowałam wtedy ten projekt od odchodzącego kuratora. Czasu na działanie było mało, a nie miałam jeszcze kontaktów z instytucjami muzycznymi. Wysłałam więc płytę oraz informację o artystce prosto do Anthony'ego Tommasiniego z „New York Timesa”. Napisał rewelacyjną recenzję. To był naprawdę wielki sukces. W tej profesji trzeba po prostu działać bez kompleksów. ☺

ANDRZEJ HOŁDYS

Wojny klimatyczne

Wierzą w to, że globalne **ocieplenie to wymysł** klimatologów spiskujących z zielonymi i komunistami przeciwko kapitalizmowi i wolnemu rynkowi. Aktywni, hałaśliwi i skuteczni. Znów ruszyli na bój z badaczami klimatu.

Kim jest Alec Rawls? Raczej nie wiecie. Do niedawna był osobą prywatną, choć z drugiej strony – trochę zaangażowaną. Od czasu do czasu udzielał się bowiem w amerykańskich blogach prawniczych i klimatycznych. W tych drugich pryncypialnie rozprawał się z argumentami naukowców dowodzących, że to za sprawą człowieka od paru dekad rośnie temperatura na globie. Nie, Rawls nie jest wnikliwym i niepokornym badaczem klimatu chodzącym własnymi ścieżkami. W ogóle nie jest naukowcem. Skończył ekonomię. Ale swoje wie: ocieplenie na Ziemi to nie wina człowieka i kropka.

W połowie grudnia zeszłego roku Rawls dokonał bohaterskiego czynu i miał swoje pięć minut w mediach. Nie trafił wprawdzie na czołówki gazet i daleko mu do popularności księżnej Cambridge, ale w pewnych kręgach zasłużył na miano dzielnego wojownika o prawdę. Przeprowadził bowiem udany akt dywersji na tyłach głównego wroga.

Jest nim Międzyrządowy Panel ds. Zmian Klimatu, znany jako IPCC. To akronim angielskiej nazwy organizacji utworzonej ćwierć wieku temu przez Światową Organizację Meteorologiczną i ONZ. Raz na kilka lat IPCC przygotowuje słynne raporty podsumowujące stan badań nad klimatem ziemskim. Pierwszy, opublikowany

w 1990 r., i drugi, ogłoszony pięć lat później, przeszły bez większego echa. Trzeci raport z 2001 r. wzbudził już pewne zainteresowanie, ale dopiero czwarty z 2007 r. wywołał prawdziwą burzę. Świat cytował najważniejszą diagnozę: „Prawdopodobieństwo, że gazy cieplarniane wyemitowane przez człowieka są główną przyczyną wzrostu temperatur w ostatnich 50 latach, wynosi ponad 90 proc.”. I złowróżbną prognozę: „W XXI w. ziemski klimat ociepli się w najlepszym przypadku o 1,5–2,8 st. C, w najgorszym o 3,5–5,8 st. C. Wszystko zależy od tego, ile dwutlenku węgla wyemitujemy do atmosfery. Najbardziej prawdopodobny jest wzrost o 3 st. C”.

Od tamtego czasu upłynęło już sześć lat. Pora na kolejny, piąty raport. Jego pierwsza część zostanie zaprezentowana we wrześniu. To ona wzbudza zwykle największe zainteresowanie mediów i decydentów, ponieważ zawiera najważniejsze ustalenia i przestrogi. Wersja robocza jest już gotowa, trwa jej szlifowanie. Napięcie rośnie, bo wróble na dachu ćwierkają, że przekonanie badaczy o odpowiedzialności człowieka za wzrost temperatur zwiększyło się z 90 do 99 proc. Czy taka deklaracja pojawi się też w finalnej wersji raportu?

Zobaczmy. Do września jest jeszcze sporo czasu, a IPCC ma dość specyficzny tryb pracy. Kilku autorów prze-



Lód się cofa, morza się podnoszą m.in. z powodu emitowanych przez człowieka gazów cieplarnianych. Naukowcy są tego coraz bardziej pewni, ale według denialistów nie ma to dowodów.

gląda całą literaturę naukową dotyczącą klimatu opublikowaną w ostatnich latach i próbuje z tej lawiny doniesień wyłowić globalne trendy. Takie kolektywne dzieło ma swoje wady i zalety. Niewiele w nim miejsca na śmiałe wizje i odważne hipotezy. Dominuje ostrożność. Negocjuje się niemal każde słowo. Chodzi o to, aby precyzyjnie oddzielić to, co wiemy na pewno albo prawie na pewno, od tego, co nam się tylko wydaje.

Ale w kwestiach podstawowych wątpliwości już raczej nie ma: temperatury na globie rosną i niemal na pewno odpowiada za to człowiek. Uważają tak zresztą nie tylko autorzy raportów IPCC. Ankieta przeprowadzona w zeszłym roku wśród ponad 3 tys. badaczy klimatu, którzy opublikowali swoje prace w najlepszych czasopismach, zakończyła się następującym wynikiem: dziewięciu na dziesięciu uznało winę człowieka. Część z nich krytykuje zresztą IPCC

za to, że z przesadną ostrożnością waży każde słowo, zamiast huknąć w obliczu ewidentnego zagrożenia katastrofą klimatyczną.

Podejrzliwy detektyw

Taka łagodna krytyka to jednak nic w porównaniu z masowym atakiem na klimatologów ze strony tych, którzy nie przyjmują do wiadomości ustaleń nauki. Raporty IPCC są dla nich zbiorem błędów, półprawd i przeinaczeń.

Lustrują każdą pracę naukową i każde zapisane w niej zdanie w poszukiwaniu słabych stron. Takim tropicielem okazał się nasz bohater Alec Rawls. Najpierw zapisał się na listę IPCC jako anonimowy recenzent (co może zrobić każdy), a następnie, wbrew zasadom, ujawnił fragmenty roboczych dokumentów organizacji.

Rawls twierdzi, że zrobił to z ważnych pobudek. Mianowicie przyłapał klimatologów na rażącej niekonsekwen-

cji. W kilkusetstronicowym tomie wytropił kilka zdań dotyczących badań, które dowodzą, że to nie człowiek, lecz promieniowanie kosmiczne wraz ze Słońcem odpowiadają za wzrost temperatur. Ponieważ obawiał się, że zdania te znikną z tekstu (wyrzucone rzecz jasna przez klimatologów uznających tylko jedną wersję zdarzeń), postanowił je niezwłocznie opublikować i w ten sposób nie dopuścić do ich wymazania z finalnej wersji raportu.

Rychło wyszło na jaw, że tych parę zdań, o które tak zatroszczył się Rawls, zostało wyjętych przez niego z kontekstu. Robocza wersja raportu, owszem, wspomina o hipotezie mówiącej, że promieniowanie kosmiczne do spółki z promieniowaniem słonecznym mogą wpływać na ziemski klimat, ale natychmiast dodaje, że dotąd żadne obserwacje i analizy obejmujące drugą połowę XX w. tej koncepcji nie potwierdziły.

Teza, że to Słońce, a nie człowiek, odpowiada za współczesne zmiany klimatyczne, jest bliska wielu niedowiarkom klimatycznym, mimo że – zdaniem klimatologów – nie stoją za nią żadne poważne argumenty. Oczywiście wahania aktywności gwiazdy mają pewien wpływ na klimat, ale po pierwsze, nie jest to wpływ duży, a po drugie – i ważniejsze – w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat moc Słońca nieznacznie spadła, a tymczasem temperatury wyraźnie wzrosły, szczególnie w dwóch ostatnich dekadach. Amerykanie właśnie ogłosili, że rok 2012 był w ich kraju najcieplejszy od początku pomiarów prowadzonych od 1895 r. W ciągu paru tygodni poznamy dane dla całego globu. Te zebrane do końca listopada sugerują, że miniony rok powinien się znaleźć w piątce najcieplejszych na Ziemi od połowy XIX w.

Białe jest czarne, czarne jest białe

Problem w tym, że Rawls i jemu podobni mogą nie mieć nawet grama racji, ale i tak będą ochoczo cytowani przez media dbające o to, aby zachować równowagę przekazu. Wścickły z tego powodu jest Stefan Rahmstorf z Poczdamskiego Instytutu Badań nad Klimatem, cenio-



EAST NEWS

Według raportu amerykańskich naukowców 2012 był w USA najcieplejszym rokiem od ponad wieku. W ciągu paru tygodni poznamy nowe dane, i to dla całego globu.

ny oceanograf i klimatolog, współautor raportów IPCC, a także autor kilkudziesięciu prac badawczych opublikowanych w najlepszych czasopismach. W jednym z nich parę tygodni temu grzmiał na dziennikarzy: – Czy przy okazji startu satelity dla równowagi o opinie prosi się kogoś, kto uważa, że Ziemia jest płaska? Czy o ocenę najnowszej metody transplantacji serca pytany jest dentysta? Czy grę piłkarzy kome-

tuje w telewizji tenisista? A tak właśnie traktuje się nasze badania. Regularnie recenzują je naukowcy z innych dyscyplin lub – co gorsza – osoby pełne złej woli, które nie mają pojęcia, jak działa nauka. Jeśli z jednej strony wypowiada się ekspert, a z drugiej ktoś słabo zorientowany, choć głośny i napastliwy, to raczej z pewnością nie leży pośrodku.

Takie osoby o antynaukowym nastawieniu Rahmstorf nazywa denialistami (od ang. deny – zaprzeczać, negować). Ich szczególną cechą jest podważanie odkryć nauki w ważnych społecznie i gorących politycznie kwestiach. HIV nie wywołuje AIDS, papierosy nie powodują raka, kwaśne deszcze nie szkodzą lasom, freony nie są przyczyną dziury ozonowej, sól nie szkodzi zdrowiu. Oto typowe stwierdzenia denialistów. Wśród tych, którzy nie wierzą w to, że dwutlenek węgla podgrzewa planetę, jest bardzo wielu takich, którzy wcześniej dowodzili, że na przykład azbest nie szkodzi płucom, a wprowadzanie benzyny bezołowiowej było zbędne, bo nie ma jednoznacznych dowodów na to, że ołów jest toksycznym pierwiastkiem.

Z denialistami rozmowa jest trudna, a w zasadzie niemożliwa, ponieważ bardzo mocno wierzą oni w to, co mówią, i żadne fakty obiektywne nie zmieniają ich przekonań. Nie szukają prawdy, lecz potwierdzenia własnych poglądów. Rok temu Pascal Diethelm z OxyGeneve w Genewie i Martin McKee z London School of Hygiene and Tropical Medicine w Londynie w artykule pod tytułem „Białe jest czarne, czarne jest białe” opublikowanym na łamach „European Journal of Public Health” radzili naukowcom, jak sobie radzić z denialistami.

Diethelm i McKee opisują jeden z typowych zabiegów stosowanych przez takie osoby. Polega on na podważaniu już osiągniętego konsensusu naukowego i kreowaniu w to miejsce własnych autorytetów. Chodzi o to, by zainicjować i w nieskończoność prowadzić debatę w kwestiach dawno już rozstrzygniętych przez ekspertów. No bo skoro

wciąż się debatuje na przykład o tym, czy palenie bierne szkodzi, to znaczy, że sprawa jest nierozstrzygnięta i nie można zakazywać palenia w samolocie czy pociągu. Inna taktyka polega na znalezieniu wśród kluczowych badaczy chłopca do bicia, którego próbuje się zdyskredytować w nadziei, że w ten sposób podważy się wiarygodność całej dziedziny wiedzy. Diethelm i McKee zauważają, że dziennikarze niezwykle łatwo dają się łapać na te sztuczki denialistów i w pewnym sensie stają się sprzymierzeńcami.

Producenci wątpliwości

Denialistą można być z pobudek ideologicznych, ale też finansowych. Chris Mooney w „The Republican War of Science” opisywał, jak za prezydentury George’a W. Busha wielkie koncerny zaczęły coraz śmielej atakować naukę i starały się podważyć wyniki niekorzystnych dla nich badań. Przykładem były działania Salt Institute – organizacji lobbystycznej reprezentującej interesy amerykańskich firm produkujących sól. Ich prawnicy twierdzili, że nie ma jednoznacznych dowodów na to, że substancja stanowi zagrożenie dla serca. I domagali się, aby władze zdrowotne przestały zalecać obywatelom ograniczenie jej spożycia.

W sprawie szkodliwości soli rzeczywiście nie ma jednoznacznych dowodów. Jednak naukowcy uznali, że mimo wszystko lepiej przed nią ostrzegać. W odpowiedzi firmy zaczęły opłacać własnych badaczy, których głównym zadaniem było wyszukiwanie słabych miejsc w pracach uczonych wskazujących na szkodliwe działanie soli. I znajdowali takie luki.

– Badacze są łatwym celem dla takich ataków, bo przecież zajmują się odkrywaniem tego, co nieznanne. Taki jest urok nauki, że rzadko daje ona jednoznaczne odpowiedzi. By być pewnym w 100 proc., że jakaś substancja szkodzi, trzeba by nią nafaszerować tysiące ludzi i czekać, aż się potrują. Tego robić nie wolno, więc nigdy nie uda się usunąć wszystkich wątpliwości – zauważa Mooney. Jego zda-

niem drogę denialistom przetrwały w latach 70. XX w. firmy tytoniowe starające się obalić wyniki badań dowodzących szkodliwości tytoniu. Jak to ujął ponad 30 lat temu doradca jednego z koncernów tytoniowych: – Nasza robota polega na produkowaniu wątpliwości.

Denialiści klimatyczni są także finansowani przez rozmaite konserwatywne i libertariańskie fundacje, takie jak wpływowy Heartland Institute w Chicago, który zasłynął w zeszłym roku billboardami zrównującymi osoby akceptujące ustalenia klimatologów z masowymi mordercami. Joseph Bast, założyciel i prezes tej fundacji, kiedy komentował w 2007 r. publikację czwartego raportu IPCC, pisał: „Wojna

W latach 70. firmy tytoniowe starały się obalić wyniki badań o szkodliwości papierosów, dziś podobnie działają denialiści – produkują wątpliwości.

z ekstremizmem globalnego ocieplenia jest naszym nakazem. Trzeba zatrzymać ten marsz radykalnych obrońców środowiska i liberalnych lewaków. Zwycięzimy? Tak”.

Nowy wróg: ekolog

Pieniądze są oczywiście ważne, ale głównym motorem jest jednak konserwatywna ideologia. W wydanej dwa lata temu w Londynie książce „Climate Change and Society” socjolog Riley Dunlap z Oklahoma State University i Aaron McCright z Michigan State University twierdzą, że denializm klimatyczny narodził się po prawej stronie sceny politycznej dwie dekady temu. Była to reakcja na rozpowszechnianie się ruchów ekologicznych. Dlatego od początku był silnie zideologizowany. Aktywiści ekologiczni stali się po upadku komunizmu głównymi wrogami konserwatywnych obrońców wolnego rynku. W miejsce czerwonego zagrożenia pojawiło się zielone. Zgrabnie ujął to „Forbes”, organ

środowiskowych sceptyków, w komentarzu redakcyjnym z 1989 r.: „Marksizm przegrał z wolnym rynkiem, lecz teraz zieloni za pomocą efektu cieplarnianego mają zamiar znów przemalować światową gospodarkę na czerwono i zastopować jej ekspansję”.

W boju o tak fundamentalne sprawy jak przetrwanie wolnego świata i kapitalizmu cel może uświęcać środki. Stąd ujawnienie przez Rawlsa roboczej wersji raportu IPCC. Stąd Climategate w 2009 r. – kradzież i opublikowanie osobistych e-maili należących do znanych badaczy klimatu, a następnie nakręcenie spirali pomówień wobec nich. W obu przypadkach zastosowano podobną metodę manipulacji: wyjęto z kontekstu kawałki tekstów, a następnie połączono je ze sobą i przekręcono ich sens. Potem wszystko wrzucono do medialnej kabiny pogłosowej, by zwiokrotniła przekaz.

Jedną z ofiar tamtego skandalu był wybitny paleoklimatolog Michael Mann z Pennsylvania State University w Filadelfii. W marcu zeszłego roku opublikował książkę „The Hockey Stick and the Climate Wars”. Píše w niej z nostalgią: „Dawniej badania klimatu nie miały nic wspólnego z polityką. Dziś są nią przesiąknięte. A przecież kurczący się lód nie ma porządku obrad. Nie obchodzi go, czy jesteś republikaninem czy demokratą. Lód się po prostu cofa, tak jak morza się podnoszą. I nie czynią tego z powodów politycznych. Ale to, co my z tym faktem robimy, ma już znaczenie polityczne”.

Nie wiadomo, czy ten rok będzie gorący dla planety. Ale wiadomo, że będzie gorący dla klimatologów. – Nie powinniśmy zamykać się w murach uczelni, na pewno wierząc, że społeczeństwo doceni naszą pracę, ponieważ zostanie w uczciwy sposób poinformowane. Trzeba być aktywnym i zabiegać o to, by wyniki badań były przedstawiane z największą precyzją. Pamiętajmy, że naszymi wrogami są ludzie, którzy naukę traktują z pogardą – mówił Mann w wywiadzie dla „Scientific American” towarzyszącym publikacji książki. ☞

MICHAŁ KOŁODZIEJCZYK

Kosztowny przyпіływ szczerości

Czasami jedno nieprzemyślane zdanie rujnuje karierę sportowca. W czasach **Twittera i Facebooka** łatwo wejść na minę.

Tak wielu jest w Grecji Afrykanów. Przynajmniej komary znad Zachodniego Nilu jedzą lokalną żywność – napisała na Twitterze Greczynka Paraskevi Papachristou, która właśnie przyleciała do Londynu na igrzyska, by reprezentować swój kraj w trójskoku. Zdziwiła się, że na jej dowcip sportowy świat nie chciał przyzmrużyć oka.

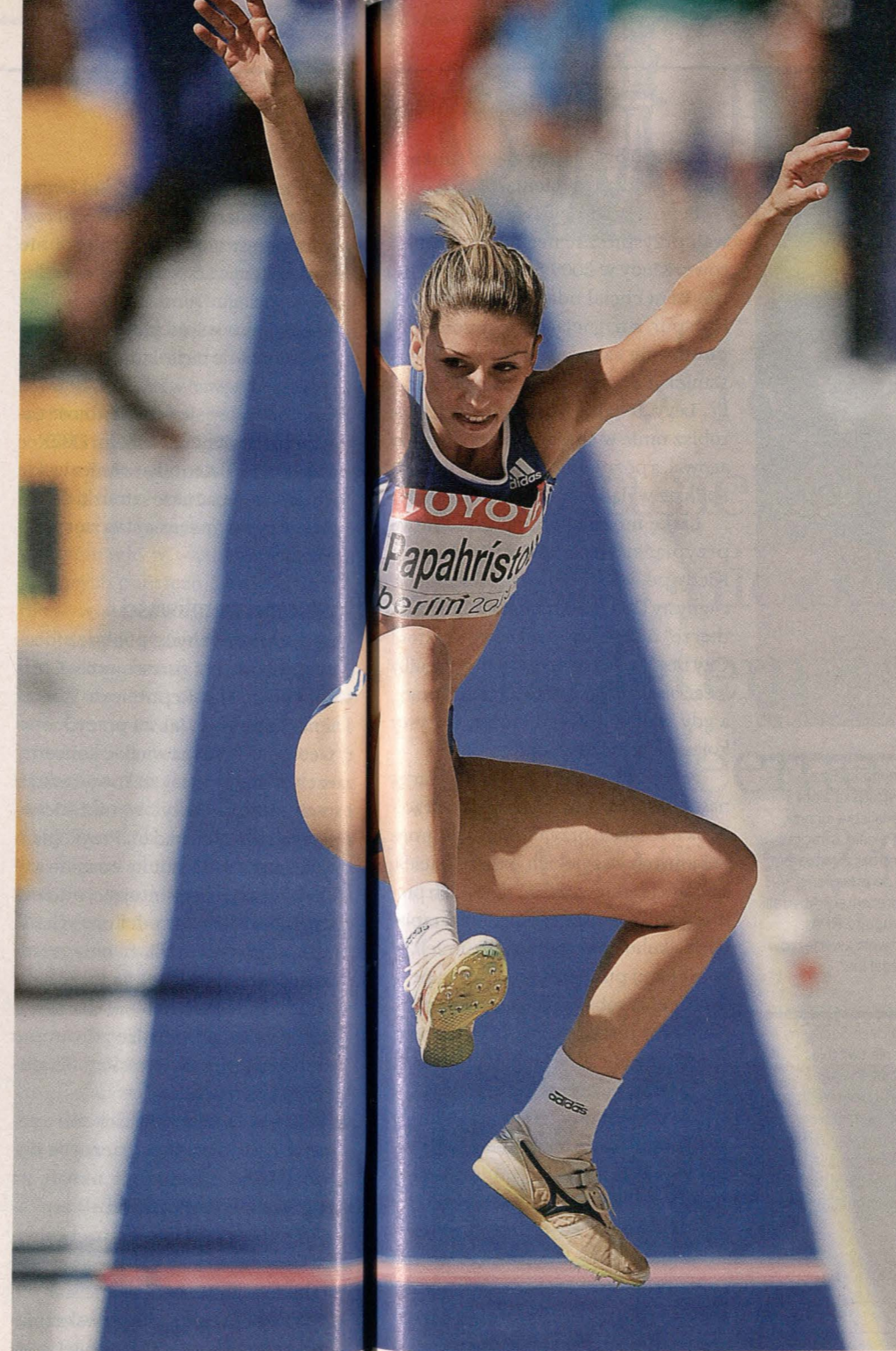
Setki Greków od kilku tygodni zmagali się z tajemniczym wirusem nazwanym gorączką Zachodniego Nilu. Papachristou zarzekała się, że nie ma nic przeciwko imigrantom, oficjalnie przeprosiła za swoje słowa, ale Grecki Komitet Olimpijski zdecydował o wycofaniu jej z igrzysk. Żądali tego politycy z będącej przy władzy partii. Sąd był błyskawiczny, bez prawa do obrony. Z wycofaniem Papachristou zgodził się nawet jej trener, chociaż reakcję na słowa podopiecznej nazwał historyczną. – To po prostu był tylko żart spod budki z piwem – tłumaczył zrezygnowany.

Nic za darmo

Twitter i Facebook w świecie sportu tylko na początku były niewinną zabawą, miejscem, gdzie bez obawy o konsekwencje można było zamieścić zdanie

na temat, o który dziennikarz w trakcie rozmowy nigdy by nie zapytał. Kiedy krótkie wpisy zaczęły trafiać do milionów odbiorców i często były jedyną okazją, by zapoznać się z opinią zawodnika, zaczęli im się przyglądać sponsorzy i pracodawcy. Zabawa w ćwierkanie stała się kosztowna, sportowcy płacą liczone w setkach tysięcy euro kary za przyпіływ szczerości. Rzadko kto decyduje się jednak zrezygnować z mediów społecznościowych, bo wtedy znika ze świadomości kibiców i staje się mniej atrakcyjny dla reklamodawców.

Facebook obiecuje: „To jest i już zawsze będzie darmowe”. Nikt nie ostrzega, jak kosztowne mogą być wpisy. Ponad rok temu piłkarz Chelsea i kapitan reprezentacji Anglii obraził na boisku Antona Ferdinanda, używając rasistowskich zwrotów. Ruszył proces, ruszyły też komentarze rozgrzanych głów. Chociaż Terry został uniewinniony, FA (Angielska Federacja Piłkarska) zawiesiła go na cztery mecze, a piłkarz zrezygnował z dalszej gry w kadrze. Jego klubowy kolega Ashley Cole pod koniec ubiegłego roku przelał na konto FA 90 tysięcy funtów, kiedy rządzących piłką w swoim kraju nazwał „bandą cweli”. Cole zdenerwował się, że to, co powie-



FRANCK FIFE/AFP

dział podczas przesłuchania w sprawie Terry'ego, zostało zlekceważone. Twitował: „Gratuluję FA”. Władze federacji zrozumiały ironię. W uzasadnieniu grzywny federacja stwierdziła, że Terry psuje wizerunek angielskiej piłki.

Rio Ferdinand, bardziej znany i lepszy piłkarz od swojego brata Antona, zapłacił 45 tysięcy funtów władzom ligowym za to, że wszedł z Cole'em w po-

lemikę. Piłkarz Manchesteru United, oczywiście także na Twitterze, nazwał kolegę z Chelsea „Choc Ice”, a czekoladowy lód w slangu oznacza czarnoskórego, który próbuje i chce żyć jak biały. Cole w trakcie przesłuchania zapewniał, że nie słyszał, by Terry wyzywał Antona Ferdinanda. Rio nie pojechał na Euro 2012, nie został powołany, bo kapitanem reprezentacji był wtedy jeszcze Terry.

Greczynka Paraskevi Papachristou za żart o Afrykanach, który umieściła na Twitterze, musiała się wycofać z olimpiady w Londynie.

10 tysięcy funtów do kasy Liverpoolu wpłacił ostatnio 19-letni Jesus Fernandez Saez, znany pod pseudonimem Suso, który zrobił zdjęcie kolegi z drużyny w trakcie zabiegu wybielania zębów i napisał: „Robi wszystko, tylko nie gra w piłkę. Ten facet jest gejem”. Wysoka kara od klubu obudziła dyskusję, czy każdy wpis dotyczący seksu jest kontrowersyjny i należy go od razu krytykować. Sport to jednak biznes i tutaj nie ma miejsca na prywatne wygłupy.

Jedzie wiochą...

W piłkarskiej Anglii pisze się najwięcej. Większość informacji to spam od ludzi kreujących wizerunek. Wpisy o fantastycznych golach, ciężkich treningach i o tym, że w najbliższym meczu ktoś da z siebie wszystko, nudzą odbiorców. Ci, którzy tworzą oryginalną treść i nie boją się swojego zdania, natychmiast zyskują tysiące nowych fanów.

Wojciech Szczęsny, bramkarz Arsenalu Londynu i reprezentacji Polski, nie korzysta z mediów społecznościowych od roku. Szkoda, bo zawsze można było na niego liczyć. Kiedy kasował wszystkie konta po kolei, wyjaśniał znajomym, że wydorolał. Szczerść i brak rozsądku kosztowały go mnóstwo kłopotów i wstydu.

Najpierw było jeszcze całkiem śmiesznie, kiedy skrytykowany przez Radosława Majdana zamieścił zdjęcie piłkarza rozłożonego na czerwonym ferrari i napisał w swoim stylu: „Bardzo chętnie przyjmuję krytykę, ale Majdan mówiący, że coś mu jedzie wiochą? To tak jakby Donald Tusk uczył ludzi, jak wymawiać R”. Szczęsny używał też Twittera do koszarowych żartów ze swoich kolegów. Dość dziwnie ubranego na jednej z fotografii kolegę z zespołu Aarona Ramseya nazwał pedofilem, za co później wpłacał pieniądze do klubowej kasy. Tłumaczył się gęsto, bo w Arsenalu wybuchła wielka afera, pracownicy biura prasowego tłumaczyli Polakowi, że nie ze wszystkiego można żartować, bo są ludzie, którzy mogą czuć się urażeni. Szczęsny posypał głó-

wę popiołem, przyznając, że nie może wszystkiego traktować po swojemu. Nie przeszkodziło mu to w kolejnych dowcipach.

Drwił z Ashleya Cole'a z Chelsea, który nie wykorzystał rzutu karnego. Sugerował, by następnym razem celował w piąty rząd siedzeń na trybunie. Kolega reprezentanta Polski z klubu, Conor Henderson, niespodziewanie dla wszystkich napisał na Twitterze, że „Szczęsny to najlepszy bramkarz w Europie i do tego tak świetnie wygląda. Żałuję, że nie mogę nim być”. Oczywiście Henderson zostawił włączony telefon w szatni i wyszedł na trening wcześniej niż koledzy z zespołu, a już na pewno wcześniej niż Szczęsny. W Arsenalu żarty robili także z Polaka. Jack Wilshere zalogował się na konto naszego bramkarza i zrobił coming out. Napisał: „Jestem gejem”. Kary nie zapłacił, podobno Szczęsnemu dowcip całkiem się podobał.

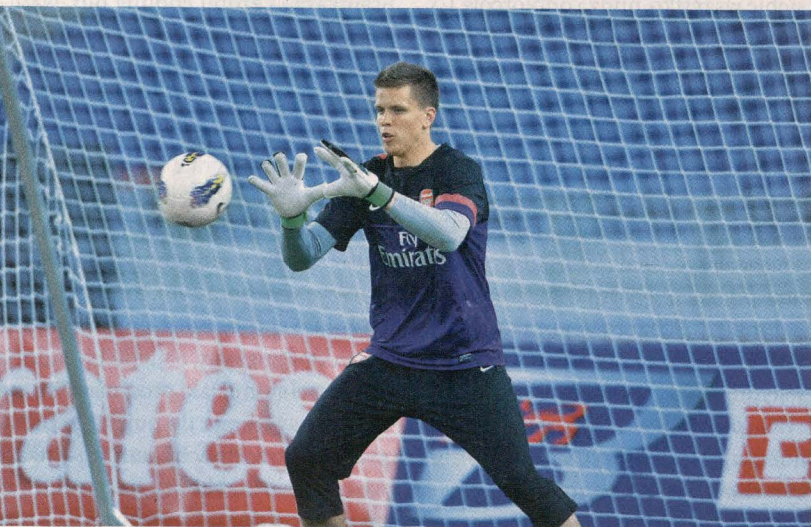
Decyzję o rozstaniu się z Twitterem przyspieszyła afera z Leteshą Collins, aktorką porno, która zrobiła zdjęcie wiadomości od Wojtka, w której proponował jej spotkanie. Szczęsny, z poukładanym życiem osobistym, tłumaczył wtedy, że ktoś się pod niego podszywał, a że był to ktoś znajomy, najlepiej świadczył numer telefonu, jaki otrzymała. To był prawdziwy numer do polskiego piłkarza. Po mistrzostwach Europy bramkarz Arsenalu leczył kontuzję, wrócił już do gry, ale dziennikarze nie mają z nim kontaktu. Postanowił się wyciszyć.

Na podglądzie

Czasami jedno zdanie wystarcza, by zrujnować wszystkie wcześniejsze dokonania. Z igrzysk w Londynie odesłana do domu została nie tylko Paraskevi Papachristou. Szwajcarski piłkarz Palermo Michel Morgarella po tym, jak jego drużyna przegrała z Koreą Południową 1:2, za pomocą Twittera poinformował świat, że „wszyscy Koreańscy ludzie chorzy psychicznie”. Tutaj sprawa była oczywista, chociaż Morgarella przeprosił, nie było odważnego, który wziąłby go w obronę.



FABRICE COFFRINI/AFP



MOHD RASFAN/AFP

Stephanie Rice, australijska trzykrotna złota medalistka igrzysk w Pekinie – równie szybka w wodzie, co świetnie radząca sobie w mediach i na rynku reklamy, dwa lata temu straciła lukratywny kontrakt z Jaguarem. Po tym, jak reprezentacja Australii przegrała mecz rugby z drużyną RPA, nazwała zwycięzców „pedałami”. Jaguar wycofał reklamy z gazet, a Rice nakazał zwrócić samochód, który otrzymała na czas kampanii.

Sportowcy uczą się życia „na podglądzie”, o swoje zaczynają także dbać firmy, które ich sponsorują. W czoło-

wej dziesiątce najczęściej twittowanych informacji aż cztery zajmują te dotyczące sportu. Podczas finału mistrzostw świata kobiet w piłce nożnej Stany Zjednoczone – Japonia w 2011 roku kibice obu drużyn wysyłały informacje dotyczące tego spotkania 7196 razy. Na sekundę. Kontrakty podpisywane ze sportowcami po tym, gdy moc Twittera jest już znana, zawierają poważne obostrzenia. Nie można pisać o niczym, zbyt często, nie można nic nie pisać. Najlepiej oddać oficjalne konto w ręce wyspecjalizowanej agencji PR po to, by wizerunek wykreowany

Stephanie Rice, australijska złota medalistka igrzysk w Pekinie, straciła kontrakt z Jaguarem, bo po przegranej reprezentacji Australii w rugby z RPA, nazwała zwycięzców „pedałami”.

Wojciech Szczęsny już nie twituje, bo, jak mówi, wydorósł. Jego decyzję przyspieszyła afera ze zdjęciem wiadomości, w której proponował aktorce porno randkę.

Przykładowe wpisy

- Tak wielu jest w Grecji Afrykanów. Przynajmniej komary znad Zachodniego Nilu jedzą lokalną żywność – **Paraskevi Papachristou**.
- Angielska Federacja to banda cweli – **Rio Ferdinand, piłkarz Manchesteru United**.
- Wszyscy Koreańscy to ludzie chorzy psychicznie – **Michel Morgarella, piłkarz olimpijskiej reprezentacji Szwajcarii**.

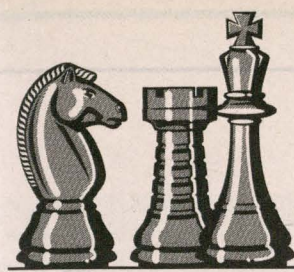
w mediach był zgodny z wizerunkiem marki, która płaci pieniądze.

Byli i tacy, którzy Twitterem próbowali przyspieszać negocjacje transewowe. Kiedy w 2009 roku piłkarz Darren Bent chciał odejść z Tottenhamu Hotspur, a negocjacje się przeciągały, publicznie zaatakował prezesa klubu Daniela Levy'ego: „Skończ już pierdolić, Levy. To takie frustrujące, że ciągle robisz mnie w chuja”. Prezes nie zareagował, a później zgodził się na transfer i piłkarz wyładował w Sunderlandzie.

Łatkę można sobie bardzo łatwo przypiąć nawet niewinnym żartem. Kiedy po występie homoseksualnego rugbysty Garetha Thomasa w „Big Brotherze” piłkarz zaściankowego Oxford City Lee Steele napisał, że „nie chciałby leżeć obok niego w łóżku”, stracił pracę, a gdy szukał nowego klubu, wszyscy kojarzyli go tylko z homofobią.

W Polsce Twitter jest mało popularny, nasi sportowcy dojrżeli na razie do Facebooka. Po latach przyjmowania do grona znajomych wszystkich, którzy chcieli, a później zamieszczaniu na swoich profilach zdjęć z imprez mocno zakrapianych alkoholem, ostatnio zrozumieli, że są osobami publicznymi, którym pewnych rzeczy robić po prostu nie wypada. Niektórzy pokasowali konta i zaprosili kibiców na oficjalne fanpage, prywatne konta zostawiając tylko dla rodziny.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że media interesują się wpisami sportowców nie wtedy, gdy informują o tym, że chcieliby sprawdzić się w Manchesterze United (takie życzenie do miliona swoich fanów wyrażał Usain Bolt), ale kiedy ktoś przekracza granice. Horyzonty afery w sporcie nie są jednak szerokie. Zazwyczaj chodzi o rasizm i seks. ☹



PRENUMERATA 2013

Teraz Twój ruch!

Zamów roczną prenumeratę elektroniczną z tabletem Lark Freeme 10.4 tańszym o 23%!

OFERTA TYLKO DLA PRENUMERATORÓW!

~~896 zł~~ netto
690 zł netto
 + CENA PAKIĘTU



Ekran 9,7 cala, matryca IPS, Full HD, Procesor 1,2GHz, modem 3G, Wi-Fi, 8GB, 1GB DDR3, akcelerator 3D, G-Sensor, HDMI, microSD, kamera, Android 4.0, bateria 5-6 godzin pracy

TRANSPORT GRATIS

Zadzwoń pod 800 120 195
 lub wejdź na www.rp.pl/prenumerata

Pobudzamy myślenie  **RZECZPOSPOLITA**



ROZMAWIA ANNA PRZYBYLL

Życie wewnętrzne piersi

Cycki, balony, biust. Pewien muzyk znalazł 99 synonimów piersi. I choć w zachodniej kulturze są nadzwyczajnie hołubione, okazuje się, że – jak przekonuje **Florence Williams** – wciąż niewiele o nich wiemy.



Gdy w 2004 roku amerykańska dziennikarka i pisarka Florence Williams urodziła drugie dziecko, wpadło jej w ręce badanie naukowe o obecności toksyn w kobiecym mleku. Pełna obaw, postanowiła przetestować w laboratorium własny pokarm. Williams zdrowo się odżywia, dlatego wyniki badań mocno ją zaskoczyły. Okazało się, że jej mleko zawiera

Maurycy Gomulicki, „Relax & Luxus” – projekt artystyczny w ramach Artloop Sopot Festival, wrzesień 2012.

alarmujące ilości groźnych substancji chemicznych. Kiedy zdziwienie minęło, postanowiła przyjrzeć się historii piersi w kategoriach socjologicznych, seksualnych i medycznych. Chciała sprawdzić, jak dalece biust reaguje na zmiany w otoczeniu i opisać etapy życia kobiecych piersi: od dojrzewania przez ciążę, karmienie aż po menopauzę. Tak powstała książka „Breasts: A Na-

tural and Unnatural History” (Piersi: naturalna i nienaturalna historia). „Przekrojowi” opowiada o swoim śledztwie.

Czy to prawda, że kobiecy pokarm można kupić na czarnym rynku?

Tak! I to za cenę 300 razy wyższą niż kosztuje ropa naftowa. A to dlatego, że naukowcy odkrywają coraz więcej zalet ludzkiego mleka. Znajdują się w nim

substancje, które zwalczają patogeny i wzmacniają odporność, również u ludzi dorosłych. Mleko kupują kobiety, które same go nie produkują, a chcą karmić własnego niemowlaka. Niektórzy wierzą, że zwalczą nim nowotwór i inne choroby. Wiele osób kupuje mleko na aukcjach internetowych. Lekarze nie zalecają, aby nabywać je poza specjalnymi bankami mleka kobiecego (w Polsce pierwszy bank powstał w marcu 2012 r. w Klinice Neonatologii Szpitala im. prof. W. Orłowskiego w Warszawie – przyp.red.). W takiej instytucji jest ono odpowiednio pasteryzowane i sprawdzane na obecność szkodliwych bakterii.

Do czego piersi służyły pierwotnie – do karmienia potomstwa czy do uwodzenia mężczyzn?

Antropolodzy nie znaleźli do tej pory ostatecznej odpowiedzi na to fundamentalne pytanie. Czy piersi są seksualnym sygnałem dla mężczyzn? Czy są ukształtowane w taki sposób, aby zapewnić przetrwanie kobiecie i jej dziecku? Opowiadam się za drugą wersją, bo wydaje mi się bardziej logiczna. Kobiety muszą magazynować więcej tłuszczu niż inne ssaki z rzędu naczelnych, a ludzkie niemowlęta potrzebują więcej tłuszczu z mleka matki dla odżywienia ich mózgow niż inne naczelne. Tam, gdzie jest tłuszcz, jest też estrogen, a estrogen powoduje wzrost piersi. Całkiem możliwe, że zaokrąglone piersi są tylko przez przyjemny dla mężczyzn przypadek miejscem składowania niezbędnego dla kobiet tłuszczu! Z kolei, jeśli przyjmiemy, jak twierdzi wielu antropologów, że piersi powstały jako seksualny wabik dla mężczyzn, mu-

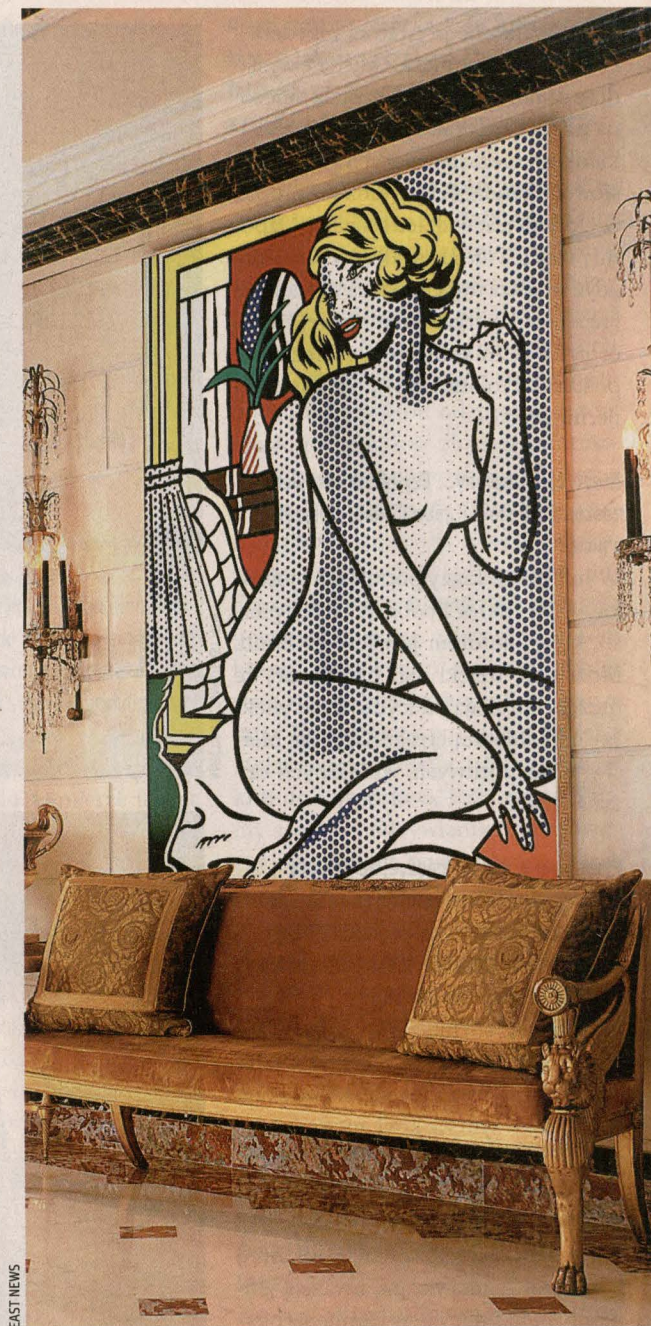
simy założyć, że piersi po prostu są stworzone dla mężczyzn i patrzymy na nie przez pryzmat męskich oczekiwań. To może tłumaczyć zakorzenione głęboko w zachodniej kulturze zakłopotanie związane z karmieniem piersią, szczególnie w miejscach publicznych, oraz wyjaśnia ogromne dochody firm handlujących implantami. Jeśli jednak przyjmiemy, że piersi służą przede wszystkim kobietom, wtedy od razu inaczej je postrzegamy – pod względem ich rozmiaru, funkcji i zdrowia. Dlatego za bardziej sensowne uważam patrzenie na piersi z kobiecej perspektywy.

Co powoduje, że są one tak wyjątkowe na tle gruczołów mlekowych innych ssaków?

Piersi kobiet – pełne i ciężkie – są unikatowe w królestwie zwierząt. Wszystkie samice ssaków są wyposażone w sutki. Nasze są jednak wyjątkowe, ponieważ mamy je od czasu dojrzewania do końca życia, nie tylko na czas karmienia potomstwa. Wyjątkowe są nawet wśród najbardziej rozwiniętych ssaków. U innych naczelnych na klatce piersiowej pojawia się nabrzmienie, ale po okresie laktacji zanika.

Zdaje się, że piersi są pożądane i adorowane przez mężczyzn w każdym zakątku globu. Czy istnieje na świecie kultura, w której kobiecy biust nie pociąga i nie budzi pożądania mężczyzn?

Piersi postrzegane są w różny sposób w rozmaitych kulturach. Nawet w krajach zachodnich niektórzy heteroseksualni mężczyźni deklarują, że piersi na nich nie działają, a silnym bodźcem jest np. para zgrabnych nóg. W wielu częściach świata piersi uchodzą za coś bardzo normalnego, prozaicznego.



EAST NEWS

Williams: – W wielu częściach świata piersi uchodzą za coś bardzo normalnego, prozaicznego. Na zdjęciu praca Roya Lichtensteina.

To wyjaśnia zabawną dla zachodniego widza scenę powitania przez rdzenną ludność Kate Middleton, żony księcia Williama, na lotnisku w Papui-Nowej Gwinei. Księżna udała się tam tuż po tym, gdy do prasy wyciekły jej zdjęcia z urlopu w południowej Francji, gdzie paparazzi przyłapali ją podczas opalania się topless. Wybuchł skandal, choć księżna zażywała kąpieli słonecz-

nej na balkonie prywatnej rezydencji i w towarzystwie męża. Gdy Kate wysiadła z samolotu w Papui, została otoczona przez Papuanek w tradycyjnych sukienkach niezasłaniających klatki piersiowej. Skandaliczny widok w Europie, w Oceanii jest codziennością. W Japonii piersi też nie grają tak znaczącej roli, gdyż większą uwagę zwraca się na szyję i ręce, a w Ameryce Południowej i Afryce symbolem kobiecości są kształtne pośladki. I to one muszą być zasłaniające, nie piersi.

Biust, cycki, balony... Czy różne określenia zastępujące słowo „piersi” mają związek z płcią?

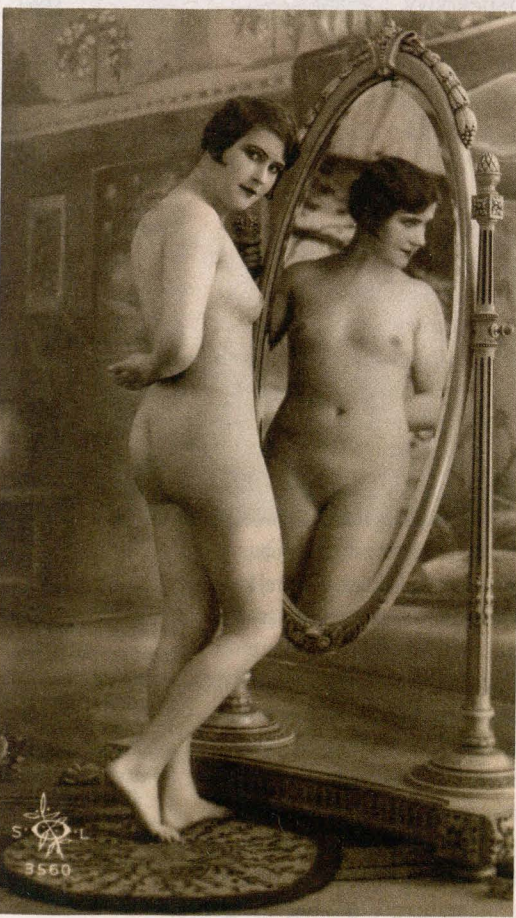
W Internecie krąży popularna piosenka „99 Words for Boobs” (99 nazw piersi), której autorem jest Robert Lund. Można się dzięki niej przekonać, że mężczyźni mają zdecydowanie większy od kobiet repertuar nazw dla piersi – pieszczotliwych, wulgarnych czy zabawnych.

Pisze pani w swojej książce, że kobiecy pokarm zawiera wiele trujących substancji. Czy są one naprawdę niebezpieczne? Czy ze względu na skażenie mleka matki powinny zaprzestać karmienia piersią?

Niektóre z chemikaliów przemysłowych, szczególnie polimery i pestycydy, które gromadzą się w ludzkich tkankach, w tym we krwi, mogą działać jak hormony. Byłoby lepiej, gdyby nie znajdowały się w mleku matek. Rzeczywistość jest jednak taka, że trafiają tam razem z wodą i jedzeniem. Naukowcy, z którymi rozmawiałam, uważają jednak, że niezwykle zalety karmienia piersią (zarówno dla dziecka, jak i dla matki) przewyższają ryzyko spożycia zanieczyszczonego mleka przez dziecko. Mleko zawiera niepowtarzalne związki, a substancje toksyczne są przecież wszędzie i dziecko prędzej czy później się z nimi zetknie. Co ciekawe, w mleku są substancje podobne w składzie chemicznym do marihuany. Można więc powiedzieć, że dziecko jest na lekkim haju, kiedy karmi je mama. Substancje te w mleku pełnią dwojaką funkcję:



ANDERS THESSING/EAST NEWS



EAST NEWS



HELMUT NEWTON ESTATE

wzmagają apetyt, a następnie uciszają dziecko, które po mlecznym posiłku staje się senne. Ważne jest i to, że dzieci karmione piersią lepiej kontrolują apetyt jako osoby dorosłe niż te, które dostały zamiennik mleka.

Czy gdzieś na świecie uchowało się miejsce, w którym matki mogą mieć pewność, że karmią nieskażonym mlekiem?

Niestety, na Ziemi nie ma już miejsca, które byłoby wolne od skażeń wody, powietrza czy jedzenia. Zanieczyszczenia w formie śniegu czy deszczu mogą zatruwać nawet najczystsze regiony Ziemi, takie jak Arktyka.

Czy zmiany w składzie mleka matki mogą nam pomóc w zbadaniu zmian zachodzących w środowisku?

Tak, możemy sprawdzać mleko na obecność w nich różnych substancji. Pewne typy środków, np. opóźniających palność (tzw. uniepalniaczy), są stopniowo wycofywane z rynku amerykańskiego i europejskiego i dzięki temu ich poziom w pokarmie kobiet się zmniejsza. Można przyjąć, że skład mleka matek odzwierciedla poziom obecności toksycznych substancji w środowisku naturalnym.

Podtytuł pani książki brzmi: „Historia naturalna i nienaturalna”. Co nienaturalnego znajduje się w piersiach?

Nasze piersi żyją w sposób dotąd nieznaną, związany z naszymi wyborami żywymi, substancjami chemicznymi w środowisku, medykamentami, które przyjmujemy w wyniku nowoczesnego sposobu odżywiania. W przeszłości kobiety były praktycznie przez całe dorosłe życie w ciąży i na okrągło karmiły. Dziś, dzięki zmianie roli kobiety w społeczeństwie i dokonaniom medycyny, kobiety w krajach rozwiniętych mają mniej dzieci i coraz rzadziej karmią piersią. To wszystko ma głęboki wpływ na zdrowie naszych biustów.

Pierwszy silikonowy implant piersi wszczepiono w 1962 r. Pani spotkała kobietę, która była królikiem doświadczalnym nowego typu

Na poprzedniej stronie na zdjęciu na górze: W mleku są substancje podobne w składzie do marihuany. Można powiedzieć, że w czasie karmienia dziecko jest na lekkim haju.

Na dole po lewej: Wielu mężczyzn woli piersi małe lub średniej wielkości, ale tego nie można się dowiedzieć, oglądając współczesne filmy hollywoodzkie.

Na dole po prawej: Na niektórych mężczyzn piersi nie działają, a silnym bodźcem jest dla nich para zgrabnych nóg. Zdjęcie Helmuta Newtona.

operacji plastycznych. Proszę nam o niej opowiedzieć.

Nazywa się Timmie Jean Lindsey i mieszka w Teksasie. Dziś dobiega już 81 lat, a w czasie operacji miała 30. Wciąż nosi te pionierskie implanty, mimo że dawno już pękły, silikon z nich wyciekł, a jej piersi stały się twarde jak skała. Timmie odczuwa ból w klatce piersiowej, ma kłopoty ze zdrowiem, ale nie chce ich wyjąć, gdyż czuje się ważną częścią historii chirurgii estetycznej. Implanty są przecież najbardziej popularnym zabiegiem spośród wszystkich rodzajów operacji plastycznych w większości krajów świata.

W 2011 roku prawie 320 tys. Amerykanek poddało się operacji powiększenia piersi. Podobno kelnerki z jędrnymi, dużymi piersiami dostają wyższe napiwki niż ich koleżanki „deski”. Dlaczego duże piersi, niegdyś uznawane za niepraktyczne, dziś stały się przedmiotem pożądania?

Pokutuje przekonanie, że większe znaczy lepsze, ale w dużej mierze to mit. W tym samym roku, gdy 300 tys. Amerykanek powiększyło sobie biust, prawie 100 tys. przeszło operację pomniejszenia piersi. Nie były one zadowolone z obfitego biustu z przyczyn kulturowych czy z powodu zwykłego bólu, który odczuwały. W rzeczywistości wielu mężczyzn woli piersi małe lub średniej wielkości, ale tego nie można się dowiedzieć, oglądając filmy hollywoodzkie czy pornografię. Estetyka srebrnego ekranu i współczesnej erotyki jest zupełnie oderwana od rzeczywistości.

Czy implanty piersi powodują zmiany w ciele albo w psychice kobiety?

Jak wynika z badań psychologicznych, implanty polepszają samopoczucie i podnoszą samoocenę kobiet. To ich pozytywna strona. Mają też jednak wady. Zmieniają bowiem sposób odczuwania bólu, powodują dyskomfort i odrętwienie. Chirurgi plastyczni nie zawsze otwarcie mówią o tych aspektach. Poza tym kobiety poddające się operacjom piersi nie wiedzą, że przez implanty, nawet najnowocześniejsze, mogą mieć kłopoty z karmieniem.

Piersi stają się coraz większe, a dziewczynki mają je coraz wcześniej. Może to tylko fałszywe wrażenie wyniesione z mediów, które epatują obrazami biustu w rozmiarze XXL?

Istnieje sporo badań naukowych, które potwierdzają, że dziewczynkom piersi rosną coraz wcześniej i że są one coraz większe. Co ciekawe, naukowcy zazwyczaj nie mierzą wielkości piersi u dorosłych kobiet, tak jak mierzą ciśnienie tętnicze czy wagę, stąd dane te pochodzą głównie od producentów biustonoszy, którzy zbierają informacje o trendach potrzebne do planowania sprzedaży. Wcześniejszy rozwój piersi i ich wielkość są wynikiem zmian w sposobie odżywiania. Jedzenie w krajach rozwiniętych jest bogate w tłuszcze, zawiera też mniej błonnika niż kiedyś, stąd ciała kobiet stają się ogólnie większe. Średni rozmiar biustonosza w ciągu ostatnich 10 lat zwiększył się w USA z miseczki B do miseczki C. Jeśli nie zmienimy sposobu odżywiania i nie zakończymy mody na powiększanie piersi, w 2020 roku średnia wzrośnie o kolejną miseczkę. Przy okazji, więksi robią się też mężczyźni, którym tłuszcz gromadzi się na torsie, tworząc „męskie piersi”. Do tych zmian przyczyniają się przypuszczalnie pewne substancje chemiczne i dodatki do żywności.

W książce prezentuje pani kontrowersyjną tezę, że popularne sposoby na zapobieganie nowotworowi piersi – ruch fizyczny, zdrowa dieta i rzucenie palenia – nie działają. Dlaczego?

No cóż, te rzeczy pomagają, ale tylko odrobinę. Oczywiście te trzy czynniki są ważne dla całokształtu naszego zdrowia. Nie wiemy jednak dokładnie, jak zapobiegać nowotworowi piersi, gdyż nie rozumiemy mechanizmów jego powstawania. Najprawdopodobniej jest to wypadkowa genów, wyborów reprodukcyjnych (bezdieta, późne macierzyństwo lub posiadanie małej liczby dzieci) i środowisko, w którym żyjemy. Ruch, nikotyna i jedzenie nie są decydujące. ☹



FLORENCE WILLIAMS

Amerkańska dziennikarka, autorka książki „Breasts: A Natural and Unnatural History” (Piersi: naturalna i nienaturalna historia), pisze o nauce, środowisku naturalnym i zdrowiu dla „New York Timesa”, „Slate” i „O-Prpah”. Mieszka z rodziną w Waszyngtonie.



MONIKA BRZYWCZY

Okulary Doktora Strange Love

To nie tylko kawałek plastiku, ale część osobowości, stylu, treści – tak o oprawkach **Massada Eyewear** mówi ich projektantka Katarzyna Łupińska.

Chodziłam po warszawskich salonach optycznych, usiłując kupić oprawkę, bo potrzebowałam szkieł do pracy przed komputerem. Nie mogłam znaleźć żadnych ładnych, ale spotkałam chłopaka, który na nosie miał wyjątkowe okulary. Zaczęliśmy rozmawiać, potem poszliśmy do teatru. Okazało się, że ma aż 20 oprawek i jest bardzo wkręcony w temat. Zostaliśmy parą, a ja postanowiłam projektować okulary – opowiada Katarzyna Łupińska, właścicielka Massada Eyewear. To bardzo młoda marka, ma dopiero dwa lata, a już uzyskała międzynarodowy rozgłos i dystrybucję

na całym świecie. – Jesteśmy w dwóch wyjątkowych sklepach w Tokio, w 12 miejscach w Korei Południowej, w 64 we Francji, a także w Kanadzie, na Cyprze, we Włoszech, w Danii – wylicza Łupińska.

Gdy poznała Krzysztofa, o okularach nie wiedziała kompletnie nic. Ale z wykształcenia jest projektantką, skończyła krakowski wydział form przemysłowych. Spontanicznie wyjechała na Targi Optyczne do Paryża, gdzie poznała ludzi z branży, przyjrzała się temu, co się produkuje na świecie. – Nie miałam racji, że nie ma ładnych okularów: w Polsce nie ma, na świecie są. Poza



Katarzyna Łupińska, założycielka Massada Eyewear, projektuje okulary, jakie sama chciałaby nosić.

tym, przekonałam się, że projektanci oprawek bardzo inspirowani są modą. No i że większość tego środowiska stanowią starsi mężczyźni. Ja z moim wyglądem studentki pierwszego roku czułam się wśród nich bardzo egzotycznie. Mało kto traktował mnie poważnie – śmieje się Kasia.

Po powrocie zaczęła rysować projekty w programach graficznych, które znała, przede wszystkim w Corelu. –Projektowanie okularów bez optycznej wiedzy jest świetne, nie ma ograniczeń, ale z biegiem czasu uzyskiwałam coraz większą wiedzę na temat tworzyw, procesu produkcji, ergonomii oprawek. Uczylałam się metodą prób i błędów, trochę z Internetu, trochę z książek, trochę podpytując optyków. Próbowałam się dostać na staż do polskiej firmy optycznej, ale mi odmówiono. Teraz zawsze przygotowuję prototypy, które jeszcze udoskonalam. Bo w naturze oprawki wyglądają zupełnie inaczej niż na papierze czy w 3D.

Plastik na oprawki Massady pochodzi z włoskiej fabryki Mazzucchelli, która od 1840 roku produkuje tworzywa sztuczne. Ustawia się do nich długa kolejka chętnych. Zamówienia są realizowane kilka miesięcy. Oprawki powstają w fabryce obok. Są robione ręcznie, metodą szlifowania. Każda z oprawek ma swoją nazwę: Belle de Jour, Metropolis, Dr Strange Love, Solaris – wiele pochodzi od tytułów ulubionych filmów projektantki. – Z jednej strony to tylko kawałek plastiku, z drugiej poważny nośnik osobowości, stylu, treści.

Jak tłumaczy Kasia, jej firma jest mała, więc na razie w ofercie ma ograniczoną gamę kolorów: przeważnie czarne, szylkretowe, przezroczyste. Takie, które na pewno dobrze się sprzedadzą. – Ale kiedy już okrzepnę na rynku, na pewno zaszaleję z kolorami. Do tej pory powstało około 24 oprawek, pięć kolekcji Massady. Każda opatrzona jest osobną sesją zdjęciową, stworzoną przez zaprzyjaźnionego japońskiego fotografa mieszkającego w Berlinie.

Na stronie Kasia przedstawia współpracowników jako grupę międzynarodowych osobowości: francuski dyrektor kreatywny, japoński fotograf, kalifornijski reżyser, włoski przemysłowiec... O sobie samej pisze: „Designer Kate Lupinsky, raised in South Africa living in Europe”. Nie przyznaje się do polskiego pochodzenia. Podobnie jak do młodego wieku. „Boję się lepszych lub gorszych skojarzeń. Chcę, by uwagę przykuwała przede wszystkim oprawka” – twierdzi. Strona firmy jest wyłącznie w języku angielskim. Może taka strategia sprawia, że Massada jest postrzegana jako poważny europejski czy światowy brand, ważny wśród niezależnych producentów? – Polska nie ma dobrego PR-u, jeśli chodzi o modę czy świat optyczny – stwierdza Kasia.

O Massadzie tuż po jej starcie napisały ważne serwisy trendsetterskie. Cool Hunter, najbardziej opiniotwórczy portal o trendach, początkowo domagał się pieniędzy za zamieszczenie notki, ale gdy ich nie dostał, i tak zamieścił pochwalną recenzję. Inny portal, Trend Hunter, ogłosił: „Okulary Massady to przykład szyku i stylu”, a jedna z oprawek obwołał hitem nadchodzącego sezonu 2010. Być może dzięki tym mediom informacja o europejskiej marce trafiła do Japonii. Stąd bowiem spłynęło jedno z pierwszych zamówień – do Kasi odzywa się Toshi, właściciel kilku modnych salonów optycznych w Tokio, i złożył zamówienie na pierwsze kilkadziesiąt sztuk oprawek. Dziś oprawki Massady sprzedają się w salonie dla specjalnych klientów ukrytym na zapleczu jego butiku w tokijskiej dzielnicy Aoyama.

Dystrybucja jest najbardziej niewdzięczną częścią tego biznesu. – Kiedyś próbowałam chodzić sama po salonach i wstawiać moje okulary. To syzyfowa praca – wyjaśnia Kasia, która dziś chętnie zdaje się na pośredników. Bo mimo intensywnego rozwoju Massady wciąż pozostaje jej jedynym pracownikiem, który zajmuje się projek-

towaniem, promocją, wizerunkiem firmy. – Oczywiście bardzo wspiera mnie Krzysztof, który także wymyślił nazwę. Massada to nazwa izraelskiej twierdzy i niezwykłego aktu oporu Izraelczyków. Ale przede wszystkim spodobało się jej brzmienie. Dobrze przyjmują ją Azjaci, Europejczycy, Amerykanie. Miała być nazwą roboczą, ale przyjęła się i została.

Ręcznie robione oprawki zasługują na szlachetną oprawę – pakowane są w etui z drewna lub ze skóry. Każdy element, łącznie z chusteczką do wycierania, jest dopracowany. To autorski produkt, który ma swoją cenę (od 800 do 1000 zł). Kasia mówi: – Chciałam zrobić okulary, w których sama chętnie bym chodziła. I dziś można już stwierdzić, że jej plan się powiódł.



ANNA KOWALCZYK, ZDJĘCIA JAKUB OSTAŁOWSKI

Co do grosza

NBP ogłosił właśnie, że od 2015 r. wszystkie płatności gotówką mają być zaokrąglane do 5 lub 10 groszy. Ale **problemy z drobnymi** tak szybko się nie skończą.

Pewnego razu moi przyjaciele postanowili zrobić psikusa pani z osiedlowego sklepu, która nigdy nie miała groszy do wydawania i zawsze obiecywała „oddać przy okazji”. Za którymś razem dostała od nich wielki słój pełen jedno- i dwugroszowego drobiazgu – żeby jej na jakiś czas wystarczyło.

Wydawanie reszty w naszym kraju to fenomen. Wszędzie na świecie sprzedawca dba o to, by mieć drobne pieniądze, a u nas nadal standardem jest odsyłanie klienta z zadaniem „rozmienienia banknotu na mniejsze pieniążki”. Problem z wydawaniem reszty już dawno zauważyli urzędnicy, ale długo ociągali się z reakcją. Co jakiś czas powracała w mediach zapowiedź tego, że wkrótce znikną monety jedno- i dwu-, a może nawet pięciogroszowe, ale Narodowy Bank Polski (jedyne w Polsce emitent legalnych pieniędzy) zaprzeczał. W ubiegły wtorek ogłosił wreszcie plan: od 1 stycznia 2015 r. wszystkie płatności gotówką mają być zaokrąglane do 5 lub 10 gr. Zdementował jednocześnie informację, jakoby jedno- i dwugroszówki miały całkiem zniknąć z obiegu. Przynajmniej na razie. Problemy z wydawaniem reszty pewnie się więc nie skończą.

Kosztowne miedziaki

Drobniaki są drogie i ciągle jest ich za mało. NBP nie ujawnia, ile płaci za wyprodukowanie jednej monety

o najmniejszym nominale, ale przyznaje, że w tej chwili koszt samego stopu miedzi i cynku z domieszką manganu (mosiądz manganowy), z którego powstają jednogroszówki, ponadtrzykrotnie przewyższa ich wartość nominalną. A to tylko jeden z kosztów. Trzeba zapłacić jeszcze za wyprodukowanie samych metalowych krążków, a potem za wybite monety w mennicy, ich pakowanie, przechowywanie i transport. NBP rocznie wydaje na to 40 mln zł. I musi ich produkować coraz więcej.

W 2012 r. przekazał do banków 527 mln (sic!) sztuk monet o tych nominacjach, z czego blisko 500 mln było zupełnie nowych, bo z rynku wróciło mniej niż 28 mln. To o 100 mln sztuk więcej, niż wyemitowano rok wcześniej. NBP szacuje, że z rynku zniknęła aż jedna trzecia monet jedno- i dwugroszowych wybitych od 1995 r., kiedy to w ramach denominacji wprowadzono (a właściwie przywrócono) te nominały. Gdzie się podziewa reszta?

– W skarbankach, szufladach i słoikach. Do przetrzymywania groszków w domu przyznaje się jedna trzecia Polaków – mówi Barbara Jaroszek, wicedyrektor w Departamencie Emisyjno-Skarbcowym NBP.

Efekt? Z ponad 13 mld monet znajdujących się w obiegu ponad połowa to groszaki. Przynajmniej teoretycznie. Praktycznie większość z nich jest zapomniana i rzucona byle gdzie, dawno nie funkcjonuje na rynku. Albo objawia się raz po raz

jako element ręcznie robionej biżuterii, ślubnych bukietów czy suvenirów.

Drobniaki niezastąpione

To, że wytworzenie monet o małych nominacjach przewyższa ich wartość, nie jest niczym nowym ani rzadkim. Podobne koszty ponoszą inne kraje, które zachowały bardzo drobne pieniądze. Kłopot zaczyna się wtedy, gdy pieniądz ten staje się wart mniej niż metal, z którego go wytworzono. O tym, jak stary jest „wielki problem drobników”, pisze świetnie w książce pod tym samym tytułem amerykański noblista w dziedzinie ekonomii Thomas J. Sargent. Kłopoty sięgają głębokiego średniowiecza, czyli czasów, w których pieniądz był uważany za towar jak każdy inny. No, może niezupełnie taki sam, ale o jego wartości decydowała przede wszystkim ilość i jakość metalu, z którego został wykonany (najczęściej srebra, złota lub miedzi). Gdy tylko wskutek wahań cen kruszców albo z powodu posługiwania się innymi monetami koszt surowca, z którego wybito pieniądz, przewyższał jego nominalną wartość, natychmiast je okrawano, pilowano na brzegach albo przetapiano na sztabki. Przez stulecia monety jednych ludów niszczone, by w granicach innych krain (albo jeszcze na miejscu) wydawać je korzystniej, niż wynikałoby to z nominalu na rewersie. Nie pomagały surowe kary (ze śmiercią w męczarniach włącznie) ani systematyczne obniżanie przez władców zawartości kruszcu. Efektem był chroniczny brak drobnych monet, który królów dopro-

wadzał do wściekłości, a poddanych, zwłaszcza tych biednych, do rozpacz.

Bo drobne pieniądze były i są na co dzień niezastąpione. Wystarczy mieć ich więcej, żeby zapłacić dowolny rachunek. Z dużymi nominalami już tak się nie da. A przynajmniej nie bez straty. Dlatego właśnie doprowadzony do ostateczności król Francji Jan Dobry zgodził się w 1347 r. na rzecz niebywałą: by monety przecinać na pół. Chciał w ten sposób ulżyć tym, którzy do każdej transakcji musieli dopłacać połowę, gdy nie było w czym wydawać im reszty.

W skupie złomu

We współczesnej Polsce mamy do czynienia z tzw. pieniądzem fiducyjnym (od łac. fides, czyli wiara). Jego wartość wynika z prawa, a nie z ilości kruszcu czy ceny stopu. A jednak u nas też doszło do sytuacji rodem ze średniowiecza: bardziej opłaca się przetopić groszaki i sprzedać je na złom, niż nimi płacić.

Z 10 kilogramów monet jednogroszowych uskłada się mniej więcej 60 zł, jeśli wziąć pod uwagę ich nominalną

na razie jedno- i dwugroszówki nie znikną i dalej będzie można nimi płacić. Zmienia się za to kwoty naliczane nam przez sprzedawców, ale tylko wtedy, gdy będziemy chcieli zapłacić gotówką. Ceny nadal będą się mogły kończyć na 99 gr, ale gdy przyjdzie do płacenia w kasie, te z końcówkami 1 i 2, a także 6 i 7 gr zaokrągli się w dół, a z kolei ceny zakończone na 3, 4, 8 i 9 gr – w górę. Do zapłacenia rachunku co do grosza będzie wystarczyło więc mieć w portfelu pięciogroszówki albo kartę, bo płatności bezgotówkowych zmiana nie obejmie. Nadal będzie można zapłacić najmniejszymi groszówkami, ale już zaokrągloną kwotę (np. 5 gr po 1 gr albo 10 gr w pięciu dwugroszówkach). My, konsumenci, ponoć mamy wyjść na zero.

– Z symulacji NBP wynika, że ceny będą wyrównywane tak samo często w dół, jak i w górę, a przeciętny klient może na operacji stracić maksymalnie kilkadziesiąt groszy rocznie – mówi Marcin Kaszuba,

Koszt samego stopu miedzi i cynku z domieszką manganu (mosiądz manganowy), którego powstają grosze, przewyższa ponadtrzykrotnie ich wartość nominalną.

wartość. Jednak gdyby te same monety przetopić i sprzedać w skupie, to przy dzisiejszych cenach można by za nie dostać około 200 zł.

Co prawda uzbieranie tylu groszków to poważne wyzwanie nawet dla prawdziwych czempionów ciułania, ale polskie prawo, mimo że nie pozwala na przetapianie pieniądza, na razie też za to nie karze. W Internecie już znalazło się sporo chętnych na odkupienie „każdej ilości grosza”. Dają co najmniej 130 proc. tego, co wynikałoby z nominalu, i na pewno wychodzą na swoje.

W górę i w dół

Koniec miedziaków jest chyba przesądzone. To tylko kwestia czasu. Ale

dyrektor Departamentu Komunikacji i Promocji NBP.

Co innego duże sieci handlowe. Przy ich skali biznesu grosz do grosza zbiera się w całkiem niezłą sumkę. Dlatego pomysł się im nie podoba. Wcześniej narzekały też, że zaokrąglanie cen pozbawi je marketingowego (czytaj: przyciągającego klientów) charakteru (bo oczywiście nadal dajemy sobie w mówić, że 2,99 to znacznie mniej niż 3 zł), ale odkąd NBP zapowiedział, że nie zamierza ingerować w pojedyncze ceny, lecz tylko w łączną kwotę należności, argument się zdeaktualizował. Sporo kłopotów będą też mieli przedsiębiorcy. Po pierwsze, będą musieli

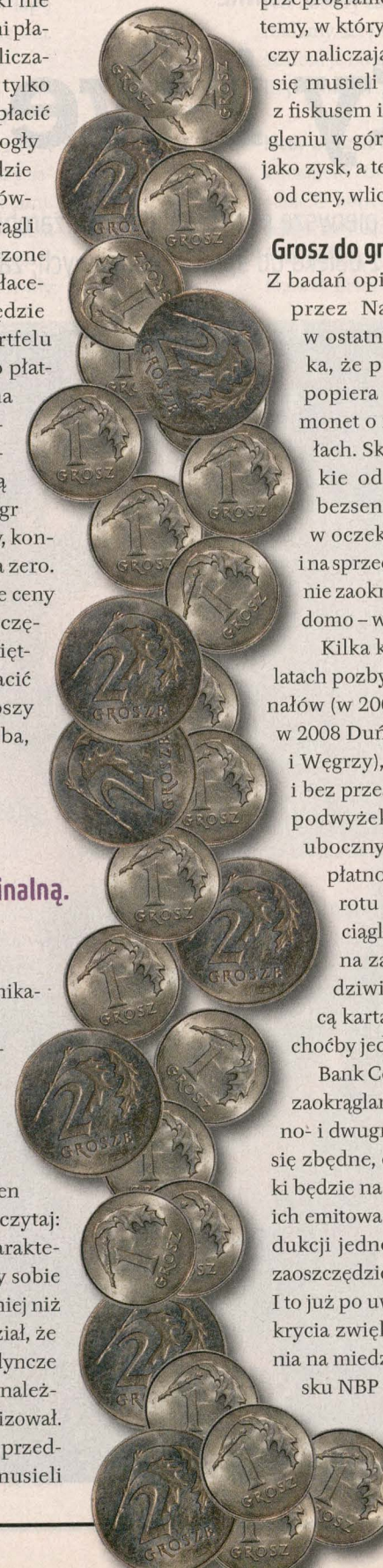
przeprogramować kasy fiskalne i systemy, w których ewidencjonują ceny czy naliczają rabaty. Poza tym będą się musieli rozliczyć z groszaków z fiskusem i te, które dzięki zaokrągleniu w górę zarobią ekstra, wpisać jako zysk, a te, które odliczą klientom od ceny, wliczyć w straty.

Grosz do grosza

Z badań opinii przeprowadzanych przez Narodowy Bank Polski w ostatnich trzech latach wynika, że ponad 60 proc. Polaków popiera wycofywanie z obiegu monet o najmniejszych nominacjach. Skarżymy się na przyćmienie od miedziaków portfele, bezsensowne stanie przy kasie w oczekiwaniu na grosik reszty i na sprzedawców, którzy samowolnie zaokrąglają nam płatność, wiadomo – w górę.

Kilka krajów, które w ostatnich latach pozbyły się najniższych nominatów (w 2009 r. zrobili to Szwedzi, w 2008 Duńczycy, Izraelczycy, Czesi i Węgrzy), zrobiło to dość płynnie i bez przesadnych komplikacji czy podwyżek cen. NBP liczy też, że ubocznym efektem zaokrąglania płatności może być rozwój obrotu bezgotówkowego (u nas ciągle mniej popularnego niż na zachodzie Europy). Prawdziwi sknerusi prędzej zapłacą kartą niż dołożą do interesu, choćby jeden grosz.

Bank Centralny szacuje, że dzięki zaokrąglaniu płatności monety jedno- i dwugroszowe stopniowo staną się zbędne, choć zastrzega, że dopóki będzie na nie popyt, nie przestanie ich emitować. Dzięki zmianie na produkcję jedno- i dwugroszówek chce zaoszczędzić nawet 16 mln zł rocznie. I to już po uwzględnieniu kosztów pokrycia zwiększonego zapotrzebowania na miedziaki. A skoro 95 proc. zysku NBP trafia co roku do budżetu, to pozostaje się cieszyć, że grosik po grosiku zyskamy na tym i my. ☞



ROZMAWIAJĄ BARTOSIAK & KLINKE

Goły i wesoły

Arkadiusz Jakubik pierwsze potężne pieniądze zarobił w wieku siedmiu lat. Poszły na małego fiata i pralkę. Rodzice trzymali go z daleka od spraw finansowych, za co jest im wdzięczny, bo uważa, że pieniądze psują dzieci.



Jak zarobiłeś pierwsze pieniądze?

Pod koniec liceum dorabiałem w zakładzie betoniarsko-kamieniarskim. Robotę dostałem po znajomości. Specjalizowałem się w nagrobkach z lastriko, parapetach i bloczkach betonowych. W moich rodzinnych Strzelcach Opolskich trochę pomników na cmentarzach postawiłem. Naprawdę nie chcecie wiedzieć, jak się robi lastriko...

Szlifowałeś na mokro?

Widzę, że jakieś doświadczenie macie (śmiech). W specjalnym fartuszkach, pod bieżącą wodą. Myślę, że kamieniarze byliby świetnymi curlingowcami. To cholernie ciężka, a do tego nisko płatna robota. Ale dzięki niej do dziś jestem w stanie wyszlifować każdy parapet.

A nam się wydawało, że pierwsze pieniądze zarobiłeś znacznie wcześniej. W wieku siedmiu lat – jako gwiazdor filmowy.

Wtedy nawet nie wiedziałem, że zarabiam. Za mój debiut aktorski, czyli „Okrągły tydzień”, dostałem równowartość kasy, na którą rodzice musieliby pracować przez dwa lata. W filmie miałem sceny rozbierane. To był chyba najdroższy striptiz w historii polskiej dziecięcej kinematografii. Moje wynagrodzenie poszło na małego fiata i nową pralkę. Syrenka 105 odjechała w siną dal, a przed naszym blokiem stanął piękny pomarańczowy maluszek. Oczywiście z drugiej ręki, bo nie mieliśmy talonu ani znajomego księdza.

Czyli zarobiłeś, ale nic nie wylądowało w twojej kieszeni.

Na szczęście rodzice trzymali mnie z daleka od spraw finansowych. Z moimi synami postępuję podobnie. Uważam, że pieniądze psują dzieci. Kiedy zaczynają zarabiać, kończy im się dzieciństwo. Koleś z „Kevin sam w domu” pewnie coś wie na ten temat.

My wiemy, że zaprzepasteś wielką karierę radiową.

Gdybyście mnie usłyszeli we wrocławskim radiu jako serwisowca, zmienilibyście zdanie. Czytanie wiadomości o 5 rano było masakrą. Po paru wpadkach w końcu mnie zwolniono. Przeszedłem do działu reklamy. Zostałem copywriterem, producentem i lektorem spotów radiowych. Człowiek orkiestra. Ustawa o ochronie praw autorskich jeszcze wtedy nie obowiązywała. Hulaj dusza, piekła nie ma. Na luzie można było wykorzystywać utwory Led Zeppelin i Deep Purple w reklamach. Wtedy po raz pierwszy zacząłem zarabiać porządne pieniądze. Odłożyłem nawet na samochód. Był to 14-letni maluch. Jasnozielony. Kupiłem go na giełdzie we Wrocławiu. Przejechałem 200 metrów i padła pompa paliwowa. Następnego dnia wymieniłem pompę i wyjechałem na miasto. Maluch zdechł ponownie. Tym razem centralnie przed moim Domem Aktora. Na kolejną naprawę nie miałem już kasy. Ale nie ma tego złego. Dzięki temu maluchowi zakochała się we mnie moja żona...

Tak lubiła jasnozielony?

To też. Ale któregoś wieczoru wracaliśmy z imprezy i zauważyłem, że w miejscu, gdzie zaparkowałem zepsutego malucha, świeciła pustka. Powiedziałem: „Ukradli mi samochód”, a zaraz potem machnąłem ręką i dodałem: „Nieważne, chodźmy na górę”. Do mojej przyszłej małżonki dotarło wtedy, że jest ważniejsza od samochodu! Ale to nie koniec historii. Po trzech dniach policja znalazła mojego malucha w rowie. Dostałem zawiadomienie, ale na posterunek pojechałem dopiero po miesiącu. Kazali mi zapłacić za każdy dzień parkowania. Rachunek przekraczał wartość samo-

chodu. Dałem parkingowemu w łapę 150 złotych, żeby ukreślił sprawie łeb. Dostał też malucha (śmiech).

Kolejny samochód wybrałeś staranniej?

Zdecydowanie. Czerwony garbus, na imię miał Bazyli. Najpiękniejszy samochód na świecie, służył nam latami. Przez przrzedziewiałe nadkola do środka wlewała się woda. W zimie mieliśmy pod stopami lodowisko. Skorodowały



też nagrzewnice, więc waliło spalinami na kilometr. Pamiętam, że pierwszego dnia po przeprowadzce do Warszawy zaparkowałem go pod wynajętym mieszkaniem i do rana zdążył zmienić kolor. Był bielusiński od zaschniętych ptasich gównien. Szpachelką zrobiłem kwadracik w szybie i pojechałem do pracy w Operetce Warszawskiej.

Byłeś tam etatowym śpiewakiem.

Przez rok. Potem zmienił się dyrektor i wszyscy aktorzy stracili etaty. Parę lat nie mogłem znaleźć stałej pracy. Chwytałem się najróżniejszych pomysłów. Nawet napisałem scenariusze do dwóch odcinków „Klanu”. Nie zostały zaakceptowane. Próbowałem też pisać teksty do reklam radiowych. Na przykład dla pewnego ogólnopolskiego radia skrobąłem kilka spotów.

ARKADIUSZ JAKUBIK

44 lata, aktor, reżyser, scenarzysta filmowy i teatralny. Debiutował jako ośmiolatek w filmie Tadeusza Kijańskiego „Okrągły tydzień”. Ukończył PWST we Wrocławiu. Jest żonaty, ma dwóch synów. Ostatnio zagrał w „Drogówce” Wojtki Smarzowskiej, która wchodzi do kin 1 lutego.

To twój najlepszy interes?

Lepszym jest agencja artystyczna, którą założyłem wiele lat temu. Pierwszym spektaklem wyprodukowanym przez moją Agencję OFF był „Cyrk Monty Pythona”. Potem, w 2001 r., mieliśmy premierę „Oskara i Ruth” Ingmara Villqista, w którym gram razem z żoną. Wystawiamy to do dziś. Już 11 lat! Wyobrażacie sobie? Ale tak naprawdę najlepszym biznesem w moim życiu jest przedstawienie „Goło i wesoło”, którego byłem reżyserem i współproducentem. Świetny spektakl, a do tego duży sukces komercyjny. Agencja OFF była też współproducentem mojego filmu „Prosta historia o miłości”. Wychodzi na to, że najlepiej zatrudniać samego siebie.

Bartosia & Klinke - Wywiadowcy.pl

Łączył folkową melodię, soulową wrażliwość i jazzową oryginalność. Był jak kosmita. O odnalezionej gwiazdzie muzyki lat 60.
- Sixto Rodriguezie - pisze Karolina Sulej → 58

DOMINIKA WĘCŁAWEK

Bohater ostatniej akcji

Dziś może wydawać się zbyt papierowy, moralizatorski i za grzeczny, a nawet kiczowaty czy wręcz kampowy. Dla pokolenia dorastającego w latach 70. był jednak jednym z ważniejszych bohaterów. To **Kapitan Żbik**, który już w lutym powróci, by rozwiązać ostatnią sprawę.

Zaczął się niepozornie, od krótkich pasków publikowanych w 1968 roku w regionalnych gazetach. Kreślone kanciastą kreską, pozbawione szczegółów, przykuwały jednak uwagę. Scenariusze do nich pisał ppłk Władysław Krupka, zleciodawcą był zaś komendant główny MO generał Tadeusz Pietrzak. Nazwisko Żbik było drapieżne. Włosy czarne. Wzrost? W sam raz. Ulubiona broń to pistolet Colt, o którego jeden z rysowników musiał stoczyć batalię. No bo jak to, polski milicjant z kowbojską bronią? Jan Żbik nie pił, nie palił, nie przeklinał. Chętnie pomagał i zawsze miał dobre rady. Nic dziwnego, bo przecież został wymyślony w konkretnym celu – miał ocieplać wizerunek służb porządkowych. I robić to w stylu amerykańskich komiksów. Tylko że słowo komiks w kontekście Żbika nie padało. Wydawane w kilkutygodniowych odstępach cienkie książeczki nazywano dla opozycji kolorowymi zeszytami.

Pierwsze w serii „Ryzyko” ukazało się jeszcze w 1968 roku.

Obietnice

Początkowo uwagę przyciągały okładki. Wypadek samochodowy, piękna kobieta, uciekająca postać. – To była taka obietnica, że wewnątrz znajdziemy przygodę, będzie jakaś tajemnica, akcja, wreszcie zło zostanie ukarane, a dobro zwycięży – wspomina Max Suski. W swoim domu na półce ma wszystkie wydania: 53 zeszyty, niektóre zdublowane, dodruki i wszystko to, co w związku ze Żbikiem wydawano po latach. Wraz z Mateuszem Szlachtycem, innym wielkim miłośnikiem kolorowych zeszytów, pracował nad filmem dokumentalnym „Z ostatniej chwili! O komiksie w PRL”. Max zdaje się znać każdy szczegół z kolejnych albumów. – Ile razy przeczytałem? Te słabsze odcinki kilkanaście, te najlepsze po kilkaset razy! – mówi. Jak wyjaśnia Adam Rusek, znawca komiksu, autor m.in. „Leksyko-

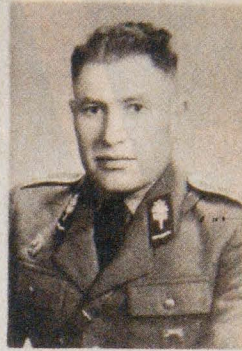


ZA OFIARNOŚĆ I ODWAGĘ



MEDAL „ZA OFIARNOŚĆ I ODWAGĘ” PRYZNANAWY JEST PRZEZ RADE PAŃSTWA TYM, KTÓRZY W ŻYCIU CODZIENNYM DOKONALI BOHATERSKICH CZYNÓW.

STARSZY SZERZANT MO BRONISŁAW KOWALEWSKI ODZNACZONY ZOSTAŁ TYM MEDALEM ZA URATOWANIE ŻYCIA WIEŚLAWOWI PIENIAŻKOWI, OJCU TRÓJGA DZIECI.



MAREK ZAIDLER/EAST NEWS

Elementy propagandy w „Zbiku”: minikomiksy „Za Ofiarność i Odwagę” sławiły wszechstronność służb ORMÓ, nowoczesne metody Milicji Obywatelskiej, nawoływały do czynu.

zeszyt miał tytuł wykonywany najczęściej innym rodzajem czcionki. Otwierały je zazwyczaj listy od Kapitana do młodych czytelników. Zamykały lekcje sztuk walki i minikomiksy „Za Ofiarność i Odwagę”, ukazujące prawdziwych milicjantów w autentycznych akcjach. Te elementy na ogół były najmocniej przesyczone socjalistyczną propagandą. Sławiły wszechstronność służb ORMÓ, nowoczesne metody Milicji Obywatelskiej, nawoływały do czynu. – Nikt tego nie czytał, daj spokój – mówi Max. Wtórjuje mu Przemek „Trust” Truściński. Jeden z najbardziej rozchwytywanych rysowników komiksowych to kolejny pasjonat Żbika. W filmie Szlachtyca wyjaśnia kompletny brak zainteresowania całą tą polityczną otoczką. – My to po dziecięcemu chrzaniiliśmy, nam chodziło o rozrywkę! Ta zaś była tym lepsza, że scenarzysta czerpał inspiracje z prawdziwych milicyjnych akt, a fabułę starał się poprowadzić tak, by wydawała się prawdopodobna. – Jechałem na letni obóz i miałem poczucie, że tu, w tym lesie, nad tym jeziorem, może się zdarzyć dokładnie taka sama historia, jak bohaterom, dajmy na to, odcinka „Wieloryb z peryskopem” – wspomina Suski.

Ale Żbika nic nie ograniczało. Rozwiązywał sprawę w Bydgoszczy, budził się w samolocie lecącym do Wiednia, odwiedzał kraje Demoludu i chętnie pomagał rozwiązywać sprawy zagubionym śledczym z Zachodu. Światowicie. Dlatego dzieciakom z tamtych czasów łatwo było go podziwiać, a nawet organizować się w „żbikowe” grupy stojące na straży porządku w okolicy. Młodzież wydawała „żbikowe” gazetki i odwiedzała komendy MO, zadreżając funkcjonariuszy pytaniami o to, kiedy wreszcie przyjedzie komisarz.

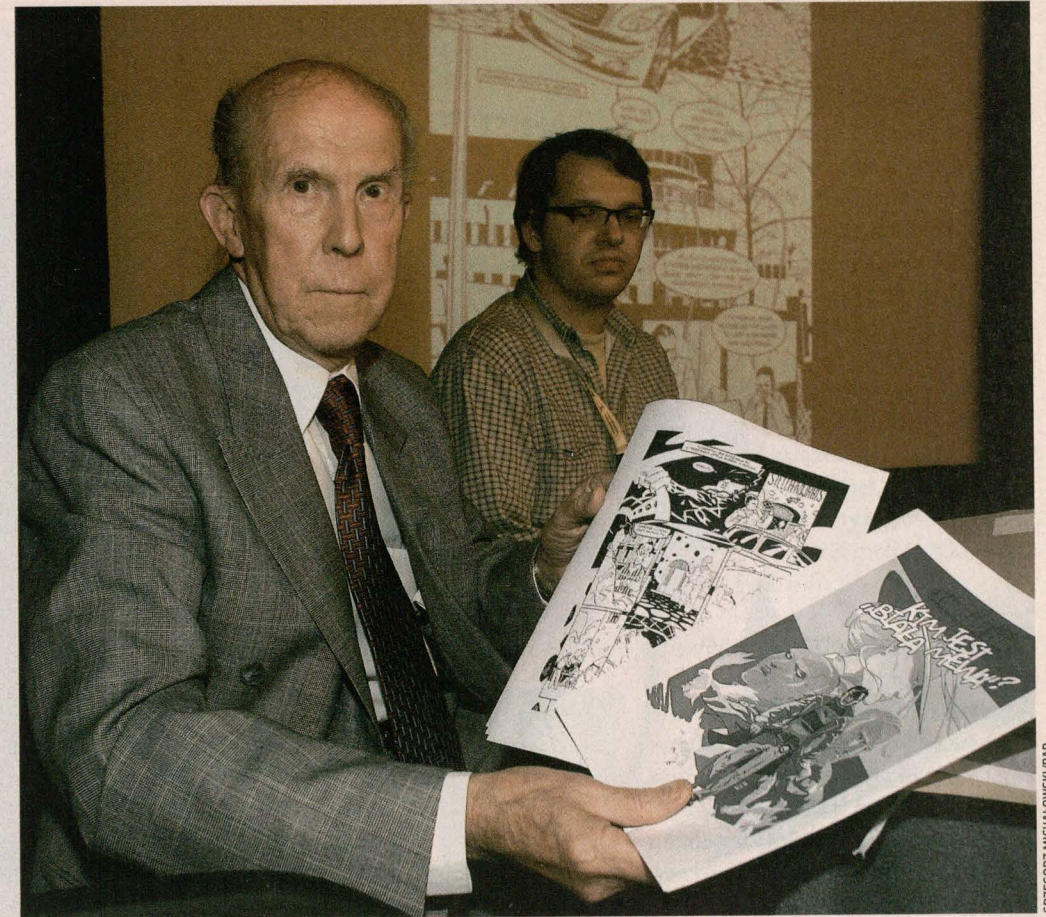
Te usta, te oczy

O to, by całość działała na dziecięcą wyobraźnię, dbali rysownicy. Nie bylejacy. Po niezdamnym i topornym Sobale, pierwszym ilustratorem, który pozostał na dłużej, był Grzegorz Rosiński. Rosińskiego zastąpił Bogusław Polch,

najwięcej odcinków na koncie ma zaś Janusz Wróblewski. Każdy miał własną specyfikę i coś wniósł. Polch na przykład akcję. Nikt tak dobrze jak on nie umiał oddać scen walki. Choć sam komisarz siły używał zawsze w ostateczności, rysownik dbał, by wyglądało to emocjonująco. On też nadał Żbikowi ostrzejszych rysów i przypisał baczki, które panie redaktorki z wydawnictwa Sport i Turystyka uznały za „pedalskie”. Ulubionym rysownikiem czytelników pozostawał Janusz Wróblewski. Męska część fanów wspomina, że nikt jak on nie rysował kobiet. Były piękne, powabne, miały zmysłowe usta i pełne kształty. Takie obrazki zapadają w pamięć dorastających chłopców. Sam Wróblewski w rozmowach przyznawał, że mimo wieloletniej współpracy nie rysowało mu się dobrze tych opowieści. Cenzura często się wtrącała, proces zatwierdzania plansz był żmudny, a jednak to właśnie on wytrwał u boku Żbika najdłużej. Do samego końca, czyli „Smutnego finału” wydanego po raz pierwszy w 1982 roku. Koniec Żbika był faktycznie smutny, nadszedł wraz z pogorszeniem jakości papieru, coraz bardziej siermiężną oprawą, scenariuszami, które zaczynały wymagać od rysownika ustępstw na rzecz warstwy tekstowej. Zabrakło tego, co po latach doceniali wytrawni czytelnicy Żbika, czyli bardzo przyzwoitego opowiadania obrazami i logicznego wynikania. Pojawiały się fatalne skróty myślowe i kończone po łebkach śledztwa. Stan wojenny też zrobił swoje. Nawet najbardziej naiwne dziecko nie umiałoby uwierzyć w ciepły wizerunek służb milicyjnych. Mimo śmierci serii Żbik żył w pamięci czytelników. Obrastał mitem. To dzięki niemu Jarek Składanek rozkręcił własne wydawnictwo komiksowe. – Miał na mnie wpływ estetyczny. Zacztywałem się w nim i wiem, że kształtował mój dzisiejszy związek z komiksem – tłumaczy współzałożyciel Kultury Gniewu.

Powroty

To właśnie z inicjatywy Jarka w latach 2001–2002 ukazały się trzy specjalne wydawnictwa. Reedycja pierwszych,



Scenariusze komiksów pisał ppłk Władysław Krupka.

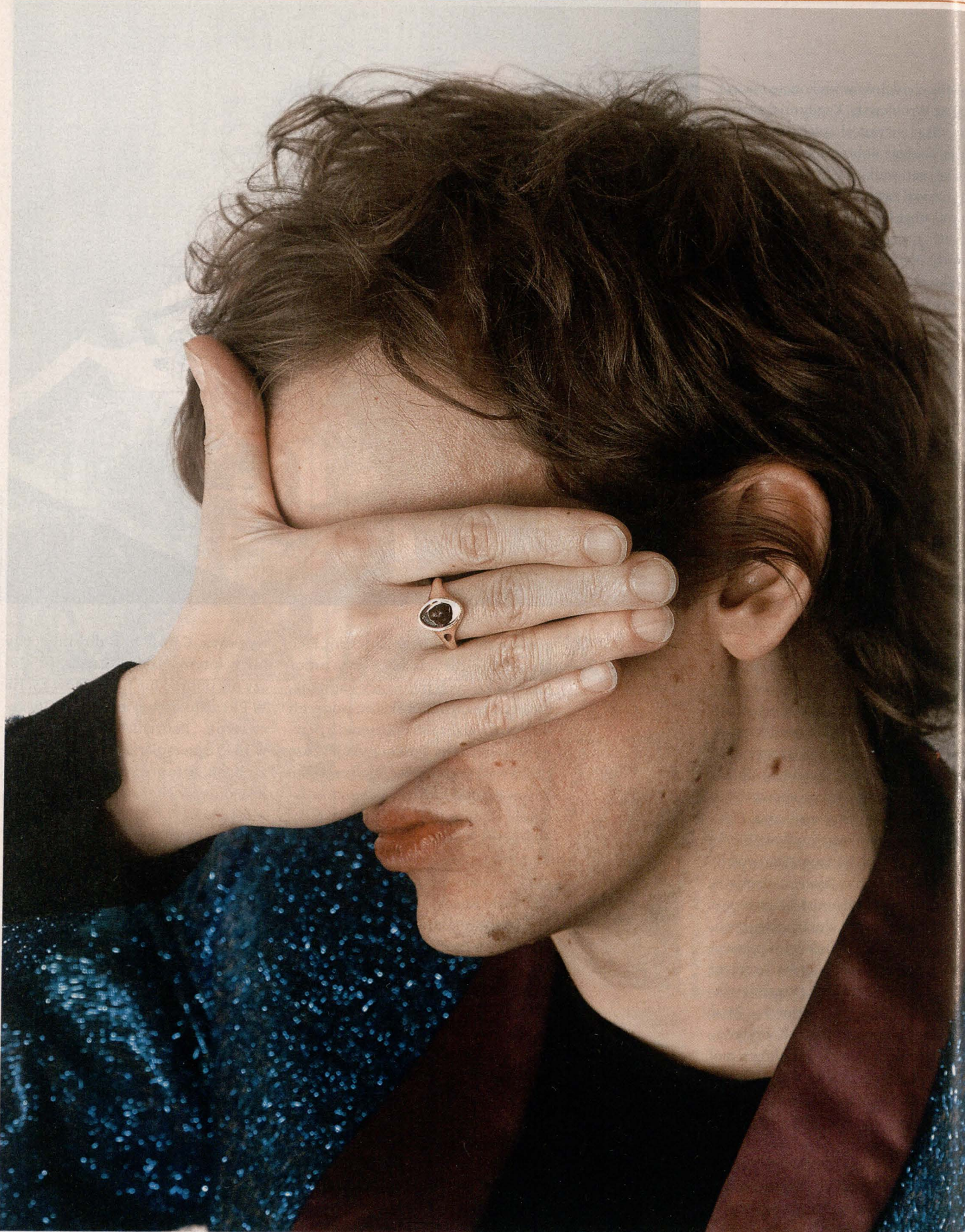
Tajemnica „Plaży w »Pourville«”, będzie wydana przez Kulturę Gniewu w 1500 egzemplarzach.

gazetowych pasków ze Żbikiem „Pięć błękitnych goździków” i dwie antologie, w których miłośnicy kapitana, dzisiejsi twórcy komiksów, podeszli do jego działalności milicyjnej z pewnym dystansem. Potem była jeszcze próba wskrzeszenia serii połączonymi siłami Krupki i Michała Śledzińskiego, ale skończyło się na jednym tylko zeszycie „Kim jest »Biała Mewa?»”. Teraz Składanek dodaje ostatni rozdział. Wydając prawdziwy, jak to określił Adam Rusek, kolekcjonerski rarytas. Rysowana przez Polcha „Tajemnica plaży w Pourville” ukazywała się w odcinkach w latach 2003–2004 w „Bezpłatnym Tygodniku Poznańskim”. – Pomysł zebrania i wydania ich w jednym zeszycie podsunął mi jeden z fanów cztery lata temu – wspomina Składanek. Dodaje, że zarówno scenarzysta, jak i rysownik szczerze się ucieszyli. – Do tego stopnia, że specjalnie do naszego albumu stworzyli trzy nowe plansze, które zostały zrealizowane już po wyjaśnieniu głośnej kradzieży obrazu Moneta – zdradza



GRZEGORZ MICHAŁOWSKI/PAP

MAREK ZAIDLER/EAST NEWS



STACH SZABŁOWSKI

Żywcem zmitologizowany

Oskar Dawicki niebawem pokaże „Performera”, film o samym sobie. Już teraz na wystawie w Poznaniu można zobaczyć, jakie nagrobki dla artysty zaprojektowali Sasnal, Libera czy Grzeszykowska.

Jest żywą legendą. To on namówił czołówkę polskich artystów do odcisnięcia dłoni w krowim łajnie. To on sprawił, że ze sztucznej choinki opadły igielki. To on sprzedał kamień nerkowy rodzonemu ojca, wybił dziurę w ścianie własnym ciałem i osiągnął najwyższą możliwą punktację w teście na inteligencję. A teraz zostaje pierwszym artystą, który na naszych oczach z człowieka z krwi i kości zmienia się w postać fikcyjną – w literackiego i filmowego (anty)bohatera imieniem Oskar Dawicki.

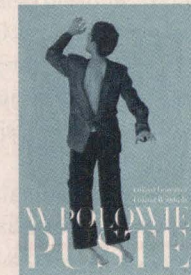
Proces mitologizacji osoby Oskara Dawickiego stale się pogłębia. Kulminacja nastąpi za kilka miesięcy wraz z premierą filmu „Performer”, który opowiada o życiu i twórczości Oskara Dawickiego. Rzadko zdarza się okazać, żeby to powiedzieć, bo przecież „wszystko już było”, ale TEGO jeszcze nie było. Wyprodukowany przez Wajda Studio „Performer” będzie pierwszym w Polsce mainstreamowym filmem fabularnym o sztuce współczesnej, w dodatku wyreżyserowanym (wraz z Maciejem Sobieszkańskim) przez kuratora wystaw Łukasza Rondudę. W tytułowej roli występuje Oskar Dawicki, który w „Performerze” wciela się w Oskara Dawickiego.

Zanim jednak film wejdzie na ekrany, możemy oglądać zrealizowaną na jego motywach wystawę w poznańskich

Art Stations pod tytułem, nomen omen, „Performer”. Na początku zaś, jak zwykle, było słowo. Mamy więc powieść krytyczną Łukasza Rondudy i Łukasza Gorczycy „W połowie puste”, na podstawie której nakręcono film o Dawickim i która zapoczątkowała jego przemianę w bohatera fabularnej fikcji.

W połowie pełne

„Oskar otworzył lodówkę. Była, tak jak powieść i jak jego życie, w połowie pełna, w połowie pusta. Włożył siatkę z dwoma jogurtami i twarożkiem i w tym momencie wysiadło światło. Spróbował otworzyć ponownie lodówkę, jednak to nie pomogło” – to pierwsze zdania „W połowie puste”. Powieść rozpoczyna się w połowie tomu, od razu od rozdziału szóstego, ponieważ, jak sama nazwa wskazuje, książka jest w połowie pusta i pierwsze strony to czyste, niezadrukowane kartki. Oczywiście „W połowie puste” jest także w połowie pełne; w zadrukowanej części książki rozwija się opowieść o życiu, czasach, sztuce i Oskarze Dawickim, artyście, który wyjątkowo intensywnie odczuwa tragikomiczny bezsens (własnego) istnienia. Poza tym na kartach powieści znaleźć można między innymi wizjonerską scenę spotkania Romana Polańskiego, Marka Hłaski i Krzysztofa Komedy na wiślanej skarpie, postać legendarnego per-



„W połowie puste” to powieść, której bohaterem jest Oskar Dawicki. Na jej podstawie powstał film „Performer”.

formera Zbigniewa Warpechowskiego, duchowego mistrza Oskara Dawickiego, niezliczone opisy alkoholowych sytuacji oraz zjadliwie nakreślona panoramę polskiego artworldu – światka zaludnionego przez paradne fikcyjne figury, pod maskami których bez trudu można rozpoznać autentyczne postaci z artystycznego getta. Między wierszami „W połowie puste” rozwija się zaś monumentalna analiza dzieła Dawickiego. W tej książce życie, sztuka i fikcja splatają się w supel, którego nie da się już rozplątać. Artysta został żywcem zmitologizowany. Zupełnie jak na wystawie w Poznaniu...

Bałwan i Cmentarz Artystów

Dzień przed wernisażem „Performera” przed galerią Grażyny Kulczyk w Starym Browarze spotykam Oskara i Łukasza Gorczycę. Artysta i krytyk lepią bałwana. Idzie ciężko; śniegu leży pełno, ale jest sypki i nie chce się kleić. Bałwan wielkości człowieka wtłoczony jest w dużą przeszkloną zamrażarkę.

– Ten bałwan... – mówi Gorczyca. – ...to taki jakby autoportret – dopowiada Oskar.

Pytam, czy będzie miał nos z marchewki. – Nie – mówi Oskar – ale będzie miał za to specjalne guziki. Są na nich wygrawerowane starożytne greckie sentencje. W największym skrócie mówią o tym, że kiedy żyjesz wśród ludzi, musisz albo ich pouczać, albo się do nich przyzwyczać.

Kiedy wchodzimy do galerii, Gorczyca tłumaczy, że ta wystawa zaczyna się od końca, czyli od śmierci. Ekspozycja jest podzielona na trzy części. Pierwsza to Cmentarz Artystów.

Oskar poprosił przyjaciół – skądinąd nie byle jakie figury polskiej sztuki – aby zaprojektowali własne nagrobki. Wilhelm Sasnal narysował wkopane w ziemię przewrócone wielkie „S”. W mogiłę Zbigniewa Libery wmontowany jest monitor podłączony do umieszczonej w trumnie kamery. Jej obiektyw wycelowany jest w twarz nieboszczyka i transmituje na powierzchnię postępy w procesie rozkładu. Aneta Grzeszykowska zaprojektowała



MAGDA CHOJST/WAJDA STUDIO (3)

nagrobek w kształcie klepsydry, która ma odmierzać czas, przesypując prochy zmarłej. Artystka powiedziała Gorczyca i Oskarowi, że jeżeli umrze przed otwarciem, mają wolną rękę, by zrealizować jej pomysł.

Nie zabrakło oczywiście nagrobku samego Oskara. Oglądamy go we fragmencie filmu „Performer”. To scena pogrzebu głównego bohatera. Nad rozkopaną mogiłą stoi grupka przyjaciół zmarłego. Oskar Dawicki znika w dole, ale zaraz się z niego wynurza – i znika z powrotem. Na dnie grobu ustawiona jest trampolina; sztywno wyprostowany nieboszczyk podskakuje na niej niby groteskowy diabeł z pudełka.

Artysta wskakuje do filmu

Druga część wystawy to galeria (auto)portretu, wypełniona pracami z kolekcji Grażyny Kulczyk. Jest Malczewski, Zofia Kulik, wizerunki własne Romana Opalki i bezgłowa kukła z jutowego worka Magdaleny Abakanowicz. Jest oczywiście i Oskar; artysta, który z realnego świata wskoczył do filmu. Oblicze Oskara pojawia się w trzech jednocześnie wyświetlanych fragmentach „Performera”. W jednej scenie Oskar performuje, cytując akcję swojego mistrza Zbigniewa Warpechowskiego. W drugiej bawi się żołnierzkami; w stosy poległych ludzików wtyka na sztorc zapalone papierosy.



W „Performerze” obejrzymy m.in. Andrzeja Chyry i Agatę Buzek, którzy pochylą się nad Ś.P. Oskarem Dawickim.

– To scena nawiązuje do autentycznej historii z życia Oskara – tłumaczy Gorczyca. – Kiedy był mały, dziadek bawił się z nim żołnierzkami. Stawiał wówczas na sztorc zapalone papierosy, które wyglądały jak dymiące kominy. Oskar nigdy nie miał jednak okazji porozmawiać z dziadkiem o tym, co te kominy właściwie miały znaczyć.

W trzeciej scenie artysta idzie przez kładkę nad Trasą Łazienkowską, koło Zamku Ujazdowskiego. – W filmie to moja ostatnia wycieczka przed samobójstwem – informuje artysta. A Gorczyca komentuje: – Tu sztuka i Warpechowski, tam historia z życia wzięta, gdzieś indziej jeszcze zupełna fikcja. Wszystko się przenika, jak zawsze u Oskara.

Łajno i łysa choinka

Domyślam się, jak to wszystko musi się skończyć, i to przecucie mnie nie myli. Ostatnią częścią wystawy jest Muzeum Oskara Dawickiego, bo przecież zmitologizowani artyści powinni mieć swoje sanktuarium. A może to jednak nie Muzeum, tylko Gabinet Osobliwości? Środek sali zajmuje „Miejsce w sercu” – wielka klatka zbudowana z setek ptasich klatek; w jednym z nich leży samotny ptasi trupek. Na postumencie eksponowany jest „Ból ojca”, sygnet, w który oprawiony został kamień nerkowy ojca artysty; praca została sprze-

dana, więc obok wisi wizerunek Oskara, „Portret człowieka, który sprzedał kamień nerkowy swojego ojca”. Na ścianie powieszono w ramach kilkadziesiąt stron maszynopisu. To praca magisterska o Oskarze Dawickim, którą kilka lat temu Oskar Dawicki zamówił przez podstawioną osobę u faceta piszącego rozciągą się „Aleja gwiazd”, kolekcja ususzonych krowich placków. Pewnego razu na plenerze artystycznym Oskar wywiódł grupę słynnych artystów w pole i namówił ich, aby odcisnęli swoje dłonie w bydłęcej kupie. To zająca kolekcja; w łajnie znajdziemy ślady rąk Mirosława Bałki, Zbigniewa Libery, Joanny Rajkowskiej, by wymienić tylko kilka dźwięczniej brzmiących nazwisk. Praca ma swoje lata i zaczyna się sypać. W książce „W połowie puste” zamieszczono zapis korespondencji między Oskarem a konserwatorką dzieł sztuki, stojącą przed wyzwaniem naprawy jednego z wyrzeźbionych w gównie obiektów. Konserwacja się powiodła; na wystawie wszystkie kawałki łajna są całe i wyglądają świetnie.

Nieopodal stoi choinka; jest sztuczna, ale Oskar sprawił, że i tak opadły z niej wszystkie igły. Plastikowe igły leżą u stóp łysego drzewka z drutu. W międzyczasie przyniesiono do galerii nawet zamrażarkę z bałwanem, którego Oskar lepił niedawno przed

Starym Browarem. Całość wieńczy zaś legendarna, skandalicznie brzydka, niebieska brokatowa marynarka (z bordowymi klapami!). Ten podejrzany przyrodzivek, godny konferansjera upadłego wodewilu albo pokątnego magika, to uniform Oskara Dawickiego, który od 19 lat wykonuje w nim każdy performance. Na wystawie „Performer” w marynarce nie ma Oskara – tym razem wysłużony ciuch występuje jako samodzielna praca zatytułowana „19 lat tracenia blasku”.

Przebrany w brokatową marynarkę Oskar wciela się w rolę iluzjonisty, który ponosi same porażki w próbie omdlenia widzów i robi sztuczki, które łatwo rozszyfrować. Na tym właśnie polega tragikomiczny, egzystencjalny urok tej twórczości; porażka jest fascynacją tego artysty, a rozczarowanie – jego wielkim tematem. Autokreacja była zaś zawsze żywiołem Dawickiego, który jest pasjonatem manipulacji. Sprawy nigdy nie zaszły jednak tak daleko jak teraz; poza tym Oskar nie sprawuje już niepodzielnej kontroli nad postacią „Oskar Dawicki”, która dostała się w ręce pisarzy i filmowców. Pytam, jak się czuł, kiedy czytał po raz pierw-

W sztuce Dawickiego jest śmiech, lecz zero optymizmu. Dzięki temu to nie tylko ciekawy artysta, ale i przekonujący bohater literacki. Jego życie nie ma sensu – i dlatego łatwo nam się z nim utożsamić.



Jednym z eksponatów na poznańskiej wystawie jest brokatowa marynarka, w której od 19 lat Dawicki występuje podczas swoich performance'ów.

szy „W połowie puste” i konfrontował się z literackim bohaterem, który jest nim samym.

– To było pomieszanie emocji. Z jednej strony przyjemne łechtanie w żołądku, ale z drugiej jednak to doświadczenie wytwarzało rodzaj niemiłej sensacji – jak to łechtanie w żołądku – mówi Oskar, po czym doprecyzowuje: – Na ile ja się dałem odsłonić, na ile oni (Łukasz G. i Łukasz R.) dali się nabrać, i tym podobne wątpliwości. Ta postać coraz bardziej się ode mnie oddziela, co jest interesujące i jednocześnie przerażające.

Kiedy przypominam Oskarowi, że Indianie bali się, że stracą duszę, jeżeli pozwolą sobie zrobić jedną fotkę, a o nim nakręcono cały film, artysta odpowiada, że nie ma duszy. Pytam więc, czy jest nihilistą. – Jestem cioranistą

– ogłasza Dawicki. I twierdzi, że jeżeli chodzi o produkcję niepokoju, to jest zupełnie samowystarczalny, a nawet ma nadwyżki.

– Oczywiście mówienie o dramacie egzystencjalnym pachnie komunalem – wtrąca się Łukasz Gorczyca – ale sposób, w jaki Oskar się komunikuje w sztuce, to nie jest język komunłów. On nas uwodzi inteligencją, specyficznym rodzajem humoru. U Oskara jest tak, że im dalej idziesz w stronę śmiechu, tym bardziej wyostrza się tragizm, który leży u podstaw jego twórczości. Sztuka nie sprawi, że egzystencja nabierze więcej sensu, ale pozwala Oskarowi przyglądać się tej tragicznej sytuacji z wielu różnych stron, a zwłaszcza od zewnątrz. Spróbujemy sobie wyobrazić, że życie to fikcja. Że tym banalnym egzystencjalnym dramatem można operować na różne sposoby.

Czy to pocieszające? Oczywiście nie; w sztuce Oskara jest mnóstwo śmiechu, lecz zero optymizmu. Dzięki temu właśnie jest nie tylko ciekawym artystą, ale i przekonującym bohaterem literackim. Życie tego bohatera nie ma sensu – i dlatego tak łatwo nam wszystkim się z nim utożsamić.



Performer. Wystawa, film, sztuka, życie

Art Stations, Stary Browar, Poznań, do 5.05.2013

www.artstationsfoundation5050.com

w roli tytułowej: Oskar Dawicki

udział biorą: Magdalena Abakanowicz, Paweł Althamer i grupa Nowolipie, Vanessa Beecroft, Edward Dwurnik, Aneta Grzeszykowska, Zofia Kulik, Zbigniew Libera, Jacek Malczewski, Anna Molska, Anna Niesterowicz, Roman Opalka, Zbigniew Rogalski, Wilhelm Sasnal, Zbigniew Warpechowski

kurator wystawy: Łukasz Gorczyca
scenariusz i reżyseria filmu „Performer”:

Maciej Sobieszkański i Łukasz Ronduda

producent: Wajda Studio

premiera: II połowa 2013 r.

KAROLINA SULEJ

Idol odnaleziony

Ludzi inspirują kariery „od pucybuta do milionera”. Ale historia „od pucybuta do pucybuta”, jaką przeżył folkowy piosenkarz **Sixto Rodriguez**, jest niemniej ciekawa. Poznajcie geniusza, który został pogrzebany żywcem i zmartwychwstał.

Urodził się w Detroit w stanie Michigan. Mieszka tam do dziś. Na koncertach nieodmiennie pyta: – Kto jest z Detroit? Po czym odpowiada z porozumiewawczym uśmiechem: – Współczuję.

Detroit, kolebka amerykańskiej motoryzacji, to miasto przemysłu chemicznego, maszynowego i zbrojeniowego. Od kilku lat pretenduje jednak do miana najbardziej zrujnowanego miasta w Stanach. Poza odnowionym, doinwestowanym centrum miasto niewiele zmieniło się od lat 60., kiedy Sixto wydawał pierwszy singiel „I’ll slip away”. Choć było niebezpiecznie i ponuro, muzyka miała jednak w owym czasie w Detroit potężnego sprzymierzeńca – wytwórnię Motown, która mogła się poszczycić wydawaniem takich artystów jak Stevie Wonder, The Temptations czy The Supremes. W spowitej fabrycznymi dymami metropolii rozbrzmiewały najlepsze kompozycje kontynentu. Słysząc je było w każdym barze. Tam też grywał Sixto. Schowany w rogu, plecami do tłumu grał na gitarze i śpiewał swoje piosenki, w których słychać było Boba Dylana, Stonesów i Syda Barretta. Smutne i gorzkie, ale jednocześnie czułe i ciepłe. Metaforizujące i liryczne, ale też pełne społecznego zaangażowania i odważne obyczajowo. To nie były zwyczajne folkowe piosenki, jakie nagrywały dzieciaki po akademikach w całym kraju. Nie skomponował ich biały student z klasy średniej, któremu wygodnie i stylowo było buntować się wobec systemu.

Poeta bez środkowego palca

Sixto był szóstym dzieckiem państwa Rodriguezów, imigrantów z Meksyku.



MATERIAŁY PRASOWE GUTENKUNST (A)

Szóstym – stąd jego imię. Oboje pochodzili z klasy robotniczej, w domu zawsze ledwo wystarczało do pierwszego. Sixto lubił potem mówić, że urodził się na ulicy, w samym sercu miasta.

Ojciec nauczył go grać na gitarze – wtedy zakochał się w łamiących serce melodiach. W szkole zakochał się zaś w języku angielskim – tę miłość widać w jego piosenkach. Słowa bywają tam mocne, sloganowe, bywają absurdalnie poetyckie i romantyczne, liryczne. Zawsze perfekcyjnie zestawione, brzmiące w nieskazitelnej harmonii – co może dziwić, bo zarówno sposób śpiewania, jak i granie na gitarze Sixto może się wydawać raczej niedbały – sam styl szarpania strun „perkusyjny”. Jego przyczyna? Sixto brakuje serdecznego palca lewej ręki – stracił go na budowie.

Nigdy nie wstydził się własnej biedy, a w piosenkach występował przeciwko tym, którzy krzywdzą ubogich, bezdomnych, na marginesie. Śpiewał: „I możesz zachować swoje symbole sukcesu, ja będę szukał własnego szczęścia, możesz zachować swoje zegary i rytuały, ja pójdę łątać moje zniszczone marzenia”.

Fakty i akty

Tego samego roku, kiedy nagrywał swój pierwszy singiel, na ulicach Detroit miały miejsce jedne z najbardziej krwawych zamieszek na tle rasowym w Stanach. Zaczęły się po policyjnym nalocie na nielegalny nocny bar. Trwały przez pięć dni. Bilans to 43 zabitych, 467 rannych, ponad 7200 aresztowań i ponad 2000 spalonych budynków. W owym czasie nie tylko ulice były podzielone, ale także muzyka – jazz, soul i R&B pozostawały domeną Afroamerykanów. Folk i pop należały do białych. Sixto nie dostał żadnego muzycznego przedziału – wybrał go sobie sam: połączył folkową melodię, soulową wrażliwość i jazzową oryginalność. Był jak kosmita – jego muzyka wbijała się klinem w podzielone miasto. Włóczył się po jego ulicach, komponował i grał – uliczny poeta jak dekadę temu inni włóczędzy i outsiderzy, poeci beatu.

Jego singiel nie wywołał jednak poruszenia. Trzy lata później odkryto go ponownie. Nagrał dwa albumy: debiutancki „Cold Fact” w 1970 r. i „Coming from Reality” nagrany rok później w Londynie. Oba jednak sprzedawały się w znikomej liczbie egzemplarzy, chociaż recenzje w większej części sprzyjały artyście. Klin muzyki Rodrigueza wbił się w miasto, ale jego piosenki nie trafiły do nikogo.

Latynoski piosenkarz o dziwnym imieniu, który nagrywa muzykę folk, zarezerwowaną dla białych, a jednak z wrażliwością i duszą, która brzmi jak „czarna”? Ani zbuntowani przeciw establishmentowi i rasowym podziałom biali, ani czarni, którzy walczyli o równość rasową i demokrację, nie chcieli słuchać jego kompozycji. Na okładce jego debiutanckiej płyty widać Sixto w kowbojskim kapeluszu, różowym podkoszulku i w spodniach w paski. Na szyi ma hipisowski wisiołek. Siedzi po turecku w bańce mydlanej, która fruwa nad czarno-białą grafiką przywołującą na myśl krajobraz Detroit. Nikt nie miał jednak ochoty dojrzeć tego, co Sixto zobaczył z góry. Był niczyj – jego barowi wielbiciele nie mieli kasy na płyty.



71-letni Sixto Rodriguez odzyskuje należne mu miejsce w historii muzyki. Zawdzięcza to fanom z RPA, gdzie przez lata był bardziej znany choćby od Boba Dylana, Rolling Stonesów i Elvisa..

Na dodatek nie dysponował ego, które pozwoliłoby mu się wypchnąć przed szereg. Tak jak w zadymionych barach z początków kariery wciąż odwracał się plecami, żeby skupić się na muzyce. A kiedy menedżerowie dograli mu koncert w Los Angeles dla grubych ryb branży muzycznej, zaprosił członka Brązowych Beretów – latynoskiego odpowiednika Czarnych Panter – aby dołączył do niego na scenie i towarzyszył mu w śpiewaniu o niesprawiedliwości społecznej. Nie były to dźwięki, które chciały usłyszeć „garniaki”. Grywał za to w każdej zapadłej dziurze. Obietnice kariery nie zmieniały jego nastawienia, które najlepiej zawiera się w wersji piosenki: „Grałem w barach dla pedałów, barach z dziwkami, na pogrzebach motocyklistów, w operach, salach koncertowych. Dowiedziałem się, że we wszystkich tych miejscach ludzie są tacy sami”.

Robotnik z magisterką i kandydat bez głosów

Po komercyjnej porażce Sixto wołał się więc schować, wrócić do stałego zajęcia – pracy budowlanca przy burzeniu i rozbiórce domów. Muzykował dla przyjemności, często po domach przy-



jaciół. Skończył też studia – został magistrem filozofii. Studiował nieśpiesznie, przez dekadę, spotykając się z młodymi ludźmi i – lata po zakończeniu kariery rockmana – odkrywając uroki lekkich narkotyków.

Chociaż w „Establishment blues”, songu porównywanym z „Maggie's Farm” czy „Subteranean Homesick Blues” Dylana, śpiewał, że „system musi upaść w rytm wścieklej melodii młodych”, kilka lat później miał także pomysł, żeby zadziałać na rzecz swojego miasta nie poprzez politycznie zaangażowaną muzykę, ale poprzez bezpośrednią akcję polityczną – startował w wyborach do rady miejskiej, w wyścigu o fotel burmistrza, do rady stanu. Przegrywał ośmiokrotnie. Urzędnicy nie potrafili nawet wydrukować prawidłowo jego imienia i nazwiska na karcie do głosowania. On zaś swoje kampanie wyborcze toczył w barach – co, jak się zorientował po czasie, w dużej mierze wpływało na ich skuteczność, bo większość jego rozmówców nie miała nawet prawa do głosowania.

Z muzycznego niebytu Sixto powrócił dzięki córce Reagan, która odkryła w Internecie, że jego ojca poszukują południowoafrykańscy fani.

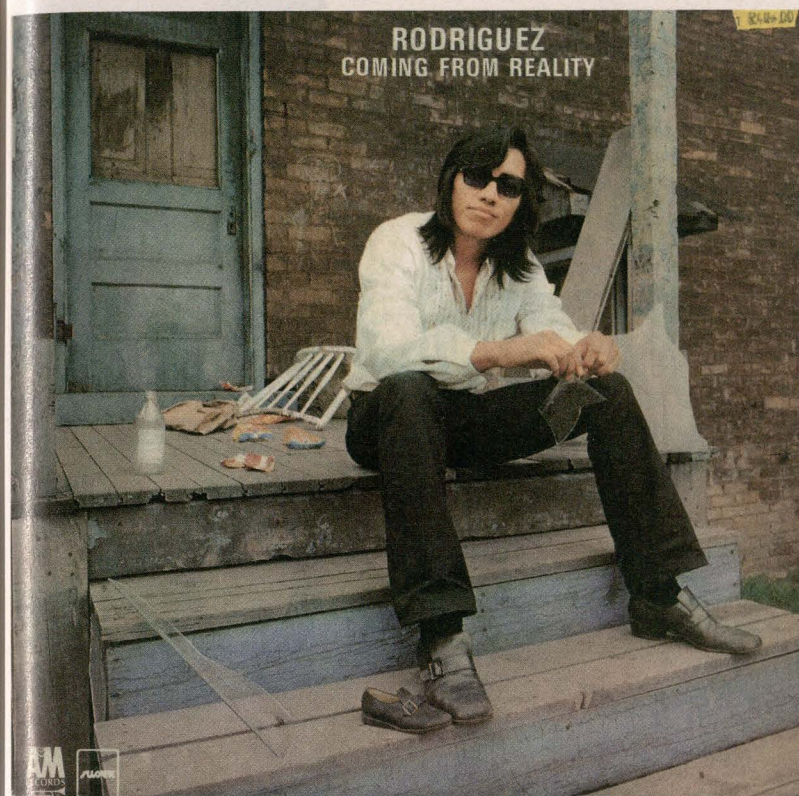
Jego obchodziła jednak właśnie ich sytuacja – poniżanych przez policję, narażonych na codzienne niebezpieczeństwa, szukających ulgi w burbonie biedaków. Oraz innych wykluczonych – w 1974 r. zorganizował na terenie miasta pow-wow, indiański zjazd plemienny, chociaż wydawało się to zupełnie absurdalne – takie zjazdy odbywały się do tej pory tylko w środkowych Stanach. Jak śpiewał w „Przekręcie bogaczy”: „Pałę w łóżku i nigdy nie przetrawię tych iluzji, którymi się karmicie”. Brzmi jak idealny protest song dla pokolenia protestującego w Zugotti Park.

Wszystko jednak wskazywało na to, że Sixto zostanie zapamiętany jako budowlaniec z magisterką z filozofii, o którego muzycznej karierze niewiele wiedzą nawet córki. Ale pewnego dnia jedna z nich, Reagan, natknęła się na dziwną stronę w Internecie i ku swojemu zaskoczeniu odkryła, że jej ojciec jest poszukiwany. Poszukiwany jako jeden z najlepiej sprzedających

się artystów w RPA, popularniejszy od Rolling Stonesów i Elvise.

Bohater narodowy z drugiego brzegu oceanu

W tym samym czasie, kiedy Sixto na dobre pożegnał się z nadzieją na zaistnienie w Stanach, jego płyty w tajemniczych okolicznościach trafiły do Republiki Południowej Afryki. Być może ktoś z rodziny wydawców zabrał je ze sobą w podróż w poszukiwaniu korzeni? Może spodobały się komuś, kto był w Stanach na wycieczce? Pojawienie się muzyki Sixto Rodrigueza w rasowo podzielonej, stojącej u progu wieloletniej walki o zniesienie apartheidu Południowej Afryce również – tak jak w jego ojczyźnie – zadziało jak wbicie klina. Z jedną różnicą – to, co w Stanach nie trafiło do nikogo, tutaj trafiło do wszystkich. Była połowa lat 70. Jego muzyki zaczęli słuchać wszyscy, którym zależało na zmianie istniejącego status quo. Szczególnie zaś biali z klasy średniej – ci, którzy w tym sa-



nym czasie w Stanach zachwycali się Bobem Dylaniem, a nie potrafili zauważyć jego godnego rywala tylko dlatego, że był „kolorowy”. Płyty Sixto kopiowano na potęgę, powstawały zespoły inspirowane jego brzmieniem. Jedna z wytwórni wykupiła prawa do jego całego amerykańskiego katalogu – rozpoczęto masową produkcję i reedycję. Nowa okładka debiutu Rodrigueza jest taka sama, z jedną znaczącą różnicą – miasto, nad którym lata, jest barwne i jaskrawe. Do Cape Town czy Johannesburga nie pasowała czarno-biała grafika. Na jego płytach wychowały się dwa pokolenia – stanowiły ścieżkę dźwiękową nie tylko do politycznej walki, lecz także do rewolucji seksualnej. Piosenka „I Wonder”, w której pojawia się wers: „Zastanawiam się, ile razy już uprawiałaś seks, i zastanawiam się, kto będzie następny”, stała się manifestem wyzwolenia obyczajowego.

Chociaż znany i podziwiany przez wszystkich, Sixto pozostał postacią tajemniczą. Republika ze względu

na swoją rasową politykę jest przez Zachód izolowana i niewiele informacji przedostaje się z kraju i do kraju. Ludzie snują domysły, prawie wszyscy są pewni, że Sixto nie żyje i że umarł spektakularną samobójczą śmiercią – przedawkował heroinę, strzelił sobie w łeb albo podpalił się na scenie. Wszyscy są też przekonani, że w Stanach jego płyty są powszechnie znane. Dopiero na początku lat 90. wiedza ta zaczyna być kwestionowana – coraz bardziej ewidentne jest, że poza krajem nikt nie zna Rodrigueza. Coraz bardziej wątpliwe wydają się również teorie dotyczące jego biografii.

Pewien właściciel sklepu płytowego w Cape Town postanawia rozpocząć śledztwo. Nazywa się Steven „Sugar” Segerman, ale wszyscy mówią na niego „Sugarman” (to tytuł jednej z najbardziej popularnych piosenek Sixto. Sugarman to diler, a klient czeka na jego łakocie). „Sugarmanie, pośpiesz się, bo męczą mnie te sceny, za zimną monetę przywróć kolory

Sixto większość życia spędził w tanich spelunkach, śpiewając folkowe manifesty. Rodriguez jest magistrem filozofii, który zarabiał na życie jako budowlaniec. To właśnie na budowie stracił serdeczny palec lewej dłoni. Niespecjalnie przeszkadza mu to jednak w grze na gitarze.

moim snom. Srebrne magiczne statki wiozą swetry, kokę i słodką Mary Jane”. Dzisiaj „Sugarman” porównywany jest do najlepszych kompozycji Velvet Underground.

Steven czyta teksty wszystkich piosenek z dokładnością detektywa – w „Inner City Blues” znajduje znaczący wers, w którym pojawia się słowo Dearborn – to przedmieście Detroit. Zakłada też stronę internetową pod nazwą „Wielkie polowanie na Rodrigueza”. Po dziewięciu miesiącach, 72 telefonach, 45 faksach, 142 e-mailach i absurdalnie niewiarygodnej kampanii „Czy widziałeś tego człowieka?”, która polegała na umieszczaniu zdjęcia Sixto na kartonach od mleka, na ogłoszenie trafia córka muzyka. Decyduje się odpowiedzieć: „Sixto Rodriguez to mój ojciec, nie żartuję”.

Reżyser i Kopciuszek

Jej odpowiedź stała się początkiem nieprawdopodobnej lawiny zdarzeń. Jej ważną częścią jest film dokumentalny „Sugarman” Malika Bendjelloula opowiadający historię muzyka zarówno sprzed tej lawiny, jak i po jej opadnięciu. Reżyser był tak pewien, że film musi powstać, iż nakręcił go praktycznie bez funduszy – filmował kamerą z iPhone'a w aplikacji Super 8, sam dobierał muzykę na ścieżkę dźwiękową, rysował animacje, montował. Poświęcał temu projektowi tyle czasu, że zaczął biedować jak bohater jego obrazu – niewiele brakowało, a z głodu nie dokończyłby dokumentu. Wtedy jednak, jak w każdej bajce, w porę zjawiał się ratunek – producenci, którzy skierowali „Sugarmana” na festiwal filmów niezależnych w Sundance, gdzie zrobił furorę – historia Sixto Rodrigueza i jego muzyka nagle zaczęły być obecne w amerykańskich mediach. – Zrozumiałem, że taka historia już nigdy więcej się nie wydarzy – mówił reżyser – to prawdziwa historia o Kopciuszku. Nawet lepsza, bo Kopciuszek nie miał takiego świetnego soundtracku. 🎧

Premiera filmu „Sugarman” w Polsce w połowie lutego

MONIKA BRZYWCZY

Wybiera Robert Konieczny

Jeden z **najlepszych polskich architektów** prawie nie wychodzi z samochodu, rysuje w tanich zeszytach kupionych na stacji benzynowej, a relaksuje się na stoku.

Roberta Koniecznego łapię w... samochodzie. Architekt, słynący z nowatorskich projektów, które za każdym razem wywracają do góry nogami tradycyjnie pojmowane podejście do projektowania i architektury, bardzo dużo czasu spędza w aucie, jeżdżąc od jednej budowy do drugiej. Jak sam mówi, samochód jest jego drugim domem, w nim ma czas odbyć dłuższą rozmowę. Właśnie przyjechał z Brennej, gdzie był na nartach – które obok szybkich i dobrych samochodów są jego pasją, a zarazem ulubioną zimową rozrywką. W Brennej buduje dom dla siebie i najbliższych. „Uwielbiam te okolice, szczególnie teraz, gdy górski krajobraz przykrywa szalenie kołdra śniegu”. Niestety, architekt musiał przerwać wypoczynek, gdyż właśnie wezwano go na drugi koniec Polski, do Szczecina, gdzie powstaje budynek Muzeum Narodowego Przełomy według projektu jego pracowni KWK Promes. Nic więc dziwnego, że nasza rozmowa w większości krąży wokół motoryzacji, gdyż to samochody odgrywają dużą rolę nie tylko w codziennym życiu architekta, ale również w jego projektach. To właśnie auto doprowadziło Koniecznego do stworzenia nowej typologii domów jednorodzinnych, w których samochód jest integralną częścią życia jego mieszkańców. W zrealizowanym niedawno Domu Autorodzinnym śląski architekt zamiast odseparowanego garażu stworzył tunel wjazdowy – będący hybrydą wejścia, wjazdu, garażu, holu wejściowego, a nawet galerii sztuki.

1 Narty, rodzina, przyroda

Czasami żałuję, że praca architekta jest tak absorbująca, przez co mam mało czasu na przyjemności, a jedną z największych jest dla mnie jazda na nartach. Co roku, gdy tylko pojawi się śnieg, obowiązkowo wyruszam na najbliższe wyciągi narciarskie. Jazda na nartach to moja pasja, można poczuć wolność oraz nacieszyć oko widokiem naszych pięknych gór. Ostatnie dni minionego roku spędziłem właśnie na nartach z najbliższą rodziną, pasją zaraziłem już nawet najmłodszą córkę.

2 Muzyka, która nie pozwala zasnąć

Gdy prowadzę i akurat nie rozmawiam przez telefon, to na pewno słucham wiadomości w radio albo – jeszcze chętniej – muzyki. Często wybieram cięższą muzykę, ale nie stronię też od dobrego popu. Osoby z biura wiedzą, że nieraz wracam z budowy czy z jakiegoś wykładu w środku nocy i odczuwam zmęczenie, dlatego wtedy dobra jest taka muzyka, która nie pozwoli mi zasnąć,

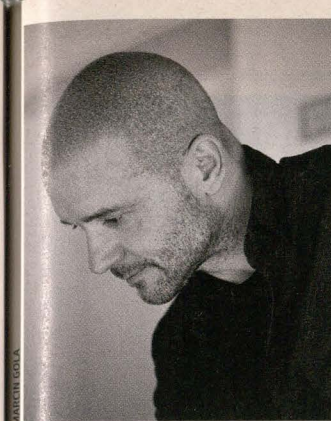


MIEŻKO STANISŁAWSKI/REPORTER



OLO STUDIO

Dom Atrialny w Opolu



Robert Konieczny – architekt, conceptualista, szef biura KWK Promes. Laureat ponad 30 nagród, m.in. Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, kreator roku – Design Alive Awards. Jego realizacje były sześciokrotnie nominowane do prestiżowej Europejskiej Nagrody Fundacji Miesa van der Rohe, a Dom Atrialny w Opolu otrzymał w 2006 r. tytuł Domu Roku na Świecie (WAN Awards).



3 Myśl na serwetce

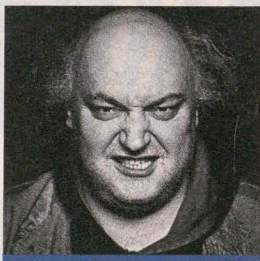
Nie zliczylibym, ile już zgubiłem długopisów, pięknych drogich piór i designerskich notesów. Dlatego przestałem zwracać uwagę na ich markę. Wystarczają mi zwykły zeszyt w kratkę i cienkopis, takie, które można kupić na każdej stacji benzynowej. Zawsze mam je przy sobie, bo nigdy nie wiem, kiedy przyjdzie mi do głowy jakiś pomysł, który będę chciał zanotować lub naszkicować. A pomysły, i to te najciekawsze, zazwyczaj pojawiają się zniemacka. Tak powstaje większość szkiców, które są zaczątkiem projektów. Chciałbym rekomendować jakąś ciekawą markę papierniczą, ale często mam zwykły zeszyt z Kubusiem Puchatkiem czy z innym nadrukiem. Zresztą nawet najlepsze notatniki od Cansona same się nie zapełnią pomysłami czy mądrymi zdaniami. Dobrą myśl można bowiem zapisać nawet na serwetce. A ja wolę skupić się na wymyślaniu idei i szybko je zanotować, niż zastanawiać się, gdzie się zapodział mój drogi skórzany notatnik czy wysadzany kryształami Swarovskiego pisak.

4 Zapominać na rowerze

Lubię sporty wymagające ode mnie maksymalnego wysiłku, angażujące w pełni ciało i umysł. Takie, w których mogę się tak bardzo zmęczyć, że choć na chwilę zapominam o pracy. Coś takiego dają mi narty. Podobnych emocji dostarcza jazda na rowerze latem. Jeżdżę głównie w Brennej, gdzie spędzam większość tych nielicznych wolnych chwil, jakie mam. Ostre podjazdy pod górę, potem strome zjazdy, często poza drogami, na przełaj, z górki – to lubię najbardziej. Jeżdżę na rowerze górskim firmy Cube, bo jest idealny do trudnych warunków Beskidów. To rower bardzo wytrzymały, zarazem lekki, można go wrzucić na barki i wspiąć się po trudniejszym odcinku, a jego dodatkową zaletą jest fajny design.

Maciej Nowak

Wszystkie bilety wyprzedane



ARTUR KOT

Nie znam wielu teatrów w Polsce i tej części Europy, do których nie wpuszczono by Romana Pawłowskiego. Właściwie znam tylko jeden: warszawski Klub Komedii Chłodna. Bo to tam właśnie kilka dni temu stojąca w kolejce do kasy legenda polskiej krytyki teatralnej usłyszała: „Wszystkie bilety wyprzedane”. I zero zmiłuj się, po prostu do napchanej salki w piwnicy nie dałoby się już wcisnąć ani szpilki. A co dopiero mówić o dorodnym facecie, jakim jest Roman P. O tym, że był to dla niego przełom życiowy, nie muszę przekonywać. A esemes, którego mi wysłał, będzie przechowywany po wsze czasy jako bezcenny eksponat w zbiorach Pracowni Dokumentacji Teatru im. Barbary Krasnodębskiej. Brzmiał: „Nie dostałem biletu”.

Trochę strach pisać o sukcesie teatru prywatnego, bo od pewnego czasu każda pozytywna wzmianka o przedsięwzięciach tego typu może być zakwalifikowana jako dowód kolaboracji. Przekonanie, że tylko niezależni fabrykanci i karczmarze uratują teatr, stopniowo zdobywa najwyższe kręgi władzy w Polsce, więc chwalenie ich jest wiciem sobie stryczka na własną szyję. Tymczasem teatry prywatne nie są alternatywą, lecz uzupełnieniem systemu scen publicznych, które spełniają rolę artystycznych laboratoriów. Żeby powstała rewelacyjna „Danuta W.” w teatrze Polonia, wcześniej w instytucjach publicznych od niemal dekady musiał być szlifowany język teatru dokumentalnego. Żeby Krzysztof Materna w Och-Teatrze mógł przygotować spektakl z seniorami „Czas nas uczy pogody”, najpierw w Łaźni Nowej w Krakowie i Instytucie Teatralnym w Warszawie musieliśmy, narażając się nierzadko na śmieszność, wypróbować środki teatru społecznościowego. I dodatkowo jeszcze musiał w 2011 r. przyjechać na festiwal Malta do Poznania amerykański zespół Young & Heart, w którym średnia wieku wokalistów wynosiła 75 lat. Kultura to system naczyń połączonych i nie będzie funkcjonować właściwie, jeśli zamienimy ją w przestrzeń wzajemnie konkurujących ze sobą podmiotów komercyjnych.

Nie będziecie już tacy sami po obejrzeniu, jak małe domki fińskie kopulują ze Świątynią Opatrzności Bożej.

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

Dzięki zaistnieniu synergii między rynkowym doświadczeniem Grzegorza Lewandowskiego, wspaniałego warszawskiego społecznika i przedsiębiorcy gastronomicznego, a dorobkiem artystów wielu polskich teatrów publicznych powstał Klub Komedii Chłodna. A stało się to tak organicznie i naturalnie, że nawet nie zauważyłem, kiedy prężnie działający klub Chłodna 25 przeistoczył się w równie prężną scenkę kabaretową. To musiało się zdarzyć ostatniej jesieni. Dzisiaj jest to już całkiem zgrabny teatrzyk z codziennym repertuarem, złożonym z kabaretów, stand-up'ów, koncertów, monologów, burleski i improwizacji. W górnej, wyremontowanej sali działa wyszynk, w dolnej występują artyści. Wśród nich prawdziwe gwiazdy gatunku: Rafał Rutkowski, Jacek Kleyff, Klancyk, Michał Sufin.

Mnie akurat przyszło obejrzeć piąty program kabaretu Michała Walczaka „Pożar w burdelu” zatytułowany „Apokalipsa”. Tworzy go grupa ekscentrycznych świrów, złożona z aktorów warszawskich i regionalnych teatrów: Monika Babula, Agnieszka Przepiórska, Anna Smołowik, Łukasz Borowiecki, Tomasz Drabek, Andrzej Konopka, Mariusz Laskowski, Maciej Łubieński. Śpiewają i opowiadają strasznie zabawne i absurdalne kawałki o stolicy, jej władzach (– HGW porwana! – Co to znaczy HGW?), mieszkańcach i dziwnych przypadkach ostatnich tygodni. Nie będziecie już tacy sami po wyznaniu Mariusza Laskowskiego „Warszawa mnie męczy, jam podpalacz tęczy” i obejrzeniu, jak małe domki fińskie kopulują ze Świątynią Opatrzności Bożej. Także Anny Smołowik, oprowadzającej Ryana Goslinga po Warszawie, zapomnieć się nie da. Klub Komedii Chłodna to kolejny punkt obowiązkowy dla warszawskich teatromanów. Oczywiście, równoległe z TR Warszawa, Nowym, Narodowym, Studio, Ateneum, Współczesnym, Polskim i Na Woli. No dobra, z Instytutem Teatralnym też. ☞

Więcej o „Klubie Komedii Chłodna” w programie WSZYSTKO O KULTURZE (10.02, godz. 23.05, TVP 2).

„Pożar w Burdelu”
reż. Michał Walczak,
premiery: 29.09.2012,
Klub Komedii Chłodna,
www.klubkomediowy.pl



KASIA CHMURA-CEBIEKOWSKA

Vittorio Taviani urodził się w 1929 r., Paolo – dwa lata później. Ale kiedy patrzy się na nich, trudno uwierzyć, że – jak sami żartują – razem mają 164 lata. Tryskają energią i uśmiechają się do dziennikarzy. Paolo ma pod marynarką niebieską koszulę, Vittorio czerwoną. I urwisowski kaszket. Paolo odzywa się rzadziej, Vittorio mówi bez przerwy, żywo gestykulując. We włoskim kinie są legendą. W ubiegłym roku do canneńskiej Złotej Palmy za film „We władzy ojca” i Złotego Globu za „Chaos” dołożyli berlińskiego Złotego Niedźwiedzia za długometrażowy dokument „Cezar musi umrzeć” – opowieść o tym, jak w rzymskim więzieniu Rebibbia powstała inscenizacja Szekspirowskiego „Juliusza Cezara”.

Dwaj starzy artyści robią film w więzieniu i obsadzają w głównych rolach kryminalistów. Absolutne szaleństwo!

Vittorio Taviani: Zaczęło się jak zwykle przez przypadek. Przyjaciel zaprosił nas na przedstawienie, które w Rebibbii przygotowała grupa skazanych. To był eksperyment. Reżyser teatralny Fabio Cavalli w oddziale o zaostrożonym rygorze przygotował fragmenty „Boskiej komedii” Dantego i „Burzy” Szekspira. Nie bardzo wierzyliśmy w tę ideę, ale w końcu z ciekawości poszliśmy. Po spektaklu mieliśmy ściśnięte gardła.

Paolo Taviani: Do dzisiaj pamiętam, jak 40-letni więzień recytował pieśń Francesco i Paula z „Piekle”. Zanim zaczął, rozejrzał się po sali i powiedział: „Nikt tak jak my nie rozumie, co to znaczy nie móc kochać. Żyjemy rozdzielni z naszymi żonami i dziewczynami. Rozmawiamy z nimi podczas widzeń przez szklaną szybę, nie możemy ich dotknąć i wcale nie mamy pewności, czy po odbyciu kary będziemy mieli jeszcze do kogo wrócić”. Gdy potem mówił słowami Dantego o miłości niemożliwej, jego głos drżał od emocji.

W filmie „Cezar musi umrzeć” w scenach castingu więźniowie się przedstawiają. Podają swoje prawdziwe nazwiska, zbrodnie, wyroki?

V.T.: Pozwolił im zmyślić dane, ale nikt z tego nie skorzystał. Mówili o sobie.

Mieli potrzebę rozliczenia się z własnym życiem.

Praca nad „Juliuszem Cezarem” musiała być dla nich trudnym przeżyciem.

V.T.: Nieprzypadkowo wybraliśmy tę sztukę. W Rebibbii siedzą mordercy z wieloletnimi, często nawet dożywotnimi wyrokami, bossowie i żołnierze mafii neapolitańskiej. Oni doskonale wiedzą, czym jest lojalność, zdrada, manipulacja, zbrodnia, rozpacz. Tekst Szekspira

taj. A ty, Brutusie, musisz znaleźć w sobie taką złość i determinację, która pozwoli ci sobie wyobrazić, że możesz zabić człowieka...”. I nagle ugryzłem się w język. Boże, przecież miałem przed sobą mordercę. Kiedy skończyliśmy, jeden z moich aktorów przykucnął nieruchomo pod ścianą. Niemał zamarł. Tak trwał z oczami wlepionymi w jeden punkt, jakby niewidzącymi. Zaległa cisza, nawet strażnicy nic nie mówili. Inny aktor podszedł do mnie. Czuję, że potrze-

ROZMAWIA BARBARA HOLLENDER

Jesteśmy braćmi, współnikami, przyjaciółmi

W filmie, który bracia Taviani nakręcili w rzymskim więzieniu, grają prawdziwi więźniowie. Dokument „Cezar musi umrzeć” właśnie wchodzi na ekrany kin.

zmusił ich do skonfrontowania się z własną przeszłością. Już nie na sali sądowej, gdzie zakładali różne maski, lecz w odosobnieniu zmuszającym do zrobienia rachunku życiowych zysków i strat. Ale też czasem rachunku sumienia. I oni na naszych oczach pękali. Miotaly nimi ogromne emocje.

Która scena okazała się szczególnie trudna?

V.T.: Zabójstwa Cezara. Dawałem aktorom wskazówki: „Cesarze, staniesz tu-

bował rozmowy. Zaczęliśmy dyskutować o następnych scenach, a on nagle wyrzucił z siebie: „Nie mogę przestać myśleć o dzieciach, których pozabawiłem ojców”. Tylko tyle.

Mam wrażenie, że byli panowie ze swoimi aktorami dość blisko.

P.T.: Kiedy spotykasz się z kimś codziennie, zapominasz o jego przeszłości. Myślimy się z tymi więźniami zaprzyjaźnili. Dochodziło do tego, że strażnicy upo-

minimalni nas: „Panowie, ostrożnie, to kryminaliści”. Ale to nieprawda, że w tych ludziach są tylko buta, okrucieństwo i poczucie siły. W nich jest ból. I głęboko skrywane traumy. Ten film dużo ich kosztował.

Dlaczego więc chcą brać udział w eksperymentach: w wystawianiu sztuk, pracy na planie?

V.T.: Po latach odsiadki wyrwywają się do życia. Lub choćby jego namiastki. Wie pani, jak nazywają więzienną egzy-

ludźmi o wybujałych ambicjach, którzy na pewno nie przyniosą nikomu spokoju i ukojenia. To artyści muszą porządkować rzeczywistość. Czy ich głos ktoś usłyszy, zależy od widzów, czytelników, słuchaczy. Ale głęboko wierzę, że społeczeństwa mają potrzebę obcowania z kulturą i rozmowy o wartościach.

Film powstał na czarno-białej taśmie. Nie chcieli panowie niczym uprzyjemnić widzom oglądania?



AURORA FILMS (2)

stencję? „Czasem sufitu”. Bo całe godziny spędzają na leżeniu i gapieniu się w sufit celi. Wielu z nich siedzi w izolatkach. Zajęcia teatralno-filmowe otworzyły przed nimi niebo. Jeden z więźniów na pożegnanie powiedział mi: „Vittorio, teraz już nie będzie takie jak dawniej”.

Wierzą panowie, że sztuka może zmieniać świat?

P.T.: Nie wiem. Ale jeśli nie sztuka, to co? Politycy są dziś w większości chorymi

V.T.: Kolorowy obraz okazał się zbyt wierzalnym odwzorowaniem rzeczywistości. Sprawiał wrażenie telenoweli. A my próbowaliśmy uzyskać efekt opowieści większej niż życie. Chcieliśmy tę historię uszlachetnić, dodać jej wymiar ponadczasowej tragedii. Zawsze tak robimy. Nawet przy filmach, które dzieją się w bardzo konkretnym miejscu i czasie. Na przykład w „Farmie skowronków” nie opowiadaliśmy wyłącznie o pogromie Ormian przez Turków w 1915 r. Prze-

Razem mają 164 lata. Paolo odzywa się rzadziej, Vittorio mówi bez przerwy, żywo gestykulując. We włoskim kinie są legendą.

cież podobne sceny można było zobaczyć w Ruandzie, Sudanie, na Bałkanach.

Niektórzy odczytują „Cezara...” jako metaforę współczesnych Włoch.

V.T.: Taka interpretacja też jest uzasadniona, zwłaszcza że gdy pracowaliśmy nad „Cezarem”, u władzy był jeszcze Silvio Berlusconi. Generalnie jednak nie jesteśmy specjalnie upolitycznieni. Od wielkich systemów bardziej nas interesują pojedynczy ludzie. I samo kino.

Are eksperymentowanie z nowymi technikami filmowymi zostawiają panowie młodym reżyserom?

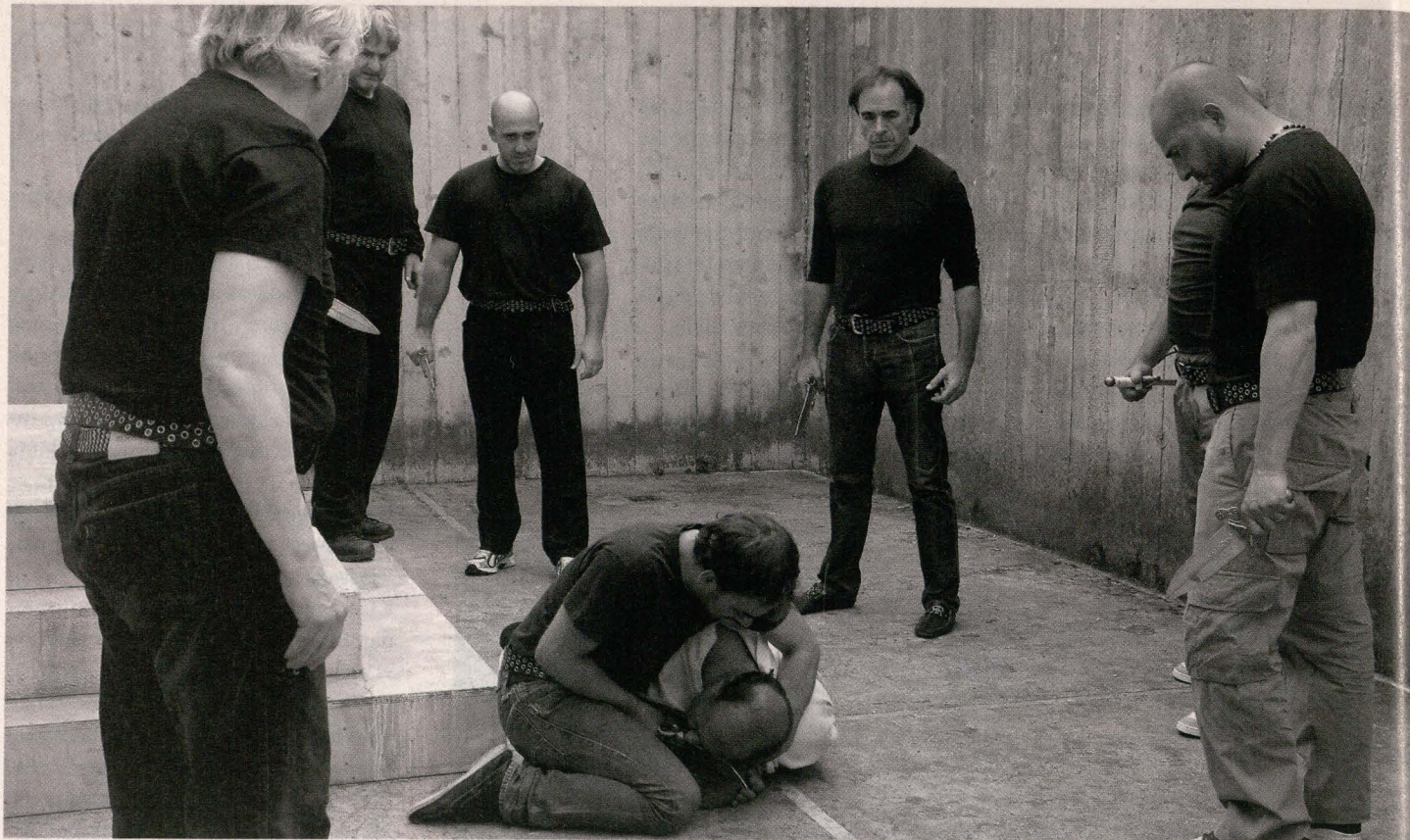
V.T.: Sugeruje pani, że nie jesteśmy młodzi? Proszę nam spojrzeć w oczy! Mamy w nich więcej radości i ciekawości świata niż niejeden maturzysta. I kiedy znajdziemy odpowiedni temat, to z pewnością się nie zawahamy sięgnąć po 3D albo inne cuda techniki. Od wczesnej młodości uwielbialiśmy bawić się kinem. Ale też zawsze ważniejszy od techniki był dla nas temat. Odnajdywanie na ekranie własnych emocji. To był nasz pomysł na życie.

Skąd się on właściwie wziął?

P.T.: Wychowywaliśmy się w małym miasteczku w Toskanii, gdzie jako nastolatki przeżyliśmy piekło wojny. Tak, piekło. Nasz ojciec był antyfaszystą, dotknęły go poważne represje. Widzieliśmy z bliska śmierć, poznaliśmy uczucie zagrożenia. Tuż po wojnie poszliśmy do kina na „Paisé” Rosselliniego. I zobaczyliśmy na ekranie własny strach i własną nadzieję. Poczuliśmy moc sztuki. Zrozumieliśmy, ile można przekazać za pomocą kamery.

V.T.: Ja studiowałem prawo, Paolo – sztukę, ale postanowiliśmy robić filmy. Ba, obiecaliśmy sobie, że jeśli przez dziecięce lata nie zadebiutujemy, to wspólnie popełnimy samobójstwo. Na szczęście w 1954 r. nakręciliśmy krótki obraz „San Miniato, luglio '44” i dzięki temu udało nam się jeszcze pożyć grubo ponad pół wieku.

Po drodze zgarniając worek filmowych nagród, m.in. canneńską Złotą Palmę za film



„We władzy ojca”, Złoty Glob za „Chaos”, berlińskiego Złotego Niedźwiedzia za „Cesar musi umrzeć”.

P.T.: Nagrody dodają pewności siebie, czasem pomagają w rozmowach z producentami i inwestorami. Ale ważniejsze jest to, że może w jakiejś małej mieścinie znajdzie się chłopiec, który zobaczy nasz film i dostrzeże na ekranie własne lęki i nadzieje. Tak jak zdarzyło się to kiedyś nam. I potem przeżyje życie równie piękne jak nasze.

Panowie zarazili miłością do kina swoje dzieci. Giovanna Taviani nakręciła film w miejscu, w którym spędzała dużo czasu w dzieciństwie.

V.T.: Moja córka wróciła po latach na Wyspy Liparyjskie, na Salinę. Opowiedziała o pięknie tego miejsca, a ja się wzruszyłem, gdy zobaczyłem w jej dokumencie łódź, którą sfilmowaliśmy w „Chaosie”. Muzykę do tego filmu napisał Giuliano Taviani. My wszyscy jesteśmy zwariowani na punkcie kina. Przez całe lata pracuje z nami żona Paola – Lina Nerli, która projektuje kostiumy. Nasz brat jest pisarzem i też zrealizował kilka filmów.

Dokument „Cesar musi umrzeć” to opowieść o tym, jak w rzymskim więzieniu Rebibbia powstała inscenizacja Szekspirowskiego „Juliusza Cezara”.

Czy pracując ze sobą przez tyle lat, nie mają panowie już siebie dość?

V.T.: A niby dlaczego? Jesteśmy braćmi, współnikami, ale też przyjaciółmi. Bardzo sprawdzonymi. Czasem się spieramy, czasem uzupełniamy, ale lubimy ze sobą rozmawiać. Spędzamy razem sporo czasu. Podczas zdjęć do filmu spotykamy się co rano na planie. Kiedy nie pracujemy – też się widzimy przed południem. Idziemy na spacer do parku albo siadamy w kawiarni i gadamy.

O czym?

V.T.: O wszystkim. O artykułach w gazetach, najnowszym informacjach, polityce, świeżo wydanych książkach i filmie, który oglądaliśmy poprzedniego dnia w telewizji.

Co na to panów żony?

P.T.: Przyzwyczyły się. Zresztą nigdy nie zaniebawialiśmy życia prywatnego. Zachowujemy zdrowy rozsądek i nie jesteśmy papużkami nierozłączkami. Też potrzebujemy od siebie odpocząć. Wieczory należą do naszych rodzin, wtedy nawet do siebie nie dzwonimy. I oddzielnie spędzamy wakacje. Nigdy

nie jeździmy razem na urlopy. Kiedy dzieci były mniejsze, spędzaliśmy wakacje w naszym domu, właśnie w pobliżu Sycylii, na Wyspach Liparyjskich, które tak pokochała Giovanna. Ale zawsze się umawialiśmy, który z nas sprowadza się tam w lipcu, a który w sierpniu.

A w kinie żaden z panów nie chciał nigdy spróbować samodzielności? Pójść w inną stronę? Zrobić coś wyłącznie na własny rachunek?

V.T.: Absolutnie nie. To nie przypadek, że kino zostało wynalezione przez dwóch braci Lumière. Mogę też wyliczyć inne spółki braterskie podobne do naszej: Bracia Coen, w Belgii – bracia Dardenne, bracia Quay, bracia Wachowscy... No, ci ostatni to już nie bracia, bo Larry zmienił pleć i zrobiła się z niego Lana. Ale ciągle rodzeństwo. Kręcenie filmów jest wielką radością, ale też zajęciem potwornie wyczerpującym. Trzeba to robić w rodzinnej atmosferze, wśród ludzi, którzy rozumieją się bez słów.

Jakie marzenie mają dziś panowie?

P.T.: Żyć, żyć, żyć. Bo tyle jest jeszcze historii do opowiedzenia.

Dorota Chrobak o filmach



reż. Juan Antonio Bayona, Hiszpania/USA, 2012, Monolith, 114 min

👍👍👍



reż. Tom Hooper, Wielka Brytania, 2012, UIP, 157 min

👍👍👍

Katarzyna Nowakowska o serialach

Dziewczyna na fali

Nagrodzona dwoma Złotymi Globami Lena Dunham to jedno z największych odkryć ubiegłego roku – nie przegapcie powrotu na antenę HBO jej autorskiego serialu „Dziewczyny”.

Dwudziestosześcioletka pierwszy raz nominowana do Globów zdobyła dwie statuetki: dla najlepszej aktorki w serialu komediowym i jako autorka „Dziewczyn”, które zostały najlepszym serialem komediowym roku. Przyjmując nagrodę, Dunham, która pisze i reżyseruje swój show, zadeklowała pierwszą z otrzymanych statuetek „wszystkim kobietom, dla których nie ma miejsca. Dzięki temu serialowi znalazło się miejsce dla mnie”. Rzeczywiście, głos, którym przemawia Dunham, nie był wcześniej słyszalny – to głos zwykłych dziewczyn, zarezerwowany dotąd dla quasi-blogowych wynurzeń o seksie, związkach, przyjaźni i chęci odnalezienia się w tak zwanym dorosłym życiu.

Telewizja wolała taki „życiowy” przekaz na wszelki wypadek zmieścić, Lena natomiast jest ostra. Seks jest dosłowny, mówienie o nim otwarte i pozbawione łagodzącej otoczki, a widoczne na ekranie ciało nie zawsze idealnie ukształtowane. Cytując inne jej słowa: „Ten

DRAMAT KATASTROFICZNY

Niemożliwe

Pięcioosobowa rodzina na sielskich wakacjach kontra atak tsunami w grudniu 2004 r. Świetna centralna część filmu – obraz ludzkiej egzystencji sprowadzonej do najprostszych czynności: znaleźć szmatę do zatamowania krwi, wodę pitną, drzewo, na które można się wspiąć i – przeżyć. Filmowana rozdygotaną kamerą i na dużych zbliżeniach, ociera się o mistrzostwo. Potem jednak fabuła wpada w dobrze znane hollywoodzkie koleiny i zmierza do nieuchronnego happy endu. Brzmiącego tym bardziej fałszywie, że w kataklizmie zginęło lub zaginęło wówczas ok. 300 tys. ludzi. Listek figowy w postaci metki z napisem „oparte na faktach” jeszcze mocniej tę hipokryzję obnaża.

DRAMAT, MUSICAL

Les Misérables – Nędznicy

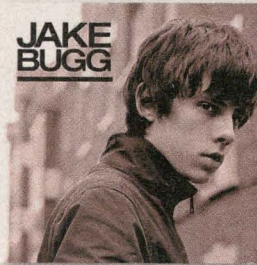
Jestem wyjątkowo nieodpowiednią osobą do oceniania tego dzieła, gdyż organicznie nie cierpię musicali. „Les Misérables – Nędzników” będę jednak bronić. Tom Hooper, który miał za zadanie upchnięcie pięciu tomszczy i trzygodzinnego musicalu w jednym filmie, wyszedł z owego arcytrudnego zadania obronną ręką. W jaki sposób? Postawił na emocje. Stworzył świat zaludniony przez cierpiących, kochających i targanych namiętnościami ludzi, a doborowa obsada tę emocjonalną wizję czyni wiarygodną. Świetna propozycja dla wielbicieli realizmu i klasycznie prowadzonej narracji oraz tych, którym nie przeszkadza pięjący fałszem Russell Crowe. Miłośnicy nowoczesnego kina wynudzą się setnie.



serial nauczył mnie, jak się obnażać – zarówno w dosłownym, jak i emocjonalnym sensie”.

Nie jest tu gołosłowna: drugi sezon zaczyna się od sceny łóżkowej, a jako nowy kochanek bohaterki granej przez Dunham debiutuje znany z „Community” Donald Glover (przekaz dla fanów: „Troy in the morning... glory”). Głównym tematem pozostają uczuciowo-erotyczne perypetie czterech przyjaciółek i ich wzajemne relacje ukazane z komediowym zacięciem, ale bez nadmiernego osładzania rzeczywistości. Ten autentyzm i szczerość to największe atuty produkcji HBO.

Płyty ocenia Angelika Kucińska



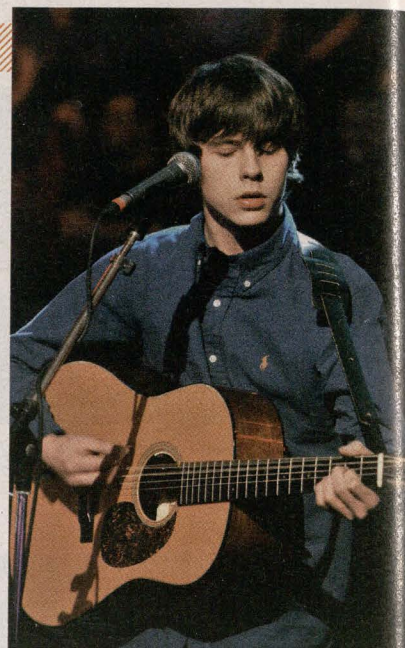
Jake Bugg, „Jake Bugg”,
Universal
👍👍👍👍

FOLK/BRITPOP

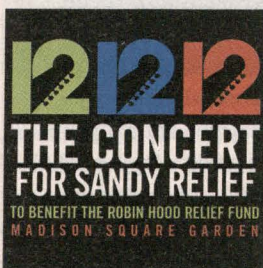
Justin Bieber folku?

Musiał mieć przerąbane w podstawówce. Gdy jego rówieśnicy odkrywali dubstep, on słuchał starych płyt. 18-letni Jake Bugg debiutuje albumem, który krzyżuje dekady.

Co by było, gdyby zmiksować Dylana z Oasis? Bugg przefiltrował naturalne, konfesyjne brzmienie starego folku przez melodie wczesnego britpopu. Choć to płyta – co nawet bardziej imponujące – sięgająca głębiej niż do przełomowych lat 60. i – imponujące nie mniej – przebojowa w swoim skrajnym wypinaniu się na trendy. Niemodna, niewymuszona, naturalna. Amerykańska produkcja, brytyjska refrenami. Świetnie napisana – bo rzuca się przede wszystkim kompozytorska sprawność Bugga, wszystkie piosenki dobre, żadnego zanudającego wypełniacza. Nic dziwnego, że album zdobył szczyt UK Charts (w Wielkiej Brytanii debiut ukazał się w połowie października). I jeszcze jedno, dla nastoletnich fanek, pod rozważę – Jake Bugg ma tyle samo lat co Justin Bieber. 📺



ANDRZEJ CSILLAG/REX FEATURES/EAST NEWS



Różni wykonawcy,
„12-12-12”,
Sony
👍👍

ROCK

Wieje nudą

Może i zorganizowali to ludzie o szlachetnych pobudkach, ale czy naprawdę wszyscy byli głusi? Zapis charytatywnego koncertu dla ofiar huraganu Sandy to nawet większa katastrofa niż ta, która dotknęła mieszkańców Nowego Jorku.

Czy każda stadionowa filantropia musi się kończyć zlotem rockowych emerytów? Potrzeba była słuszną, i to nie podlega ocenie. Poziom artystyczny wydarzenia – już tak. Płyty, na której popisuje się Eric Clapton do spółki z Bon Jovi, nie uratują nawet Stonesi. Średnią wieku zaniżają tylko Chris Martin z Coldplay i Alicia Keys. Średnią wykonawczą podnosi Adam Sandler w zabawnej wersji „Hallelujah” (padają brzydkie słowa pod adresem huraganu). Album selektywnie klei fragmenty grudniowego koncertu. Szkoda, że nie ma Kanye Westa. Dobrze, że Paul McCartney pozwolił przepaść swojemu występowi z muzykami Nirvany w odmętach YouTube'a. Nierówne, nijakie, nudne. Mnie nie zmiotło. 📺

ALTERNATYWA

Gotyk i Sylvia Plath

To oni powinni pisać soundtracki do thrillerów, a nie jakieś nedorobione kalki Radiohead (tak, to aluzja do polskiej produkcji z ptakiem w tytule). Esben and the Witch na drugiej płycie straszą jeszcze bardziej.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie. Gotyk w pełni. Przestrzeń, dystans i falbany. Debiutujący dwa lata temu brytyjski zespół wciąż brzmi hermetycznie w zimnej produkcji, ale tym razem udało im się nagrać album jeszcze bardziej precyzyjny w zamierzeniach. Bo poza upiornym konceptem są tu też piosenki. Egzaltowane teksty tym razem w całości powierzone wokalistce (wcześniej pisali zbiorowo) sięgają do poezji T.S. Eliota i Sylvii Plath. Połączenie literackich inspiracji i niepokojącej muzyki musi być z założenia pretensjonalne – i takie właśnie jest, choć to nie zarzut, przeciwnie. Esben and the Witch są konsekwentni w obranej konwencji. Słuchać w lesie, nocą. 📺



Esben and the Witch,
„Wash the Sins Not Only
the Face”, Matador/Sonic
👍👍👍👍

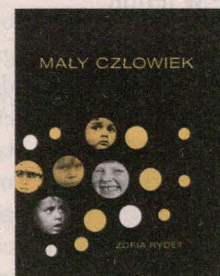
JACEK TOMCZUK

Dzieci i Paryż

Reprint wspaniałego albumu Zofii Rydet i zebrane po 40 latach zdjęcia Eustachego Kossakowskiego z francuskich przedmieść.

Autorzy albumów prawdopodobnie nigdy się nie poznali. Pzornie dzieliło ich prawie wszystko. Ona lekcje fotografii pobierała w latach 50. u największych eksperymentatorów fotografii (Lewczyński, Beksiński, Schlabs), ale sama kochała kicz, wieś i sentymtalne kolaże. On w tym czasie zaczynał w „Zwierciadle” i „Stolicy” od klasycznego reportażu, by po paru latach zostać największym kronikarzem polskiej awangardy. Ona jako zdeklasowana ziemianka prowadziła sklep papirniczy w Bytomiu. On dobrowolnie wyrzekł się arystokratycznej rodziny i naskuterze lambretta jeździł po Warszawie z imprezy na imprezę. Kiedy Rydet zamyka swój interes i poświęca się tylko sztuce, Kossakowski przyjmuje posadę grubo poniżej jego ambicji – muzealnego dokumentalisty. Ona kochała kontakt z człowiekiem, jego twarzą, otoczeniem, on najchętniej fotografowałby martwe natury, puste pomieszczenia.

Ale dziś widać, jak wiele ich łączyło. Byli typem fotografów, którzy mają ochotę sfotografować cały świat. Kossakowski zostawił po sobie 150 tys negatywów. Ile Rydet – nie wiadomo, bo artystka wolała do końca robić zdjęcia, niż porządkować archiwum. Byli twórcami, którzy kształtowali obraz PRL-u za granicą. Jej wystawy objechały wszystkie kontynenty, on – pracując jako fotoreporter magazynu „Polska”, propagandowej tuby komunistycznych władz. Pismo wydawane w sześciu zachodnich językach kształtowało obraz kraju za granicą, ograniczony do samych pozytywów, choć wolny od fałszerstw. Uwielbiali długie projekty. Cykl „Mały człowiek” powstawał 11 lat (1952–1963). Rydet, która sama nie miała dzieci, fotografowała je, kiedy przychodziły do jej sklepu, podczas podróży po Śląsku,

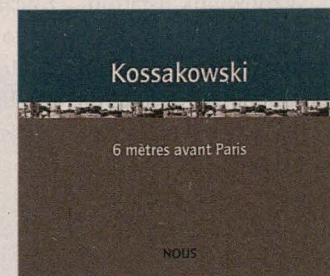


Zofia Rydet, „Mały
człowiek”, Archeologia
Fotografii, 2012, 65 zł

Podhalu, Bułgarii, Egipcie... Kolekty zapatrzeni w awangardę nie mogli jej zrozumieć. – Starałem się przekonać ją do sztuki nowoczesnej, czegoś oszczędniejszego, szorstkiego, ale ona miała słabość do takich sentymtalnych tematów – wspomina Jerzy Lewczyński. Kiedy pokazuje mu pierwsze zdjęcia, słyszy: – Zosiu, po „Złodziejach rowerów” i włoskim neorealizmie już tak nie można, to za ładne.

Ale ona się uparła. I miała rację, dziś ten wyidealizowany, nieco baśniowy, niereczywisty obraz świata jest bardzo poszukiwany. Zdjęcia ułożyły się w jeden z najpiękniejszych albumów fotograficznych wydanych w PRL-u.

Jest rok 1970, Paryż. Kossakowski ląduje na emigracji i aparat zamienia na młot, którym rozbija na szrocie silniki samochodowe. Z nudów i biedy z bagietką pod pachą włóczy się po przedmieściach. Stoi u bram miasta, którego symbolem są wieża Eiffla, Luwr, katedra Notre Dame. Ale to, co widzi, jest tego przeciwieństwem. Wokół wyludnione ulice, brudne ściany, zwykłe parki i ludzie, prace drogowe. Z niedowierzaniem obserwuje tabliczkę z napisem „Paris”. Podczas kolejnych wędrówek wokół stolicy Francji fotografuje je wszystkie, łącznie 159. I wszystkie dokładnie z odległości 6 metrów. Wystawa staje się objawieniem, objeżdża pół Europy, po czym ginie w piwnicach Centre Pompidou.



Eustachy Kossakowski, „6 mètres
avant Paris”, Nous, 2012, 99 zł

„Mały człowiek” to reprint klasycznego wydania z 1965 r., w graficznym opracowaniu Wojciecha Zamecznika, „6 metrów...” ukazują się po raz pierwszy, ponad 40 lat po powstaniu cyklu. Co dalej? Wciąż nie mamy monumentalnego „Zapisu Socjologicznego” Rydet, a w Polsce kompletnie nieznane są albumy, które Kossakowski wydawał we Francji. 📺



Tony Judt, „Historia niedokończona.
Francuscy intelektualiści 1944–1956”,
Krytyka Polityczna, cena 39,90 zł

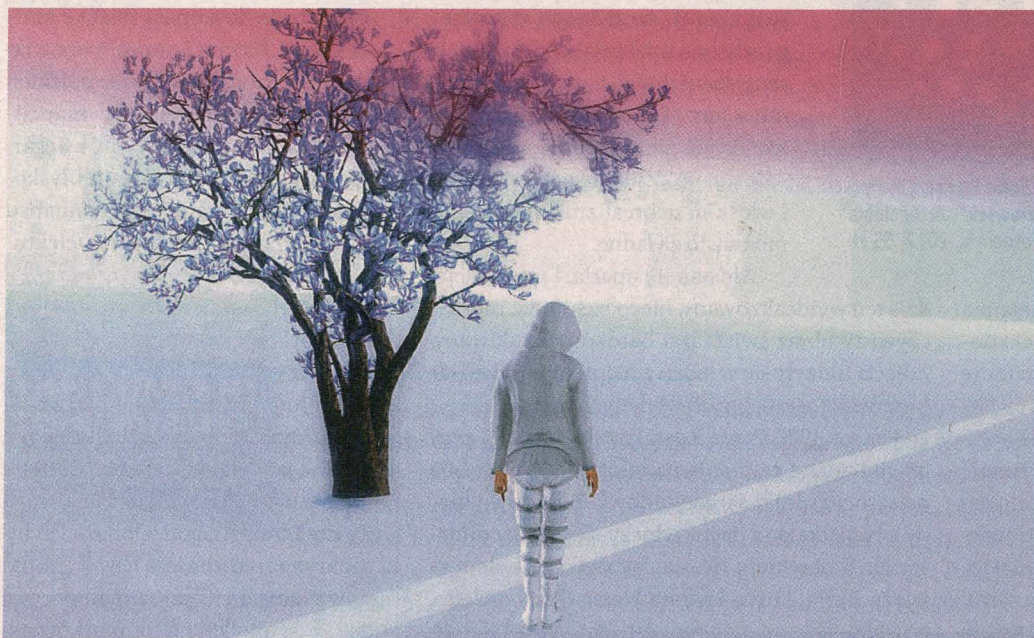
Sartre jak camembert

Pamiętacie doskonałą książkę Marci Shore „Kawior i popiół”, opowiadającą o całym pokoleniu polskich pisarzy „oczarowanych marksizmem”? Teraz w naszych księgarniach pojawiła się równie błyskotliwa analiza namiętneho romansu z komunizmem wielkich intelektualistów francuskich, który wybuchł tuż po II wojnie światowej. Autor „Historii niedokończonej”, niezyczący już wybitny historyk XX wieku Tony Judt, przygląda się postawom moralnym i intelektualnym takich tuzów, jak Jean-Paul Sartre, Simone de Beauvoir, Maurice Merleau-Ponty czy Louis Aragon. Obnaża ich hipokryzję, naiwność, a nawet „punktową” głupotę. Tym samym porwya się z szabelką na pomnikowych bohaterów. Francuscy intelektualiści, niczym amerykańscy naukowcy, są przecież marką samą w sobie. To wymarzeni bohaterowie popkultury – według kliszy ubrani w czarne golfy, palący gitanesy, zatopieni w egzystencjalnych rozmyśleniach. Sartre jest tym dla francuskiej kultury, czym ser, powiedzmy camembert, dla francuskiej kuchni. Tymczasem Judt – ironista, jakich mało – nie boi się sprzeniewierzyć narodowym mitom Francuzów. Robi to mądrze. Zamiast „ćwiczyć w strzelaniu do figur”, dba o zarysowanie kontekstu politycznego i społecznego, którego zgłębienie jest niezbędne dla zrozumienia ludzkiego wymiaru snuty przez niego narracji. Ostre, lecz smakowite danie. → Hanna Rydlewska

MARCELI SZPAK

To nie jest gra

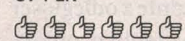
„Człowiek łaknie podróży” – pisał K.I. Gałczyński. Jeśli więc łakniesz, a nie możesz, bo akurat brakuje ci pieniędzy albo czasu, wybierz się w jedną z czterech wirtualnych wypraw: **w ponurą przyszłość, mityczną przeszłość, enigmatyczną teraźniejszość i baśniową nierzeczywistość.**



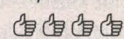
MATERIAŁ PRASOWY

Wycieczkę zaczynamy od krótkiej podróży do świata zniszczonego tajemniczą wojną. „Primordia” to kolejny tytuł twórców doskonałego neonoirowego kryminału „Gemini Rue”, który przywrócił graczom wiarę w gry przygodowe. Tu również odwiedzamy przyszłość i pomagamy parce robotów w naprawie zepsutego generatora. Być może nie brzmi to zachęcająco, jednak w ciągu pięciu godzin, jakie zajmuje rozgrywka, okazuje się, że zniszczony świat Primordii to miejsce pełne tajemnic, w którym musimy się zmierzyć z poważnymi kwestiami filozoficznymi i religijnymi dotyczącymi przyszłości gatunku ludzkiego. Gra, która stawia więcej pytań niż odpowiedzi, wspaniała list miłosny do klasycznych przygódówek

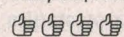
„Okami HD”,
Clover Studios, PS3,
69 PLN



„Primordia”,
Wadejet Eye Games,
PC, 10€



„Bientôt l'été”,
Tale of Tales, PC/
Mac, 10\$/40\$



„Wonderbook:
Księga czarów”,
Tale of Tales, PC/
SCEE, PS3, 120 PLN



i prawdziwa gratka dla tych, którzy uwielbiają rozwiązywanie doskonale zaprojektowanych zagadek logicznych.

Wprost z Primordii przenosimy się do starożytnej Japonii, gdzie przyjdzie nam spędzić minimum tydzień, jeśli chcemy w pełni poznać zachwycający świat „Okami”. Wznowiona ostatnio w wersji HD, gra wciąż należy do tytułów olśniewających perfekcją wykonania, a jej status klasyka potwierdza niezliczona liczba nagród. Wcielając się w Amaterasu, boginię słońca, przybierając postać białej wilczycy, wędrujemy przez Japonię, przeniesioną na ekran bezpośrednio z tradycyjnych akwarel i litografii, i walczymy po drodze z napotkanymi demonami oraz zmieniamy świat poprzez rysunki tworzone za pomocą kon-

trolera Move. Niesamowite połączenie malarskiej wrażliwości, niecodziennych rozwiązań i pasjonującej historii, jedna z tych gier, które każdy powinien mieć w swojej kolekcji.

Podobnie nietypowych wrażeń spodziewać się możemy po „Bientôt l'été”, produkcji niezależnego studia Tale of Tales, która rozpoczyna się zresztą od ekranu z wyjaśnieniem: „To nie jest gra”. Tak jak w przypadku poprzednich dokonań twórcy kładą o wiele większy nacisk na doświadczenie przez gracza świata opisanego w grze poprzez nastrojowe minimalistyczne grafiki niż na zmuszanie go do wykonywania zadań. Działania gracza sprowadzają się tutaj do chodzenia po plaży i prowadzenia rozmowy nad partią szachów. Gra już doczekała się porównań z legendarnymi dokonaniami francuskiej Nowej Fali filmowej (ze szczególnym uwzględnieniem „Zeszłego roku w Marienbadzie”), a jej zaskakująca jak na tak niszowy tytuł popularność sugeruje, że czas dyskusji o tym, czy gry mogą oddziaływać na odbiorcę równie mocno jak inne formy wypowiedzi artystycznej, powoli odchodzi w przeszłość.

Po tak wielu artystycznych i intelektualnych doświadczeniach przyda się chwila odpoczynku. A najlepiej, jak wiadomo, odpoczywać z książką. „Wonderbook”, najnowszy wynalazek Sony, to jeden z ciekawszych pomysłów na połączenie grania z czytaniem i poznawaniem świata. Wraz z urządzeniem – kilkustronicową „książką” podłączaną do konsoli i wypełnioną różnymi symbolami – otrzymujemy pierwszą grę z tej serii zatytułowaną „Book of Spells”, która pozwala na wcielenie się w jednego z uczniów Hogwartu i naukę czarów wykonywanych za pomocą kontrolera Move przemienionego w magiczną różdżkę. Historie ożywające na ekranie pod wpływem ruchów magiczną różdżką na pewno zachwycą najmłodszych fanów gier, a sam pomysł na książkę-grę wykorzystującą wszystkie możliwości współczesnych technologii może w ciągu paru najbliższych lat okazać się jednym z kamieni milowych w rozwoju interaktywnej fikcji.

KUBA DĄBROWSKI

Brakujące ogniwo

Guy Bourdin – czyli o tym, jak niektórych nie da się zapomnieć

Parę, późne lata 70., Guy Bourdin jest królem francuskiej fotografii mody. „Vogue” regularnie publikuje jego sesje, czasami nawet na 20 stron! Fotograf co roku przygotowuje kampanię dla firmy obuwniczej Charles Jourdan, pracuje dla Chanel i Ungaro. Zdjęcia Bourdina są inne niż wszystkie. Po pierwsze, wyglądają inaczej – są surowe, oświetlone lampą błyskową, z przerysowanymi kolorami. Po drugie, są bardzo erotyczne. Jest to erotyka z mocnym sadomasochistycznym podtekstem – modelki na jego zdjęciach traktowane są jak przedmioty. Wiszą do góry nogami, pozują między kawałami mięsa... Podczas sesji Bourdin ustawia modelki i każe im się nie ruszać. Czasami przez kilka godzin. Żeby precyzyjnie uchwycić wymarzoną pozę, pracuje skonstruowanym dla NASA aparatem Hultcher 70, który pozwala zrobić 30 klatek na sekundę. Dla współpracowników

Bourdin jest bezlitosny. Do redakcji często przynosi tylko jedno wybrane zdjęcie z całej sesji. Finansowo Bourdin żyje dobrze, może sobie pozwolić na prawie wszystko. Prywatnie jest podobnie jak w sesjach. Fotograf jest twardy i suchy. Pierwszej żonie zabronił samotnie wychodzić z domu, miała być na miejscu i mu służyć. Po kilku latach popełniła samobójstwo. Powiesiła się również jego długoletnia kochanka, inna zmarła, spadając z drzewa, jeszcze inna próbowała podciąć sobie żyły. Elementy układanki pasują do siebie – życie i fotografia korelują ze sobą. Seks i śmierć.

Bourdin odmawia publikacji zdjęć w albumach, udziału w wystawach i sprzedaży odbitek do kolekcji. Jego rówieśnicy, jak Helmut Newton czy Richard Avedon, publikują i wystawiają, szybko stają się postaciami rozpoznawalnymi również poza światem fotografii mody, budują so-

Wyraziste kolory, mocna erotyka i minimalizm – dzięki nim każde zdjęcie Bourdina jest natychmiast rozpoznawalne. Wystawę zdjęć francuskiego mistrza można oglądać do 10 marca w Museo Alinari we Florencji.

bie nazwisko. Bourdin chciałby być znany dzięki obrazom. Maluje od zawsze. Fotograficznie traktuje bowiem jak przyjemny zawód. Ma świadomość, że jego zdjęcia są ważne, ale nie chce, by traktowano je jako artystyczną wypowiedź. Wie też, że w jego fotografiach mody naprawdę jest coś wyjątkowego, a jako malarz jest jedynie cieniem Balthusa, Bacona i innych geniuszy. Ze swoim nazwiskiem mógłby się pokazać w poważnych galeriach, ale rozumie, że stałoby się to ze względu na kontakty, a nie jakość obrazów. Więc nawet nie próbuje.

Lata 80. przynoszą zmianę estetyki i stylu życia. W epoce AIDS nie ma miejsca na wyzywającą erotykę. Miejsce Bourdina w „Vogue'u” zajmują młodszy fotografowie. Ten w zasadzie wycofuje się z rynku. Przestaje płacić podatki. Komornik zajmuje jego fotograficzne archiwum. Do momentu uregulowania długu zdjęć nie można publikować ani wystawiać. W 1991 r. 62-letni Guy Bourdin umiera na raka. Samotny i zapomniany.

Świat przypomina sobie o nim pod koniec lat 90., kiedy modowe magazyny zaczyna podbijać naturalistyczna, rozerotyzowana fotografia spod znaku Terry'ego Richardsona. Nagle okazuje się, że takie zdjęcia robiono już 30 lat wcześniej. Synowi Bourdina udaje się wykupić archiwum od komornika – zaczyna organizować wystawy i publikować albumy z pracami ojca. Guy Bourdin, wbrew własnej woli, wpisuje się do historii fotografii.

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.



MARIANNA SASKA, ILUSTRACJE KAROLINA KOTOWSKA

Internet do ogarnięcia

Długie godziny pracy, spotkania, terminy, stres – czy tak wygląda twoja codzienność? **Na ratunek ruszają aplikacje!** Uważaj jednak, żeby nie paść ofiarą pożeraczy czasu.

Martin Young, z wykształcenia astrofizyk, a z zawodu web developer i właściciel firmy DigitalMyWay w Edynburgu, uważa się za tradycjonalistę. – Staram się używać jak najmniej narzędzi, nie podążam za każdą nowinką i znajduję własne rozwiązania. Do organizacji czasu służy mi bardzo prosty zestaw: kalendarz Google i Trello, świetne narzędzie do zarządzania zadaniami. To taka wizualizacja tego, co aktualnie dzieje się z projektem. W Trello tworzysz tablice, do których dodajesz zadania, współpracowników, terminy. Jest proste i dlatego to najlepsze narzędzie, jakie dotąd wypróbowałem. No i mam je całkowicie za darmo – mówi Martin.

Stare i nowe triki



Tego typu aplikacje świetnie nadają się do organizowania pracy zespołowej i zarządzania wieloma projektami. Internet jest ich pełen i dlatego warto poświęcić chwilę, by wybrać właściwe. Najlepsze są aplikacje, które rozwiązują jeden konkretny problem, a nie wszystkie po trochu. Wszyscy producenci zachwalają, że to właśnie ich produkt jest dobry, tani i przede wszystkim prosty w obsłudze. Żeby się zdecydować, możesz albo samemu wypróbować oprogramowanie (jeśli

jest płatne, powinno mieć darmowy okres próbny), albo oprzeć się na opiniach znajomych, recenzjach i wypowiedziach na forach internetowych. Zwróć też uwagę na to, że jeśli poświęcisz wiele czasu na np. wprowadzanie danych do programu, który potem okaże się nieodpowiedni, może ci się zwyczajnie nie chcieć robić tego samego w innym i siłą rzeczy zostaniesz przy nieidealnym rozwiązaniu.

Kalendarz i inne aplikacje Google to oczywiście żadna nowość, ale jeśli do tej pory ich nie używasz, styczeń jest dobrym momentem, by zacząć. Możesz oczywiście zainwestować w zakup tradycyjnego, książkowego kalendarza, którego wiecznie będziesz szukać. Google Apps do niedawna był darmowym produktem, jednak te dobre czasy już się skończyły. Jeśli chcesz używać aplikacji we własnej domenie, musisz zapłacić 4 euro za użytkownika miesięcznie. Możesz jednak nadal korzystać z tych samych programów za darmo za pomocą swojego konta Gmail (czyli konta Google). – Mam taki trick na rozpoznawanie ludzi na konferencjach czy eventach networkingowych, na których często bywam – zdradza Lewis Bassett, właściciel firmy consultingowej Bassett Providentia. – Kiedy tylko kogoś poznam, wpisuję jego dane do książki adresowej Google. Wprowadzam nie tylko email czy numer telefonu, ale też krótką notatkę na temat tego, o czym rozmawialiśmy lub jaki był

temat jego prezentacji. Kiedy po raz kolejny spotkam tę osobę, a nie pamiętam, skąd się znamy lub o czym rozmawialiśmy, sprawdzam szybko w telefonie, co wiem na jej temat.

Wybierz swój zestaw



– Każdy dzień pracy zaczynam w programie Evernote. Jeszcze zanim sprawdzę e-maila, rozpisuję w nim listę rzeczy do zrobienia danego dnia – mówi Lewis Bassett. Evernote pozwala na tworzenie notatek i błyskawiczny dostęp do nich ze wszystkich zintegrowanych urządzeń, takich jak komputer, telefon czy tablet. Oferuje również wtyczkę do przeglądarki Clearly, która ułatwia czytanie treści internetowych bez niepotrzebnych, rozpraszających bodźców. Po zainstalowaniu wtyczki, gdy wejdziesz w tryb Clearly, tekst zostanie przedstawiony dużą, wygodną do czytania czcionką, na neutralnym tle i bez żadnych reklam. Inna wtyczka produkcji Evernote to WebClipper, który pozwala na zapisywanie artykułów i innych internetowych treści. Evernote to program typu freemium: jego podstawowa wersja jest bezpłatna (free), a za rozszerzoną trzeba zapłacić (premium).

W pracy Martina tak samo ważny jest zarówno komputer, jak i telefon. Używa aplikacji Dropbox, dzięki któ-

rej wszystkie jego pliki znajdują się w jednym miejscu i może z nich swobodnie korzystać z obydwu urządzeń. – Ostatnio jechałem pociągiem, kiedy mojemu klientowi padła strona. Miałem przy sobie tylko telefon, ale za jego pomocą mogłem zalogować się na serwer i naprawić usterkę. Chociaż to raczej zarządzanie kryzysowe niż zarządzanie czasem – mówi Martin.

Gra w pomidora



– Bywa tak, że pracuję w domu bez przerwy przez wiele godzin. Ale zdarzają się też takie dni, kiedy mam permanentną przerwę. W organizowaniu czasu pomagami wtedy metoda Pomodoro (PomodoroTechnique.com), która rozdziela dzień pracy na 25-minutowe bloki – opowiada Martin. Metoda Pomodoro jest bardzo często wybierana przez programistów, grafików i inne osoby tworzące na zamówienie, które często mają na głowie wiele zleceń. Lewis uważa ją za najważniejsze narzędzie w organizacji pracy. – Rok temu polecił mi ją znajomy i od tego czasu bardzo poprawiła moją efektywność. Kiedy pracujesz nad kilkoma projektami, musisz umieć skoncentrować się na jednym zadaniu. Każdego ranka pierwsze 25 minut spędzam na decydowaniu o tym, co będę robił tego dnia i jakie są moje priorytety. Zaczynam od najważniejszych rzeczy, a kończę na tych mniej istotnych. Po pierwsze, dlatego że jeśli coś mi przeszkodzi w ciągu dnia, to najważniejsze rzeczy będą zrobione. Po drugie, najlepiej pracuje mi się rano, mam wtedy najwięcej energii.

Sam się zbanuj



Wkurza cię to, że masz zablokowanego Facebooka w pracy? Być może niesłusznie się denerwujesz. Dla niektórych nieograniczony dostęp do mediów

społecznościowych jest prawdziwą zmołą. Martin Young, choć zawsze jest zalogowany na Facebooku i Twitterze, potrafi do nich nie zaglądać. – Bądź dla siebie bezlitosny, to jest najtrudniejsze. Jeśli musisz zablokować Facebooka, zrób to – radzi. Jeśli brakuje ci silnej woli i nie możesz się powstrzymać od regularnego sprawdzania, co słychać u znajomych, z pomocą przyjdą ci programy, jak Cold Turkey i FBLimiter, które na określony czas zablokują nieproduktywne strony. Przydatna jest też wtyczka do przeglądarki Chrome StayFocused, która pozwala na racjonowanie czasu spędzonego na wybranych stronach, np. do godziny dziennie. Ja też spróbowałam i przekonałam się, że chociaż początkowo ograniczenie dostępu do mediów społecznościowych może wywoływać pewien dyskomfort, czas, który zaoszczędziłam, był tego warty. Ale uważaj, tych programów nie można wyłączyć podczas trwania blokady, to przecież nie miałyby sensu. Oczywiście da się obejść zabezpieczenia, np. w przypadku StayFocused możesz użyć innej przeglądarki. Masz też pewnie Facebooka na swoim telefonie...

Sortowanie i czyszczenie




– Testuj nowe narzędzia, ale tylko takie, o których wiesz, że mogą się przydać, a nie dlatego, że wszyscy z nich korzystają. Ja na przykład spędziłem trzy dni na wypróbowywaniu różnych sposobów organizacji skrzynki e-mailowej. Była to strata czasu, bo okazało się, że wcale nie dostaję tak wielu wiadomości i spokojnie radzę sobie z nimi na bieżąco – radzi Martin Young. Lewis jest za to notorycznie zalewany pocztą, dlatego ma zupełnie inną radę: – Archiwizuj maile, nie trzymaj ich w skrzynce odbiorczej. Bałagan w inboxie będzie cię rozpraszał – mówi.

Jeśli, jak 425 mln ludzi, używasz Gmaila, śmiało korzystaj z przycisku „Archiwizuj”. Przeniesie to wiado-

mość pod etykietę „Wszystkie”, gdzie zawsze będziesz mógł ją odnaleźć, ale nie będzie ona zalegać w skrzynce odbiorczej. W inboxie zostawiaj wiadomości, które wymagają od ciebie wykonania jakiegoś zadania. Jeśli potrzebujesz dodatkowej pomocy w organizacji skrzynki, wypróbuj programy do sortowania poczty, takie jak Sanebox i Glider.io. Aplikacja Unroll.me pomoże ci uporządkować subskrypcje newsletterów.

Dogonić czas



Warto wspomnieć o aplikacjach typu „time trackers”. Mierzą one czas, który poświęcasz na poszczególne działania. Programem, który uchodzi za mało inwazyjny, jest RescueTime. Jest to także produkt typu freemium, który sprawdza, co tak naprawdę robisz w ciągu dnia na komputerze, i wysyła raporty dotyczące twojej produktywności. Program stara się zgadnąć, jakie zajęcia są bardziej lub mniej pożądane, np. Facebook ma punktację negatywną, a praca w Photoshpie pozytywną. Sam możesz ustalić, co ma dla ciebie wartość. Jednak właśnie to uporządkowywanie czynności jest trochę jak oznaczanie zadań kolorowymi flamastrami tylko po to, żeby ładniej prezentowały się w kalendarzu. Po kilku miesiącach używania RescueTime wiem, że przeciętnie spędzam ok. 30 proc. swojego czasu w mediach społecznościowych i innych kradnących czas serwisach. Czy dzięki tej wiedzy zwiększyła się moja produktywność? Nie, każdy cotygodniowy raport mówi mniej więcej to samo. Dlatego jeśli rzeczywiście chcesz zapanować nad swoim czasem, posłuchaj znanego minimalisty Leo Babauty, autora bloga ZenHabits: „Dla wielu ludzi Internet jest przytłaczający, nigdy się nie kończy, a nasz związek z nim pochłania coraz więcej czasu. Kiedy sprawy zaczynają cię przerastać, mam jedną radę: upraszczaj”. 

MARTA MACH I AGATA NAPIÓRSKA

Tkaniny poskromione

Krakowscy krawciarze Tadeusz Mikuła i Roman Bilski oraz stylistka sesji fotograficznych Anna Młotowska zmagają się z ujarzmieniem materiału. Panowie szyją i dobierają krawaty, a Anna pracuje nad idealnym wizerunkiem ubrań i akcesoriów.



KATARZYNA DOBROLEWSKA

RETRO

W Krakowie przy placu Dominikańskim mały zakład Janina produkuje krawaty, muszki i fulary (jedwabne chusteczki zawiązywane na szyi). Oprócz szycia właściciele również doradzają klientom.

Jak długo istnieje zakład?

Firmę, początkowo przy ul. Floriańskiej, założył w 1902 r. pradziadek Tadeusza Jan wraz z kolegą Natanem, stąd od ich imion nazywała się „Jan i Na”. Zaczęli od sprzedaży kapeluszy, cylindrów (tzw. szapokłaków, czyli składanych cylindrów), koszul i kołnierzyków. Po wojnie dziadek Tadeusza przeniósł zakład na plac Dominikański i skoncentrował się na szyciu krawatów.

Czyli pan uczył się fachu od starszego kuzyna, a on od ojca? Prawdziwy rodzinny interes.

Tak, on od ojca i dziadka. Dziadek Tadeusza najpierw handlował opalem, a potem zmusił swojego syna inżyniera do szycia krawatów. Po wojnie postawił mu warunek: otworzymy zakład, jeśli znajdziesz żonę Janinę. I tak się stało. Janina potem długo pomagała w prowadzeniu sklepu. Ja sam nauczyłem się szycić parę lat temu. Wcześniej pracowałem w ochronie. Teraz uwielbiam szycić.

Skąd w trudnych powojennych czasach brało się jedwab na krawaty?

Wuj sprowadzał go z Włoch. Produkował go jego przyjaciel z czasów wojny, któremu inżynier Mikuła naprawił i ulepszył stare krosna. W ten sposób nawiązał kontakty z Włochami. Dzisiaj materiały też sprowadzamy z Italii, bo to Włosi dyktują trendy w modzie męskiej.

Mamy ok. 700 krawatów, prawie każdy inny. Wszystkie szyte ze skosu, ścięciem ręcznym, krytym. Poza tym szyjemy też muszki do wiązania i fulary, to dziś rzadkość. Po te fulary co roku przyjeżdża do nas z Australii starsze małżeństwo. To taki nieformalny styl, w Polsce mało kto odważy się tak nosić.

Panie Romanie, proszę powiedzieć, jak powinno się dobierać krawat.

Krawat dobiera się do sylwetki i kształtu twarzy. Jeśli ktoś jest bardziej postawny, dobrze zbudowany i ma szeroką twarz – dobiera mu się szerszy krawat do szerokich kłap marynarki. Jeśli mężczyzna jest szczupły, krawat musi być węższy – wtedy go optycznie poszerza. Jest też wiele sposobów wiązania krawata. Większość mężczyzn zna tylko kilka, mało kto wie, że istnieje aż 85!

FUTURO

Anna Młotowska skończyła fotografię na poznańskiej ASP i choć w pracy nie robi zdjęć, wykształcenie bardzo jej pomaga podczas stylizacji sesji fotograficznych przedmiotów.

Zajmujesz się stylizacją packshotów. Co to dokładnie oznacza?

W studio fotograficznym, w którym pracuję, specjalizujemy się w fotografii przedmiotów do kampanii reklamowych. Wykonujemy bardzo precyzyjne zdjęcia przedmiotów, które następnie trafiają do reklam. Zadanie polega na osiągnięciu efektu doskonałego obrazu idealnie odzwierciedlającego kształt i fakturę przedmiotu. Na zdjęciu musi być widoczna struktura materiału – jest szorstka czy gładka, czy materiał jest solidny czy delikatny. Można to osiągnąć przez odpowiednie ułożenie oraz oświetlenie przedmiotu.

Z jakimi materiałami pracuje się najtrudniej?

Z tkaninami. A to większość mojej pracy, bo agencja Donelly, w której jestem zatrudniona, specjalizuje się w branży mody. Specyfiką fotografii reklamowej jest uzyskanie takiego efektu, by obraz był piękniejszy niż rzeczywistość. I tak jak modelki z reklam wyglądają młodziej i piękniej niż w rzeczywistości, tak przedmiot powinien wyglądać na zdjęciu lepiej. Tkaniny „pracują”, nie są sztywne, załamują się. Trzeba je podklejać, wypychać, prasować, żeby na zdjęciu ubranie wyglądało tak, jakby leżało na człowieku. Dodatkowo z przedmiotem podczas sesji nie ma interakcji – to sprawa, że uzyskanie zamierzonego efektu jest trudniejsze niż przy pracy z modelką.

Wykorzystujesz jakieś triki?

Oczywiście. Współpracuję z fotografem, bo kiedy gra się światłem i kątem kamery, można zapanować nad obrazem w najmniejszych szczegółach. Sedno mojej pracy polega jednak na precyzji manualnej. Czasem podniesienie czy obrócenie przedmiotu o bardzo mały kąt robi ogromną różnicę. Muszę to przewidywać i podchodzić do każdej rzeczy z apłunkarską dokładnością.

Jakie predyspozycje są zatem w twoim zawodzie najważniejsze?

Trzeba mieć sprawne ręce i czuć materiał. Wymagania klienta są niejednokrotnie bardzo szczegółowe, a czasem wydają się niewykonalne. Żeby sfotografować torbę z leżącej tkaniny tak, aby jej górna krawędź była prosta jak od linijki, muszę czasem przez kilka godzin wykonywać milimetrowe ruchy.

Autorki prowadzą magazyn www.zwyklezycie.pl.



FRANCISZEK BUCHNER



ALEKSANDRA SZCZEPANEK

AGA KOZAK

Trzecia fala kawy

Dzisiaj wypada raczej zamówić **flat white'a** czy **dripa** zamiast klasycznego **espresso** lub **latte**. Najnowsze trendy w paleniu i parzeniu kawy pochodzą ze Skandynawii i już zdążyły zainfekować paru polskich przedsiębiorców i baristów, a klientom wytrącić z rąk wielkie kubki z sieciowych kawiarni.

Choć mogłoby się wydawać, że to nakofeinowani w sieciówkach Amerykanie lub Południowcy z Włochami na czele prowadzą w spożyciu kawy per capita, w rankingach nadal królują Skandynawowie (co nie powinno swoją drogą dziwić przeciętnego wielbiciela kryminalów z północy: postacie z powieści Mankella czy Larssona piją kawę litrami i zdecydowanie przekraczają statystyczne cztery i pół filiżanki dziennie). Jak wygląda kawowy skandynawski pejzaż? Północni Europejczycy to jedni z najlepszych baristów na świecie, małe,

specjalizujące się w kawie firmy, piękne bary i specyficzny sposób palenia kawy, który dyktuje światowe trendy.

Moda na małe palarnie

– Włoska ekipa na mistrzostwach świata w parzeniu kawy ma duńskiego trenera i pracuje na duńskich mieszkankach – śmieje się Mateusz Kubik, autor bloga „Kubik kawy”, i opowiada, że to z północy pochodzi tzw. scandinavian roast, odmienne od ciemnego (italian czy french roast), jasne palenie kawy. Takie, żeby pasowało do ekspresów przelewowych,

a w espresso dało większą kwaśność i bogactwo nut owocowych. Kubik opowiada też o mocno zakorzenionej w Skandynawii i rodzącej się właśnie w Polsce tzw. third wave coffee (czyli „trzeciej fali kawy”), czyli „postespressowski” sposobie parzenia kawy. – Bariści odkryli, że kawa to nie tylko źródło kofeiny, lecz coś, czego bukiet jest równie bogaty jak w winie czy czekoladzie – twierdzi Kubik. Jak tłumaczy, bariści zaczęli eksperymentować i zauważać, że nie tylko tradycyjny, ciśnieniowy ekspres może dać ciekawą kawę, że aby odkryć bogactwo smaku, można wykorzystać np. leżące w domach ekspresy przelewowe, tureckie tygielki lub przykurzone nieużywaniem dripa. Trzecia fala to właśnie poszukiwanie nowego smaku kawy: okazuje się, że wyrefinowanie można osiągnąć na wiele różnych sposobów, tylko trzeba odpowiednio przygotować kawę. Dziś traktujemy kawę właśnie jak dobrą butelkę wina, a nie jak codzienny napój, dzięki któremu będziemy mogli dłużej pracować. Trzecia fala – podobnie jak w winiarstwie – doprowadziła nie tylko do zmian w menu kawiarni, lecz również w produkcji kawy, w sposobach wyłaniania najlepszych ziaren czy pieczonego sposobie ich palenia, żeby przypadkiem nie zmarnować ich potencjału. Stąd też rodzący się również w Polsce ruch microroastingu – stawiający na małe palarnie, które dbają o każde ziarenko.

Kawowy showroom i molekuly

Zieloną, gotową do wypalenia kawę ze Skandynawii ze słynnego Nordic Approach (kultowej kooperatywy specjalistów kawowych) ma choćby Bartek Kozina z krakowskiej Karmy – nowojorskiego w stylu baru z wegetariańskim jedzeniem przy Krupniczej, słynącego ze śmiałych wyborów kawowych. Oficjalnie palarnię i brew bar (czyli miejsce, gdzie podaje się kawę parzoną metodami alternatywnymi) przy ulicy Wawrzyńca Kozina otworzył parę dni temu. – To specyficzna kawiarnia, w bezpośrednim towarzystwie palarni ze specjalnym samplerem do małych porcji. Można u mnie spróbować wielu różnych rodzajów kawy o różnym stopniu wypalenia: nawet takich godzinę czy dzień po wypaleniu! – emocjonuje

się właściciel. Brew bar powstał, ponieważ Karma przy Krupniczej cieszy się wielkim powodzeniem, z czym związany jest nieustanny ruch, a Bartkowi zależało na miejscu pracy z kawą, gdzie da się z ludźmi na jej temat porozmawiać. – I które będzie takim kawowym showrooomem. Kiedy się bowiem zobaczy na miejscu, jak wygląda palenie kawy, inaczej się ją już później kupuje – podkreśla. Podobnie jest oczywiście ze smakiem. Kozina przypomina, że kawa ma więcej molekuł smakowych niż nawet wino. – Praca z kawą to niesamowite wyzwanie dla zmysłów, bo nawet już nie dla samych kubków smakowych: pamiętajcie o tym, kiedy ktoś poda wam kawę o kolorze herbaty, poszukajcie w niej zaskoczeń, choćby aromatów cytrusów, truskawki czy pigwy – poleca. I po chwili oświadcza, że w barze przy Wawrzyńca na początku nie będzie nawet tradycyjnego ekspresu.

Drip? Aeropress? French press? Chemex?

Tak, tak, spodziewajcie się, że jeśli pójdziecie do modnej kawiarni albo do brew baru, zamiast pytań o znajome espresso, cappuccino czy latte padną właśnie te nazwy. – Drip, czyli dripper, to najprostsza forma przelewowego zaparzania kawy: do ceramicznego, szklanego lub plastikowego stożka wkładamy papierowy filtr, sypiemy kawę i zalewamy wodą – wyjaśnia Mateusz Kubik. Podobnie jest z Chemexem: to szklane naczynie o odpowiednim kształcie, do którego wkładamy filtry. French press z kolei wielu z nas ma w domu. – To najpopularniejsze narzędzie z tłokiem, dostępne np. w IKEA – od lat niedoceniane! – komentuje Kubik. Aeropress to już wyższa szkoła kawowej jazdy. – Wymyślili go producenci frisbee: to proste urządzenie do zaparzania kawy pod niewielkim ciśnieniem – działające na zasadzie tłoka, gdzie kawę przeciskasz przez papierowy filtr. Idealne w czasie podróży! – zachwala Kubik. Do tych wszystkich wynalazków potrzebne są dobre gatunki kaw, odpowiednio palonych i superświeżych. – Kawę najlepiej spożyć od dwóch tygodni od daty wypalenia, ale też nie jest tak, że im świeższa, tym lepsza, bo musi się po wypaleniu

odgazować – komplikuje jeszcze sprawę Kubik. Na szczęście, jeśli kupimy lub zamówimy kawę z małej palarni wszystkie te niuanse nam wytłumaczą... – Z wieloma klientami mam bliski kontakt. Są osoby, które odbierają kawę osobiście, dzięki czemu mogłem je poznać. Z innymi koresponduję e-mailowo, klienci dzwonią, pytają o wiele rzeczy. Wiem też oczywiście, jak parzą kawę (czy mają drip, kawiarkę czy ekspres ciśnieniowy). Praktycznie zawsze palę kawę pod konkretnego klienta, dzięki temu jest idealnie dopasowana do sposobu zaparzania – opowiada Wojtek Machowski, właściciel warszawskiej palarni Good Coffee.

Korporacje wabią hipsterów

I choć można rozkocharać się w takiej kawie jak od Wojtka czy Bartka – nierzadko po 50 zł za 250-gramową torebkę – trzeba jeszcze umieć ją przygotować. – W Polsce są już zarówno nieźli bariści, jak i miejsca, w których umieją parzyć kawę czy pokazać nam, jak to zrobić – komentuje Kubik, który w swoim blogu poleca właśnie krakowską Karmę, gliwickie Kafo, poznański Brisman Kawowy Bar, opolską Kofeinę, warszawskie Ministerstwo Kawy, Relaks, My'O My, Francuską 30 i Filtry – jedną z pierwszych, jeśli nie pierwszą, kawiarnię tego typu w Polsce. Tymczasem trend zauważyły już wielkie korporacje kawowe: w czerwcu otwarto we Wrocławiu Starbucks Reserve z ofertą egzotycznych kaw ziarnistych i stanowiącym tzw. slow coffee, gdzie kawy mogą być przygotowywane we french pressie lub w ekspresie przelewowym. Czy hipsterzy wrócą więc do kubka z logo? Zobaczymy. W Internecie krąży filmik, na którym dwóch słynnych specjalistów od kawy – Tim Vendelboe i Tim Varney – sami kpią z hipsterskiego cyrku, który już zdążył pojawić się wokół kawy. – Ta cała otoczka już napędza komercjalizację tej do tej pory niszowej dziedziny – komentuje Kubik.

Autorka prowadzi blog kulinarny Ugrzyzenie Kozak.

Mateusz Kubik mówi, jak parzyć kawę

Kawa z dripa

- dripper
- papierowe filtry
- ręczny bądź elektryczny młynek z regulacją mielenia (z ręcznych najsensowniejsze rozwiązania produkuje Hario, Porlex i Tiamo)
- naczynie, do którego wlejemy napar
- czajnik z wąskim dzióbkiem (Hario Buono Kettle, Takahiro i Bonavita lub Tiamo. Na targu staroci też można znaleźć coś podobnego. Ważne, żeby strumień wody był równy i wąski)
- kawałek bambusowego (drewnianego) patyczka do mieszania,
- waga o dokładności +/- 1 g,
- czysta filtrowana lub butelkowana woda
- timer
- przydaje się też termometr
- kawa – najlepiej świeża i jasno palone single arabiki

Zagotować wodę do temperatury ok. 92 st. C, wlać ją do czajnika. Przed zaparzeniem kawy przelać umieszczony w naszym stożku papierowy filtr gorącą wodą, jednocześnie likwidując możliwy posmak papieru, a także dogrzewając wszystkie możliwe elementy. Zmieszać 24 g kawy (pożądana konsystencja piasku). Postawić stożek z filtrem i naczyniem, do którego będziemy zaparzać kawę, na wadze, wsypać mieloną kawę, wytarować. Zalać kawę niewielką ilością wody (60 g). Jest to bardzo ważny etap – pozwala pozbyć się resztek gazu, a przede wszystkim otworzyć się naszej kawie. Lekko wzruszyć ją bambusowym mieszadłem, aby zapewnić równomierny kontakt z wodą. Odczekać 45–60 sekund (jeżeli kawa jest bardzo świeża). Następnie powoli wlać resztę wody (w kilku etapach), wykonując lekkie, koncentryczne ruchy zgodnie z ruchem wskazówek zegara, od środka na zewnątrz, nie dochodząc do brzegów. Utrzymywać poziom wody na poziomie 3/4 w stożku. Po każdym dopelnieniu lekko przemieszać. Tak wlewamy około 380 g wody. Oczywiście tu również możemy eksperymentować, aczkolwiek dobrze trzymać się jakichś proporcji – powiedzmy 1:15–17 (kawa: woda).

French press

Poza french pressem potrzeba też:

- dokładnej wagi
- dobrej kawy
- młynka
- filtrowanej wody
- timera
- dwóch większych łyżeczek – mogą być srebrne

Od 60 do 75 gramów kawy na litr wody, mielonej grubiej niż do dripa. Odnośnikiem może być gruboziarnista sól albo grubo mielony pieprz. Zagotować wodę, rozgrzać french press, postawić dzbanek na wadze, wsypać kawę, wyzerować wagę i wlewać odpowiednią ilość wody (odpowiednia temperatura to 92–94 st. C). Po 4 minutach kawa się zaparzy. Następnie łyżeczką lekko zamieszać górną warstwę, pienisty osad usunąć za pomocą dwóch łyżeczek. W ten sposób uzyskuje się czystą w smaku kawę, bez nieprzyjemnych nut. Na koniec docisnąć kawę tłokiem i niezwłocznie przelać do filiżanek. Tłok nie powinien stawić zbyt dużego oporu – jeżeli tak się dzieje, to prawdopodobnie kawa została zmieszana zbyt drobno.



TOM MERTON/EAST NEWS



Kociak tygodnia: Interesuje się modą i urodą. Wiecznie uśmiechnięta, niczym Sherlock Holmes potrafi zwichać to, co godne uwagi, w zmieniających się trendach. Kocha góry, pomidorową i zwierzęta. Niedosćgniona w tańcu.
Fot. Sonia Szóstak

Szarmantkie ssaki



Marek Raczkowski

„ Marzenia się spełniają. Bez tej możliwości natura nie podburzałaby nas do posiadania ich. John Updike

Co robić, gdy dżentelmen kicha na świat?

W kwestiach predyspozycji chorobotwórczych dżentelmeni dzielą się na chorych z urodzenia, umęczonych życiem i rzeczywiście chorych. Jak się z nimi obchodzić w ich niedoli? Grupa najczęstsza to ci pierwsi. Objawy: niepohamowane jęki z powodu byle niedogodności. Doraźnym lekarstwem bywa byle sukcesik, terapią – żarliwa atencja otoczenia wobec tego czy owego wyczynu. Przypadkiem poważniejszym jest osobnik umęczony życiem. W grę wchodzi tu i samoudręka, i ryzyko przykrych infekcji. Dżentelmenów takich należy przywłaszczać, otaczać wsparciem i serwować im zasadne wizje lepszego jutra. Także i po to, by nie szerzyli swej udręki i malkontentstwa wzdłuż i wszerz całej cywilizacji. Natomiast w przypadku zetknięcia z rzeczywiście chorym (kichaczem, kaszlaczem, flukaczem itp), ale kichającym na swoją chorobę, pod żadnym pozorem nie należy naciskać na wywiązywanie się z zobowiązań towarzyskich, a nawet zawodowych. Warto obrzydzać mu imprezy w mieście i zniechęcać do bytności w miejscach publicznych. A gdy się trafi ten, co kicha na serio i nie stawia oporu? Przychyłać mu nieba i wmawiać, że ziemski padół to raj mimo wszystko. Wiadomo bowiem, że łatwiej choremu wyobrazić sobie raj na ziemi niż zdrowie w swoim ciele. → Ula Ryciak

Program księgowo-kadrowy „Rzeczpospolitej”

Mała Księgowość

edycja 2013



Pobierz program

www.rp.pl/sklep

infolinia 801 15 15 15

Skorzystaj z programu Mała Księgowość, który pozwoli Ci sprawnie prowadzić księgowość Twojej firmy.

- Darmowe aktualizacje przez cały rok
- Bezpłatne wsparcie techniczne
- Fakturę VAT za zakupiony program przesyłamy pocztą

Mała księgowość – 49 zł (brutto)

- jedna firma
- jedno stanowisko pracy

Mała księgowość – 99 zł (brutto)

- jedna firma – wiele stanowisk pracy
- biura rachunkowe prowadzące małe firmy



Pobudzamy myślenie  RZECZPOSPOLITA

Twoje mobilne biuro zawsze na wyciągnięcie ręki

ASUS X202E

- matryca dotykowa LED HD 11,6"
- procesor Intel® ULV Pentium® 987
- dysk twardy 500 GB
- system operacyjny Windows 8



Wybierz laptop z ekranem dotykowym w supercenie.

Oczekujesz komfortu i wygody pracy niezależnie od miejsca, w którym się znajdujesz? Teraz w ofercie z mobilnym Internetem ultrasłukły laptop ASUS VivoBook X202E w stylowej i lekkiej obudowie, z ekranem dotykowym, z systemem operacyjnym Windows 8 i programem Norton 360™ v6 w supercenie. Niech Twój biznes będzie jeszcze bardziej mobilny!

Szczegóły na www.t-mobile.pl/biznes

BIZNES

Chwile, które łączą.

